GDY TWOJE DZIECKO JEST TRANS

UKRAINA: PISARZ IDZIE NA WOJNĘ

KOBIETY TWORZĄ NOWĄ MITOLOGIĘ

Kraków 26 marca 2023 nr 13 (3846) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

W NUMERZE
**MAGAZYN LITERACKI „KSIĄŻKI W TYGODNIKU”**

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

# Blizny po papieżu

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Fundacja
Dorastaj z Nami

KRS: 0000 36 12 65

tata

~~strażak~~, ~~żołnierz~~,
~~policjant~~ – zginął
na służbie

Przekaż 1,5%

REKLAMA

KS. ADAM

# Boniecki: *Synod niemiecki*

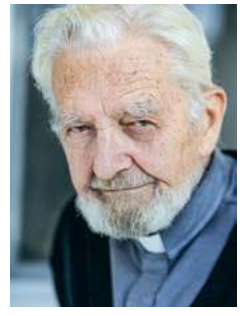

Tekst pani Zuzanny Flisowskiej-Caridi „Cena przetrwania” jednych przerazi, innych zachwyci. Zachwyci tych, którzy – krytycznie patrząc na Kościół – oczekują, że naprawione zostaną jeśli nie wszystkie błędy, to przynajmniej te najbardziej rażące. Opisane w tym tekście propozycje niemieckich reformatorów mogą zaś przerazić tych, którzy się obawiają, że Kościół straci swą autentyczność wywodzącą się od Chrystusa. Jedyną pociechą będzie dla nich informacja, że papież Franciszek „wyraził zaniepokojenie” wskazówkami niemieckiej Drogi Synodalnej, sądząc, że „została tworzona przez elity, a nie przez cały lud Boży”. Tekst Flisowskiej-Caridi zawiera ważne stwierdzenie, które łatwo przegapić: „wspólne decydowanie o kształcie Kościoła to sztuka, w której nie jesteśmy wyćwiczeni, i system, który musimy dopiero zbudować”. To prawda, budowanie tego systemu będzie sporo kosztowało, choć z drugiej strony budowania go nic nie zdoła zatrzymać.

Papież Franciszek, ogłaszając długie i angażujące wielu ludzi przygotowanie do Synodu, otworzył przestrzeń dotychczas zamkniętą. Przy poprzednich synodach docierały do nas informacje o wykluczeniu niektórych tematów. Oczywiście, Synod nie może zajmować się wszystkim, musi skupić się na jednym temacie, lecz wcześniejsze wykluczenie niektórych spraw z synodalnych rozważań mogło budzić niepokój czy wręcz prowadzić do rozgoryczenia i frustracji ludzi zaangażowanych. I na tym synodzie nie będzie się rozważało wszystkich kwestii proponowanych przez synody czy „synody” lokalne. Nie wiem, jaki los spotka tematy skreślone, jednak rozważane na lokalnych synodach nie wyparują do nicości i prędzej czy później, w taki czy inny sposób, będą one rozważane. Franciszek, chcąc nie chcąc, łączy w sobie niecierpliwość człowieka, który chciałby wszystko szybko ponaprawiać w Kościele, z watykańską cierpliwością, która rozkłada działalność naprawczą na czas niezmierzony. Nawet sprawy pilne wymagają według tej logiki „odpowiedniego czasu”.

O drodze synodalnej w Niemczech bp Georg Bätzing, przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, powiedział: „Duch Święty występuje przede wszystkim w mądrości zgromadzenia”. To prawda, lecz owoce niemieckiego „Synodu” będą jednak stanowiły tylko jeden z wielu materiałów przygotowywanych na ten synod biskupów, chociaż Niemcy – trzeba to przyznać – dołożyli starań, by to, co od nich przyjdzie, było przygotowane starannie i serio. Stworzyli rodzaj synodu z udziałem biskupów i świeckich – prace trwały kilka lat (od Adwentu 2019). W niemieckim zgromadzeniu uczestniczyło 215 osób, w tym ponad pięćdziesięciu biskupów. Wnioski zostały przyjęte większością dwóch trzecich głosów. Dotyczyły m.in. zniesienia celibatu, większej przejrzystości i podziału władzy w Kościele, udziału świeckich w nominacjach biskupów. Głosowano też za fundamentalnym przewartościowaniem podejścia do homoseksualizmu i innych tożsamości seksualnych oraz za diakonatem kobiet.

Materiał przygotowany przez niemiecki synod nie może zastąpić przygotowanego planu obrad Synodu Biskupów. Jakkolwiek zaś będzie on przebiegał, to nie można z całą pewnością przewidzieć, co przez Synod Biskupów nie zostanie przyjęte ani przez papieża zaakceptowane.

Bo jeśli nowe rozwiązania zostaną uznane za „ustępstwa”, to nie ocalą Kościoła. Sytuacja, w której już się on znalazł, jest „godziną prawdy”. Mnóstwo ludzi odchodzi i jeszcze odejdzie. Nawet trudno się im dziwić. Ci, którzy od Kościoła nie odejdą ani się od niego nie odwrócą, zgorszeni lub zawiedzeni „ludźmi Kościoła”, którzy się okażą ludźmi głębokiej wiary, zobaczą, że pod tym całym kiepskim materiałem tli się płomyczek obecności Pana Boga. Ci – być może oni, niezbyt liczni – ocalą Kościół. ©℗


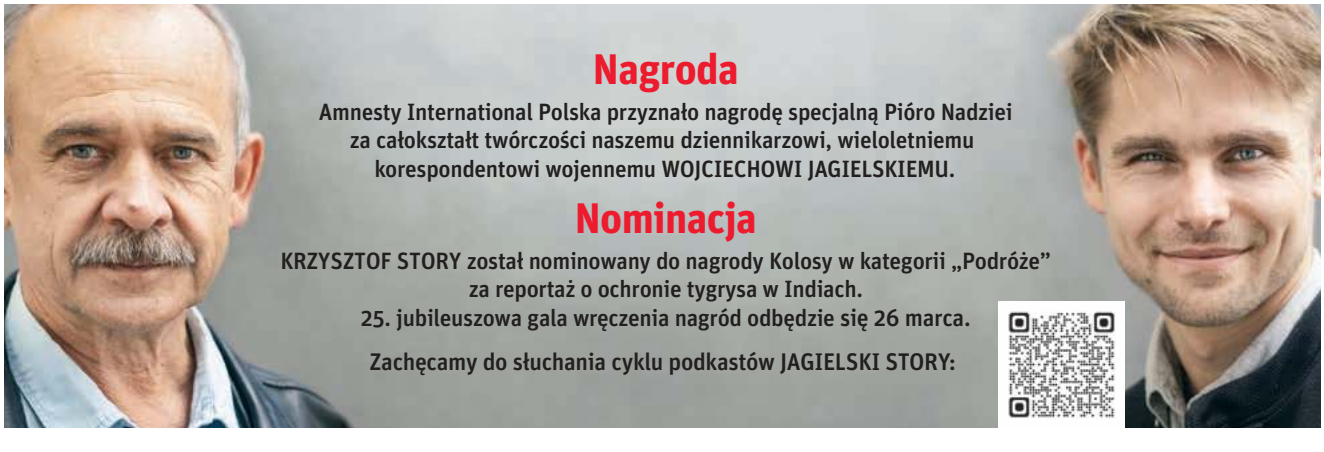

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

**20 Sprawiedliwość ludowa**
PIOTR SOŁOWIJ
*Czy instytucja sędziów pokoju usprawni działanie polskiego sądownictwa, czy raczej pogrąży je jeszcze bardziej w wygodnym dla obecnej władzy chaosie?*

**30 Blizny po papieżu**
*Przez lata oglądaliśmy go odrealnionego na pomnikach. Dziś zamiast człowieka, który chciał wskazywać na Chrystusa, widzimy twarze dzieci skrzywdzonych w Kościele – zauważa socjolog* MICHAŁ ŁUCZEWSKI *w rozmowie z* MICHAŁEM OKOŃSKIM.

**76 Odważny jak mucha**
KATARZYNA DZIADOWICZ
*Pojęcie osobowości zwierząt na dobre zadomowiło się już w nauce i w dodatku nie dotyczy wyłącznie gatunków udomowionych.*

**42 Wino z jednego zbioru**
*Walczący na froncie pisarz* ARTEM CZECH *przybliża pokolenie ludzi, których uformowała epoka postsowieckiego zamętu i którzy wzięli na siebie ciężar ocalenia Ukrainy.*

**94 Są tylko przyczyny**
PIOTR SIKORA
*Coraz bardziej przypominamy rodzinę, której członkowie potrafią na siebie jedynie krzyczeć. A gdyby zamiast łatwych osądów skupić się na źródłach ich powstawania? Co je karmi, a co sprawia, że tracą siłę?*

**80 Nasz ci on**
*Historyk sztuki* KONRAD NIEMIRA *opowiada* MONICE OCHĘDOWSKIEJ *o losach Piotra Norblina, „pana od rysunków" na dworze Radziwiłłów, który został okrzyknięty założycielem polskiej szkoły malarstwa.*

RAFAŁ GUZ / PAP // DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL // ARCHIWUM PRYWATNE // DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA // GRAŻYNA MAKARA // TUI DE ROY / BE&W

**6 Chodzi nie tylko o Putina**
MARCIN ŻYŁA

**7-11 Obraz tygodnia**

**18-19 Czytania / Widzenia**
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

**KRAJ**

**20 Sprawiedliwość ludowa**
PIOTR SOŁOWIJ

**24 Jeszcze bardziej chorzy**
PIOTR WÓJCIK: *Wysoka inflacja odbiera wielu Polakom szanse na życie w zdrowiu*

**26 Życie w ciągłej niewiadomej**
ANNA GOLUS *o problemach pacjentów z dolegliwościami trudnymi do zdiagnozowania*

**WIARA**

**30 Blizny po papieżu**
ROZMOWA Z MICHAŁEM ŁUCZEWSKIM

**36 Cena przetrwania**
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI: *Podczas niemieckiej Drogi Synodalnej świeccy uczyli się korzystać ze swoich praw*

**38 Męczennik komunizmu**
STANISŁAW ZASADA *o sensacyjnych ustaleniach IPN na temat okoliczności śmierci ks. Franciszka Blachnickiego*

**ŚWIAT**

**42 Wino z jednego zbioru**
ARTEM CZECH Z UKRAINY

**46 Buty dla Bracławia**
JACEK TARAN Z UKRAINY: *Gdy priorytetem budżetu stała się obronność, opieka nad osobami z chorobami psychicznymi zeszła na dalszy plan*

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

**12 Nie pytaj mnie o nią**
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Coraz więcej młodych Polaków identyfikuje się z płcią przeciwną niż metrykalna.

**DODATEK**

**59 MAGAZYN LITERACKI „KSIĄŻKI W TYGODNIKU"**

**FELIETONY**

**29** TOMASZ STAWISZYŃSKI **40** WOJCIECH BONOWICZ
**58** JACEK PODSIADŁO
**92** OLGA DRENDA **93** PAWEŁ BRAVO
**98** STANISŁAW MANCEWICZ
**98** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
POMNIK JANA PAWŁA II, ŁAGIEWNIKI, KRAKÓW
AUTOR: WŁADYSŁAW DUDEK, FOT. ADOBE STOCK

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

**48 Szturm na muzeum**
MARTYNA WASIUTA: *Poparcie Czechów dla NATO jest dziś najwyższe w historii*

**50 „Oni tu idą!"**
PATRYCJA BUKALSKA *o kontrowersjach, jakie budzą w Wielkiej Brytanii przepisy wymierzone w nielegalną imigrację*

**51 Estonia ma jej twarz**
TOMASZ OTOCKI: *Kaja Kallas właśnie tworzy w Tallinie swój trzeci rząd*

**53 Cel: renesans ojczyzny**
PIOTR BERNARDYN *o wyzwaniach stojących u progu nowej kadencji przed Xi Jinpingiem*

**HISTORIA**

**54 Historia migana**
ANNA GOC: *Tomasz Świderski, głuchy historyk, pisze dzieje głuchych w Polsce*

**NAUKA**

**76 Odważny jak mucha**
KATARZYNA DZIADOWICZ

**KULTURA**

**80 Nasz ci on**
ROZMOWA Z KONRADEM NIEMIRĄ

**86 Przypadkowy turysta**
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Sundown" Michela Franco*

**87 Czytajmy!**
LEKTOR *o książce Ryszarda Koziołka „Czytać, dużo czytać"*

**88 Skąd przyleciały harpie**
KAROLINA FELBERG *o sile stereotypów płciowych, które zakorzeniła w kulturze klasyczna mitologia.*

**ZMYSŁY**

**94 Są tylko przyczyny**
PIOTR SIKORA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

**Co obejrzeć w weekend**
*Kim jest wielki, rudy, włochaty zwierz z „To nie wypanda"? Metaforą dojrzewania, kobiecej energii czy ochronnego kamuflażu?*
– poleca **ANITA PIOTROWSKA** | **tygodnikpowszechny.pl/weekend**

**Strona świata**
*Sto lat po bolszewikach wody Amu-darii, przecinającej Azję Środkową, zawrócić próbują afgańscy talibowie*
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

# CHODZI NIE TYLKO O PUTINA

Miło sobie wyobrazić rosyjskiego prezydenta za kratami. Ale w decyzji Trybunału w Hadze ważniejsze – choć mniej symboliczne – są zarzuty pod adresem jego urzędników.

MARCIN ŻYŁA

Niektórzy przestępcy rzeczywiście wracają na miejsce zbrodni. Pod osłoną nocy Władimir Putin jeździł w ostatni weekend po zniszczonym przez jego żołnierzy Mariupolu. Zapewne na użytek propagandy, by wyglądać na człowieka sprawczego (Putin lubuje się w takiej pozie), sam prowadził auto.

Aleją Pokoju, prowadzącą obok zbombardowanego szpitala położniczego, Putin nie dojechał jednak do jej końca – pod teatr, pod którego gruzami w marcu 2022 r. zginęło kilkaset osób, w tym wiele dzieci. Skręcił w prawo, aby w odnowionej filharmonii sfotografować się na tle smutnej pustej widowni. Tuż przed Mariupolem odwiedził też Sewastopol na okupowanym Krymie – już w biały dzień, bo tu ciemności nie musiały maskować ruin.

Nie wiemy, czy faktycznie były to wizyty niezapowiedziane (tak twierdzi Kreml). Może miały odwrócić uwagę Rosjan od decyzji Międzynarodowego Trybunału Karnego, który 17 marca ogłosił wydanie nakazu aresztowania przywódcy Rosji oraz jego współpracowniczki, komisarz ds. praw dziecka Marii Lwowej-Biełowej. Oboje są oskarżeni o zbrodnię wojenną wymienioną pierwszy raz w artykule 147. czwartej konwencji genewskiej („bezprawne deportacje i przeniesienia") oraz w artykułach Rzymskiego Statutu MTK: chodzi o udział w organizacji nielegalnych wywózek, w tym przypadku ukraińskich dzieci do Rosji.

MTK zapowiada, że Putin i kolejni rosyjscy urzędnicy mogą spodziewać się następnych zarzutów. Na razie skoncentrowano

*Przed operą w Kijowie, w rocznicę nalotu na teatr w Mariupolu, w którym zginęło kilkuset cywilów, ludzie układają ze świec słowo „Dzieci". 16 marca 2023 r.*

się na sprawie najlepiej jak dotąd przez Trybunał udokumentowanej. Ukraińskie dzieci z terytoriów okupowanych, które straciły rodziców (lub zostały od nich oddzielone na skutek walk albo rosyjskich procedur filtracyjnych), bądź też które przebywały w instytucjach opieki, przewożono do Rosji, gdzie wiele poddano przymusowej adopcji. Umożliwił to dekret Putina z maja 2022 r., który uprościł procedury nadawania obywatelstwa. Marii Lwowej-Biełowej otworzył on możliwość zatrzymywania dzieci w Rosji – wbrew zapewnieniom, że ewakuowano je dla ochrony przed wojną.

Prawdopodobieństwo, że 70-letni dziś Putin, przywódca państwa z arsenałem nuklearnym, usiądzie kiedyś na ławie oskarżonych w Hadze, jest nikłe – choć przecież nie zerowe. W 2001 r., po zmianie układu sił w Serbii, przed bliźniaczy trybunał trafił Slobodan Milošević, wcześniej uznawany za nietykalnego przez całe lata 90. XX w. Do honorowania haskich nakazów aresztowania zobowiązały się 123 państwa świata (w systemie MTK nie uczestniczą jednak Rosja, Chiny, USA i Ukraina; dwa ostatnie państwa współpracują jednak z Trybunałem). Uznanie Putina za podejrzanego o zbrodnie stawia w trudnej sytuacji władze RPA, dokąd w sierpniu tego roku miał się udać Putin. W 2015 r. południowoafrykański sąd nakazał zatrzymanie prezydenta Sudanu Południowego Umara al-Baszira, wizytującego wtedy Afrykę Południową, za którym MTK też wydał nakaz aresztowania – rząd RPA umożliwił mu jednak wyjazd z kraju. Ostatecznie o wszystkim decyduje zatem polityka.

Paradoksalnie jednak ważniejsze od Putina może okazać się ewentualne zatrzymanie Lwowej-Biełowej – oraz innych rosyjskich urzędników i wojskowych, przeciwko którym dowody zbierane są od miesięcy, także przy pomocy polskich śledczych. Ponad sto procesów przeprowadzonych przed dawnym Trybunałem ds. zbrodni w byłej Jugosławii pokazało, że na sali sądowej tacy właśnie ludzie są najbardziej skłonni obnażać zbrodnicze mechanizmy reżimów, by ratować skórę. Ogłoszenie nakazu aresztowania Lwowej-Biełowej może spełnić też funkcję dla potencjalnych ofiar ważniejszą od zaspokojenia naszego poczucia sprawiedliwości: skłania czasem (co przyznawali Serbowie i Chorwaci oskarżeni w Hadze) mniej znanych funkcjonariuszy państw autorytarnych do rewizji swojego postępowania. ©℗

SERGEI SUPINSKY / AFP / EAST NEWS

# *Rząd obiecuje, ale protest trwa*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ubiegłotygodniowe zapowiedzi Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej, które chce wprowadzić m.in. nowe świadczenie, podzieliły środowisko osób z niepełnosprawnościami. „Dla mnie nie padła tam żadna dobra propozycja" – powiedziała protestująca w Sejmie Iwona Hartwich, matka niepełnosprawnego Jakuba i posłanka KO (gdy zamykaliśmy to wydanie „TP", protest trwał). Z kolei satysfakcję z kierunku zmian wyraziło np. Polskie Forum Osób z Niepełnosprawnościami. Inni akcentowali, że jeśli idzie o konkrety, to odbyła się konferencja prasowa – z ocenami trzeba poczekać na projekty.

Nowe świadczenie ma być wypłacane niezależnie od dotychczasowych – a więc także od renty socjalnej, o której podwyższenie walczą protestujący – i przysługiwać najbardziej potrzebującym, którzy (zgodnie z nowym w Polsce systemem orzecznictwa, który planuje wprowadzić rząd) zmieszczą się między 70. a 100. stopniem w stupunktowej skali potrzeb. W przedziale 70-80 świadczenie ma wynosić niecałe 800 zł; będący w kolejnej „dziesiątce" dostaną około 1500, zaś ci najbardziej potrzebujący – ponad 3 tysiące.

Ale protestujący uważają, że ich podopieczni mogą nie zobaczyć nawet złotówki. Alicja Jochymek, mama Kingi z niepełnosprawnością intelektualną, mówiła w piątek „TP", że względna fizyczna sprawność jej dziecka nie oddaje faktycznej skali potrzeb. I że ona jako opiekunka nie może odstąpić swojej córki na krok, przez co nie skorzysta również na innej zapowiadanej zmianie – możliwości dorabiania do wypłacanego opiekunom świadczenia pielęgnacyjnego.

Jest jeszcze trzeci filar planowanych zmian: ustawa o asystencji osobistej, nad którą pracuje Kancelaria Prezydenta, i której realizację przekłada od 2021 r. Asystenci, pomagający w prowadzeniu aktywnego życia, już w Polsce funkcjonują, ale na zasadzie projektów. Teraz ich wsparcie ma być gwarantowane ustawą – tyle że do poniedziałku nadal nie było jasne, komu i w jakim zakresie ma przysługiwać.

Bez tej zmiany skończy się tym, w czym rząd się przez lata – z akcentem na przedwyborcze miesiące – wyspecjalizował: na sypaniu gotówką. Bez głębszych zmian, o których władza opowiada od lat. ©℗

## Eksmisja w historycznej Ławrze Kijowskiej

**„MYŚLĘ O PRAWOSŁAWNYCH** zakonnicach z Ławry Kijowskiej: proszę walczące strony o poszanowanie miejsc kultu religijnego. Konsekrowane zakonnice, ludzie poświęceni modlitwie – niezależnie od wyznania – wspierają lud Boży" – powiedział Franciszek podczas środowej audiencji ogólnej. Była to odpowiedź na apel patriarchy moskiewskiego Cyryla, wystosowany 11 marca do papieża, sekretarza generalnego ONZ António Guterresa i do wspólnoty międzynarodowej – o niedopuszczenie do eksmisji mnichów z Ławry Peczerskiej w Kijowie. Władze ukraińskie zadecydowały, że do 29 marca prawosławni zakonnicy podlegli Patriarchatowi Moskiewskiemu muszą opuścić zabytkowy kompleks cerkiewny – jedno z najważniejszych miejsc kultu prawosławia.

W listopadzie 2022 r. przeprowadzono rewizję na terenie Ławry. Przejęto m.in. duże sumy pieniędzy, dokumenty rosyjskie i literaturę propagandową w duchu wielkorosyjskim. Stwierdzono także, że przebywają tam bez zezwolenia obywatele Rosji i osoby bez obywatelstwa. A ponieważ cały obiekt jest własnością państwa, a część pomieszczeń wynajmował dotychczas Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego, 1 stycznia tego roku władze ukraińskie wypowiedziały mnichom umowę najmu, co wywołało protesty w Moskwie i prorosyjskim prawosławiu w Ukrainie.

Minister kultury i polityki informacyjnej Ukrainy Ołeksandr Tkaczenko zapowiedział, że druga pod względem znaczenia i rosyjskich wpływów w prawosławiu ukraińskim – po Ławrze Kijowskiej – Ławra Poczajowska na Wołyniu także powróci pod bezpośredni zarząd państwa. Już rozpoczęto proces wypowiedzenia umów najmu.

©℗ ARTUR SPORNIAK

## Bankowy świat wciąż mocno trzeszczy

**SZYBKA AKCJA RATUNKOWA**, którą w miniony weekend zorganizował Szwajcarski Bank Centralny, ustabilizowała sytuację banku Credit Suisse. Przejmie go jego główny konkurent, bank UBS. Szwajcarski Bank Centralny zapowiedział, że udostępni kupującemu 100 mld franków na wsparcie uzyskania płynności. Kolejnych 9 mld franków na pokrycie ewentualnych strat UBS dostanie bezpośrednio od szwajcarskiego rządu. Sternicy tamtejszej polityki monetarnej wciąż liczą się więc z ryzykiem eskalacji bankowego kryzysu, choć oficjalnie mówią o jego zażegnaniu.

Problemy Credit Suisse zaczęły się 15 marca, kiedy po bankructwie amerykańskiego Silicon Valley Bank grupa kluczowych klientów wycofała z niego aktywa znacznej wartości. Nie pomogło szybkie dofinansowanie w wysokości 50 mld franków, z jakim pospieszył bank centralny. Klienci nadal wycofywali pieniądze. Ogłaszając przejęcie bankruta przez UBS prezydent Szwajcarii Alain Berset przyznał, iż niemożliwe jest „przywrócenie zaufania do Credit Suisse". Pytanie na dziś brzmi jednak inaczej. Czy zaufania dla systemu bankowego wystarczy klientom w innych krajach? ©℗ MAREK RABIJ

## Rząd ignoruje sąd

**PRACE REGULACYJNE** na Odrze należy natychmiast wstrzymać – orzekł 9 marca Naczelny Sąd Administracyjny, potwierdzając wyrok niższej instancji. Już w grudniu 2022 r. sąd uchylił decyzję środowiskową dla inwestycji w dolnym biegu Odry, prowadzonej przez Wody Polskie. WP decyzję zignorowały i dalej prowadziły prace na odcinku lubuskim i zachodniopomorskim. Regulacja ma służyć „poprawie bezpieczeństwa powodziowego", choć ciężko nie dopatrywać się związku z planem rozwoju transportu rzecznego na Odrze.

Zdaniem niemieckich organizacji przyrodniczych, rządu Brandenburgii (to oni zgłosili skargę), a teraz także polskiego sądu – prace stanowią zbyt dużą krzywdę dla ekosystemu, który dopiero co przeszedł katastrofę ekologiczną. Za to wiceminister infrastruktury Marek Gróbarczyk zapowiada, że ani myśli wykonać prawomocny wyrok. Nazywa go „idiotycznym" i dodaje, że „sąd mógłby równie dobrze nakazać Odrze płynąć z południa na północ". Cała sprawa może trafić przed TSUE. Rząd spróbuje zapewne obejść wyrok podczas prac nad specustawą odrzańską, która ma odbudować rzekę. ©℗ KRZYSZTOF STORY

# *Na Nowogrodzkiej boją się młodych*

JACEK TARAN

NAJPIERW SIŁĄ WYPROWADZILI ICH Z BUDYNKU i wrzucili do radiowozów, gdzie skuli kajdankami i rozwieźli po komendach w okolicach Warszawy. Byli przeszukiwani w sposób upokarzający – kazano im się rozbierać do naga. – Nie wiedzieliśmy, na jak długo jesteśmy zatrzymani i jakie mamy zarzuty. Wypuścili nas dopiero po trzydziestu godzinach – opowiada aktywistka Agnieszka Kula, która wraz z siedmioma innymi osobami 12 marca protestowała w siedzibie PiS na Nowogrodzkiej. Trafiła na komendę w Piastowie. Na stanowisko policji w tej sprawie wciąż czekamy.

Protestujący reprezentują Ruch Solidarności Klimatycznej. Domagają się „uspołecznienia energii", czyli utworzenia w każdej gminie spółdzielni energetycznej oraz społecznego nadzoru nad spółkami produkującymi prąd. Kilka tygodni temu złożyli w kancelarii premiera list w tej sprawie. Nie doczekali się odpowiedzi, więc poszli zaprotestować na Nowogrodzką.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że bezsensowna brutalność i nadgorliwość policji bierze się z politycznego zamówienia. Siedziba PiS stała się twierdzą, pod którą nie można demonstrować, bo władza nie widzi miejsca na zdanie odrębne. Nawet to wypowiadane przez młodych ludzi, którymi kieruje troska o los planety, ale też osób najbiedniejszych – to istota Ruchu Solidarności Klimatycznej. Nie tylko działania policji były nieadekwatne do zagrożenia. Postawione studentom zarzuty też wydają się absurdalne – zostali oskarżeni o naruszenie miru domowego i zmuszanie przemocą lub groźbą innych osób do określonych zachowań – za ten czyn grozi kara do trzech lat więzienia. Prokuratura nałożyła też na nich dozór policyjny.

Ludzie domagający się solidarności klimatycznej tak naprawdę upominali się o fundamentalną zasadę łączącą społeczeństwo. We władzy, która tak chętnie powołuje się na dziedzictwo Solidarności, taka postawa budzi strach. ©℗

## KRAJ W SKRÓCIE

**KAMPANIA**

**Tylko wspólna lista opozycji może dać gwarancję pokonania PiS w wyborach – wynika z sondażu Kantar Public, opublikowanego na łamach „Gazety Wyborczej". Z sondażu SW Research dla „Rzeczpospolitej" możemy się z kolei dowiedzieć, że najważniejsze tematy kampanii to inflacja i stan gospodarki, a nie kondycja demokracji w Polsce, stosunki z UE czy obrona Jana Pawła II.**

**OBRONA**

**Nie do wszystkich obrońców papież Polak ma zresztą szczęście. Na łamach tygodnika „Do Rzeczy" p. Stanisław Michalkiewicz mówi, że „to jest kampania, którą rozpętały w Polsce dwa ośrodki. Pierwszym jest judenrad [pisownia oryginalna] »Gazety Wyborczej«, a drugim ośrodkiem jest TVN, czyli żydowska telewizja dla Polaków".**

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

**BROŃ**

**Tymczasem Zbigniew Ziobro broni się sam: media opublikowały fotografię, na której zza paska spodni ministra wystaje pistolet. „Mam prawo skorzystać z takich środków, które gwarantują mnie i mojej rodzinie bezpieczeństwo" – tłumaczy.**

**WYROK**

**Po czteroletnim śledztwie i procesie Stefan Wilmont został skazany na dożywocie za zabójstwo prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. O ewentualne przedterminowe zwolnienie sprawca będzie mógł się ubiegać po 40 latach.**

LOIC VENANCE / AFP / EAST NEWS

## Chaos w Paryżu

**GORĄCZKA** wzrosła do 49.3 – komentowała prasa nad Sekwaną, gdy w miniony czwartek francuski liberalny rząd przyjął bardzo niepopularną ustawę podnoszącą wiek emerytalny z 62 do 64 lat.

„49.3" oznacza artykuł konstytucji Francji, który pozwala w nadzwyczajnych sytuacjach przeprowadzić ustawy z ominięciem głosowania w parlamencie. Prezydent Macron i premier Élisabeth Borne zdecydowali się na ten ryzykowny manewr, gdyż rządząca formacja nie ma bezwględnej większości w Zgromadzeniu Narodowym. Sięgnięcie po tę „broń specjalną" wzburzyło Francuzów, którzy od tygodni protestują przeciw reformie emerytalnej. Do tej pory pokojowo. Zaraz po decyzji rządu w Paryżu, Lyonie i innych miastach doszło do zamieszek – manifestanci rzucali butelki z benzyną, policja użyła gazu łzawiącego (na zdjęciu: protest w Nantes, 15 marca). Tylko w Paryżu zatrzymano w sobotę ponad 120 uczestników zajść. Związkowcy grożą kontynuacją protestów, m.in. na kolei i w rafineriach.

Rządowej reformy można bronić na gruncie ekonomicznym – przemawia za nią zwłaszcza starzenie się społeczeństwa. Treść – to jedno, metoda – to drugie. Media nad Sekwaną są wyjątkowo zgodne: użycie „49.3" dolało oliwy do ognia i to w sytuacji, gdy Francuzi są zmęczeni inflacją i wzrostem cen. Teraz krajowi grozi polityczny impas, a może i przyspieszone wybory, jeśli parlament przyjmie opozycyjne wotum nieufności dla rządu (w chwili zamknięcia tego numeru „TP" wynik głosowania nie był jeszcze znany).

Symbolem chaosu nad Sekwaną są góry śmieci zalegające od dwóch tygodni w Paryżu z powodu strajku pracowników oczyszczania. Śmieciarki już wracają na ulice. Trudniej będzie usunąć społeczne szkody wywołane błędną decyzją Macrona o forsowaniu niechcianej reformy.

© SZYMON ŁUCYK z Paryża

## Biden zezwala na odwierty na Alasce

**SZUKAJĄC NOWYCH ŹRÓDEŁ** ropy, administracja prezydenta USA zatwierdziła kontrowersyjny projekt „Willow" (ang. „Wierzba"): firma ConocoPhillips będzie mogła wykonać ponad 200 odwiertów na północy Alaski i przez 30 lat wydobyć ponad 600 mln baryłek ropy. Skala projektu jest ogromna, choć pierwotne plany ConocoPhillips miały jeszcze większy rozmach. „Wierzba", porażka organizacji ekologicznych, może być problemem dla Bidena w nadchodzącej kampanii: w 2020 r. szedł do wyborów z hasłami ekologicznymi, a w dwóch pierwszych latach urzędowania wydał więcej pozwoleń na odwierty niż Donald Trump. Według prognoz w 2024 r. USA pobiją rekordy produkcji ropy i gazu. Z drugiej strony Biały Dom wydaje miliardy na transformację energetyczną i chroni kolejne obszary. Równolegle ze zgodą na „Willow" ogłoszono plan wyłączenia 52 tys. km² na Alasce z odwiertów i wydobycia.

©℗ KRZYSZTOF STORY

## *MiG-i dla Ukrainy*

WOJCIECH PIĘCIAK

Dwie informacje o takiej wadze gatunkowej, podane przez polskie władze niemal równocześnie, to raczej nie przypadek – zważywszy, że procesy, które doprowadziły do obu wydarzeń, trwały od miesięcy. *News* pierwszy to decyzja rządu, ogłoszona przez premiera i prezydenta, by z zasobów polskiej armii przekazać Ukrainie myśliwce bombardujące MiG-29. Mowa jest o kilkunastu, a pierwsze cztery mają trafić na Ukrainę już wkrótce. Premier i prezydent podkreślali, że choć taką decyzję podejmujemy pierwsi, nie działamy sami – dzień później także rząd Słowacji ogłosił, że przekaże Ukrainie 13 swoich MiG-ów.

Polska ponownie znalazła się w czołówce krajów, które swoimi decyzjami – bez wątpienia mającymi oparcie w USA – wyznaczają systemowy standard dostaw kolejnych rodzajów broni dla Ukrainy. W ten sposób to, co na początku wydawało się (niektórym) polityczno-militarnym tabu, z czasem staje się normą – systemem, w którym uczestniczą już kolejne kraje. W minionych miesiącach to kolejne takie padające tabu – wcześniej podobnie było z rozróżnieniem (absurdalnym i szczęśliwie szybko zarzuconym) na broń „ofensywną" i „defensywną" albo z czołgami produkcji zachodniej. Miejmy nadzieję, że docelowo znikną wszelkie tabu, a Ukraina będzie systemowo otrzymywać każdą broń, jakiej potrzebuje. Także samoloty konstrukcji zachodniej – kilka państw sugerowało ostatnio, że rozważa takie dostawy. Być może decyzja Polski zachęci je, by tak uczynić.

Informacja o MiG-ach zbiegła się z inną: o rozbiciu przez polski kontrwywiad siatki rosyjskich agentów, potencjalnych sabotażystów. Aresztowani mieli monitorować ruch na szlakach komunikacyjnych w Polsce, którymi idą dostawy broni dla Ukrainy, i przygotowywać akty dywersji. Ponieważ rozpracowanie tej siatki miało trwać kilka miesięcy, zapewne nie jest przypadkiem, że o jej likwidacji poinformowano w chwili, gdy zapadała decyzja rządu o MiG-ach. To jasny sygnał dla Moskali, że będziemy dalej robić swoje. ©℗

Czytaj więcej: **powszech.net/mig29**

# Warunek arcybiskupa Jędraszewskiego

**BISKUPI** powołają niezależny – jak zadeklarowali – zespół badawczy, który najpierw przebada archiwa IPN i zidentyfikuje księży wykorzystujących seksualnie małoletnich w czasach PRL, a potem sprawdzi, co na ich temat znajduje się w archiwach kościelnych. Decyzja została podjęta na niedawnym zebraniu plenarnym Konferencji Episkopatu Polski jednogłośnie – jak potem na konferencji prasowej podkreślali abp Wojciech Polak i abp Grzegorz Ryś. Ma to uspokoić sytuację po filmie Marcina Gutowskiego „Franciszkańska 3" i książce Ekkego Overbeeka „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział".

Jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, prymas Polski przedstawi konkretne propozycje co do składu zespołu i jego kompetencji w maju na spotkaniu Rady Stałej, aby zespół w czerwcu mógł zostać zatwierdzony na zebraniu plenarnym KEP.

Na razie abp Polak nie chce mówić o szczegółach. Kluczową sprawą będzie niezależność takiego gremium, gdyż Kościół w Polsce nie ma dobrej tradycji z komisjami historycznymi. Powoływanym w 2006 r. komisjom lustracyjnym (np. Kościelnej Komisji Historycznej czy krakowskiej Komisji „Pamięć i Troska"), delikatnie mówiąc, nie udało się dokonać rzetelnej lustracji. Najlepiej gdyby biskupi kompletowanie składu zespołu oddali w ręce niezależnego autorytetu, tak jak to było w przypadku francuskiej Niezależnej Komisji ds. Nadużyć w Kościele.

Drugim problemem będzie rzeczywisty dostęp do kościelnych materiałów. „Tajemnica archiwalna obejmuje co najwyżej ostatnie pięć lat pobytu kard. Wojtyły w Krakowie. Gdyby ktoś chciał mieć dostęp do dokumentów powstałych po roku 1973 r., to pewnie musiałby prosić dyrektora archiwum. W każdym razie [w dostępie] do dokumentów archiwalnych z czasów Karola Wojtyły w Polsce dzisiaj nie ma żadnych przeszkód, można do nich dotrzeć na normalnych zasadach" – przekonywał na konferencji prasowej abp Ryś. Problem w tym, że w krakowskim archiwum kurialnym normalne zasady nie obowiązują. Jak dowiedział się „Tygodnik", od 1 stycznia obowiązuje do odwołania (a ono do tej pory nie nastąpiło) wydany przez abp. Jędraszewskiego całkowity zakaz dostępu do tzw. materiałów wrażliwych, czyli teczek personalnych księży.

Czy krakowski metropolita zrobi wyjątek dla „niezależnego zespołu badawczego"? Mimo że na zebraniu plenarnym abp Jędraszewski głosował za jego powołaniem, wcale nie jest oczywiste, że go wpuści do archiwum. Jak się dowiedział „Tygodnik", Jędraszewski postawił na zebraniu plenarnym warunek: zgodę na badanie sprawy Wojtyły musi wydać Watykan. Nikt nie dopytał, co to w praktyce oznacza i kto ewentualnie w Watykanie taką zgodę miałby wydać.

©℗ ARTUR SPORNIAK

## KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

**BEZ PIENIĘDZY**
**Diecezja Albany w stanie Nowy Jork oraz diecezja Santa Rosa w Kalifornii ogłosiły upadłość. Związane jest to z ogłoszonymi przez władze tych stanów „oknami prawnymi" znoszącymi przedawnienia przestępstw pedofilskich, co spowodowało setki pozwów wniesionych przeciwko Kościołowi katolickiemu.**

**BEZ MONSTRANCJI**
**Dominikański Ośrodek Liturgiczny po raz trzeci zorganizował Cichą Procesję. Uczestnicy przeszli od dominikańskiego kościoła w Krakowie do bazyliki Bożego Ciała na Kazimierzu w procesji bez zewnętrznych oznak religijnych, modląc się w milczeniu. Taką formę w 2021 r. wymusiła pandemia. Wydarzenie nawiązuje do Cichych Procesji organizowanych przez katolików od 150 lat w Amsterdamie.**

**BEZ WZGLĘDU**
**Jak dowiedział się „Tygodnik", przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki ujawnił księżom poznańskim, że na pierwszej sesji synodu o synodalności w październiku w Watykanie Kościół polski reprezentować będzie wraz z nim abp Marek Jędraszewski. Przypomnijmy, że metropolita krakowski nie opublikował diecezjalnej syntezy synodalnej, ponieważ zawierała krytykę stylu jego rządów.**

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"**
**co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!**
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
**– www.tokfm.pl**

DOMINIK ZAJĄC, PRAWNIK

# *Nacisk na wyrok*

**MAREK KĘSKRAWIEC: Poznański sąd uniewinnił 32 osoby, które podczas protestów po wyroku TK w sprawie aborcji doprowadziły do przerwania mszy w katedrze. Były ulotki, klaskanie, transparenty, okrzyki. Zdziwił Pana ten wyrok?**

PIOTR MALEC / KIPK

**DOMINIK ZAJĄC:** Zupełnie nie. Zdaniem sądu ci ludzie nie popełnili przestępstwa, jednak z perspektywy prawa karnego fakt uznania kogoś za niewinnego nie oznacza, że wręcza mu się order albo uznaje jego zachowanie za godne pochwały.

**W uzasadnieniu sędzia wiele miejsca poświęciła sytuacji politycznej w Polsce, jakby trochę usprawiedliwiała oskarżonych. Uznała też, że ich działanie nie było złośliwe. Zgadza się Pan z tym?**
Kościół katolicki w Polsce to nie tylko wspólnota religijna, ale też aktywny gracz polityczny, kształtujący system prawny, życie społeczne i światopogląd wielu ludzi głosujących w wyborach. W demokracji trzeba się w takiej sytuacji liczyć ze sprzeciwem wyrażanym w miejscach, gdzie ta polityczna narracja jest prowadzona, czyli, niestety, w świątyniach. W tym kontekście działanie oskarżonych nie było złośliwe. Było emocjonalne, ale nie było nakierowane na poniżenie wiernych.

**Przewodnicząca KRS napisała list do prezesa Sądu Okręgowego w Poznaniu, sugerując wysłanie sędzi Joanny Knobel na szkolenie z prawa konstytucyjnego.**
Wyrok był nieprawomocny, a list trafił do szefa sądu, w którym będzie zapewne rozpatrywana apelacja. Oficjalne niezadowolenie wyrażone przez osobę tak wysoko postawioną w hierarchii to dla mnie forma odgórnego nacisku na sąd i sugerowanie wyroku, jaki ma zapaść w sprawie.©℗

**DR DOMINIK ZAJĄC** *jest adiunktem w Katedrze Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego.*

## KULTURA W SKRÓCIE

**Z KRAKOWA**

**Badacz literatury, pisarz, tłumacz i publicysta Tadeusz Sławek odebrał Nagrodę im. Kazimierza Wyki przyznawaną za wybitne osiągnięcia w dziedzinie eseistyki oraz krytyki literackiej i artystycznej. Wręczanym od ponad czterdziestu lat wyróżnieniem uhonorowani zostali dotąd m.in. Jan Błoński, Maria Janion, Andrzej Franaszek i Michał Paweł Markowski.**

**Z TEL AWIWU**

**Dyrektor artystyczny Filharmonii Łódzkiej Paweł Przytocki jako pierwszy polski dyrygent poprowadził koncert inaugurujący 17. Międzynarodowy Konkurs Mistrzowski im. Artura Rubinsteina w Tel Awiwie. Zmagania, w których startuje 33 uczestników, potrwają do 1 kwietnia.**

**Z WARSZAWY**

**W 30. rocznicę śmierci Józefa Czapskiego warszawska Galeria aTAK prezentuje jego rysunki i obrazy – wiele z nich po raz pierwszy. Wszystkie prace stanowią część kolekcji Grzegorza Przewłockiego. Wystawę oglądać można do 18 maja.**

**Z SALONIK**

**Film dokumentalny „Głos" Dominiki Montean-Pańków, relacjonujący życie w zakonnym nowicjacie, zdobył główną nagrodę podczas festiwalu Thessaloniki Documentary. W sekcji Newcomers specjalne wyróżnienie otrzymał z kolei „Leon" Wojciecha Gostomczyka.**

RDC POLSKIE RADIO

**DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"** co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

PA IMAGES / ALAMY

**GITARĄ I MIECZEM**. Za zasługi dla muzyki i działalność charytatywną król Karol III nadał tytuł szlachecki Brianowi Mayowi, założycielowi i gitarzyście zespołu Queen – ugruntowując w ten sposób związki buntowniczego kiedyś rocka z dostojnym dworem. Gitarzysta dołączył do innych szlachciców – Micka Jaggera, Eltona Johna, Boba Geldofa i Paula McCartneya – złośliwi narzekają więc, że muzyków łatwiej spotkać na earl greyach w pałacu Buckingham niż w studiach nagrań (jeszcze złośliwsi twierdzą, że tak jest lepiej). Gitarowa wersja brytyjskiego hymnu w wykonaniu Maya kończy najsłynniejszy longplay Queen „A Night at the Opera" z 1975 r. ©℗ ŻYM

## Ostatnie z nich

**WYWOŁANĄ PRZEZ NIEGO** epidemię brytyjska weterynarz Lee Berger wykryła ćwierć wieku temu w Australii i Panamie. W 2019 r. badacze alarmowali, że doprowadził już do wyginięcia 90 gatunków płazów na całym świecie. Teraz Sonii L. Ghose i współpracownikom udało się ustalić, jakie szkody pasożytniczy grzyb *Batrachochytrium dendrobatidis* (*Bd*) poczynił w Afryce. Jest gorzej, niż przewidywano.

Badacze pobrali próbki skóry z 4,5 tys. muzealnych i współczesnych okazów, zebranych w ciągu ostatnich 165 lat. Do 2000 r. w Afryce nosicielem *Bd* był prawie co trzydziesty płaz, dzisiaj – niemal co piąty. W skali globalnej *Bd* może być jedną z głównych przyczyn, dla których 40 proc. spośród znanych 8 tys. gatunków płazów jest zagrożonych wyginięciem. Żaden inny znany patogen kręgowców nie ma na koncie aż tylu ofiar.

Infekcja *Bd* prowadzi do zmian w skórze, która dla płazów jest kluczowym organem. U zakażonych osobników pojawiają się zgrubienia utrudniające wymianę gazów i powodujące odwodnienie, a w końcu ustanie krążenia. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

## Wulkany na Wenus? Wyjaśniłyby wiele zagadek

**WENUS** nie jest tak martwa, jak się wydawało. Piekielna bliźniaczka Ziemi daje oznaki życia. Geologicznego, nie biologicznego.

Nowe badanie wskazuje, że na powierzchni planety istnieją czynne wulkany. Nie da się ich tak po prostu wypatrzeć, bo Wenus wiecznie przesłania gruba warstwa chmur z dwutlenku węgla i dwutlenku siarki. Pomogły obrazy radarowe wykonane 30 lat temu przez sondę Magellan. Między dwoma zdjęciami krater w obszarze Atla Regio zdawał się zmienić kształt, co może wskazywać na erupcję. Zdjęcia wykonano jednak pod różnymi kątami, a ich rozdzielczość jest niska – jeden piksel to obszar boiska.

To wulkany mogły sprawić, że Wenus, która miliardy lat temu miała oceany i warunki dla powstania życia, zmieniła się w świat z wizji Beksińskiego. Zeszłoroczne badanie NASA wskazuje, że kolosalne erupcje mogły dosłownie ugotować planetę.

Mogą też wytłumaczyć inną zagadkę. W 2020 r. w atmosferze Wenus odkryto związek zwany fosfiną, który może być produkowany przez bakterie. W 2021 r. badacze wskazali jednak, że jeśli na planecie wciąż są wulkany, to one mogą być źródłem gazu.

Na Wenus wybierają się wkrótce cztery misje kosmiczne. W 2025 r. prywatna sonda nowozelandzkiej firmy Rocket Lab poszuka w atmosferze śladów życia. Później dotrą tam europejska EnVision i amerykańskie DAVINCI i VERITAS. © MICHAŁ GIKOWSKI

TEMAT TYGODNIKA

# NIE PYTAJ MNIE O NIĄ

Coraz więcej młodych Polaków identyfikuje się z płcią przeciwną niż metrykalna. Jak im pomóc, nim przygniecie ich stres mniejszościowy? Jak nie skrzywdzić za szybko przystawioną pieczęcią: „transpłciowy”?

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI | ILUSTRACJE KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Data i miejsce narodzenia: lipiec 2019, Facebook. Imię: Dawid.

Pierwsze zdjęcie: z krótkimi, ciemnymi włosami, zafrasowaną miną i częścią twarzy zasłoniętą przez telefon. Jakby nie był jeszcze do końca pewien, czy chce się pokazać światu.

Przez kolejne trzy i pół roku tych profilowych fotografii uzbiera się kilkanaście. Włosy jeszcze ciemniejsze. Brązowe. Zielonkawe. Rude. Blond. Na twarzy melancholia, rzadziej nieśmiały uśmiech, raz nawet – na zdjęciu z dużym białym kotem – od ucha do ucha; nowe zdjęcie co miesiąc, rzadziej co kilka. Tak jakby ciągle szukał najlepszej wersji nowego siebie, w której świat ma go ujrzeć.

Najnowsze, z włosami blond, dyskretnie uśmiechniętymi oczami i najbardziej męskim sznytem, opatrzone jest komentarzem: „To zdjęcie jest jednak takie trochę najlepsze”.

Fotografii sprzed lipca 2019 brak. Podobnie jak informacji, postów, danych. – Nie pytaj o stare imię, to punkt pierwszy – mówi, gdy spotykamy się w lutym, a ja proszę go o zbiór „przykazań”: o co nie zagadywać. – To pytanie rani, bo podkreśla moją starą tożsamość.

### Jakbym robił show

Data i miejsce narodzenia: rok 2003, duże miasto, rodzina inteligencka.

Jedno ze wspomnień: ma kilka lat, biega za piłką, ktoś krzyczy: „Chłopaki, wracajcie!”, a jemu (wtedy formalnie jej) nie wiedzieć czemu robi się przyjemnie.

Inne, późniejsze (ma może 10, może 11 lat). Przebiera się w szatni z dziewczynami przed wuefem: – Pamiętam tylko uczucie, że nie chcę taki być. Niektóre dziewczyny zaczynały się chwalić biodrami, piersiami, ciuchami. A we mnie był strach, że w tym kierunku się zmieniam – wspomina Dawid.

– Wiedziałem wtedy, że istnieją odmienne preferencje seksualne, ale o osobach trans nie miałem pojęcia – dodaje. – Na kilka lat temat ucichł: próbowałem być dziewczęcy. Zacząłem używać trochę makijażu, np. eyelinera, nosiłem spódniczki. Myślałem: przyzwyczaję się, dyskomfort przejdzie. Czułem się ciągle, jakbym udawał, jakbym robił *show*. Ale na tyle wystraszyła mnie moja inność, że to spychałem. Więc ta sukienka w jakimś sensie przynosiła ulgę – to był kostium, z którym czułem się źle, ale równocześnie byłem taki jak inni. A „być jak inni" to było wtedy najważniejsze.

Kolejny wyraźny obraz: ma ze 12 lat, siedzi przy stoliku restauracji McDonald's albo KFC – z kolegą koleżanki.

Dawid: – Nagle powiedział, trochę jakby żartem, że urodził się dziewczyną, ale zawsze czuł się chłopakiem. Pamiętam tylko siebie zszokowanego. Kiedy wróciłem do domu, zacząłem googlować. I zapaliła mi się lampka: ja też mogę taki być. Pojawiła się mieszanina ulgi, że „inni też tak mają", i strachu. Zwłaszcza że wkraczałem już w wiek, kiedy coś, co do tej pory było dyskomfortem, zaczynało dyktować całe moje życie. To było coś, co mówi: ruszasz się jak dziewczyna, stoisz jak dziewczyna, mówisz jak dziewczyna. A bardzo chcesz się ruszać, stać i mówić jak chłopiec.

### Spektrum płci

– A skąd pan wie, że jest mężczyzną? – dr hab. Grzegorz Iniewicz, profesor UJ, psycholog i seksuolog specjalizujący się m.in. w pracy z młodymi osobami trans i niebinarnymi, odpowiada pytaniem na pytanie o to, czym jest odmienna tożsamość płciowa. – Większość osób odpowie: „Jestem mężczyzną/kobietą, bo tak się czuję". Nie inaczej jest w przypadku osób trans, tyle że u nich to, co czują, nie zgadza się z płcią, która została im przypisana przy urodzeniu. W XIX wieku płeć utożsamiano wyłącznie z genitaliami, ale od tamtej pory nastąpiła ważna zmiana. Wiemy, że płeć jest przede wszystkim w mózgu, i nie jest konstruktem zero-jedynkowym: wszyscy mieścimy się w spektrum. Jesteśmy bardziej kobiecy, męscy albo gdzieś pośrodku.

Pojęcie klucz to dysforia płciowa, czyli wspomniana niezgodność. W książce dziennikarza TVN24 Piotra Jaconia „My, trans" (2021) dysforię tłumaczy na swoim przykładzie córka autora, Wiktoria. Jej losy skłoniły Jaconia do zajęcia się tematem. „To była kwestia postrzegania swojego ciała – mówi w rozmowie z ojcem Wiktoria. – Pragnień... I cierpienia. Nie mogłam zrozumieć, że ja chcę być taka, a nie mogę być taka. Czuję się kobietą, a przecież wszyscy widzą, że nią nie jestem. Miałam takie miesięczne fazy, czego nie mogłeś wiedzieć, że starałam się żyć jak kobieta. Ale potem z tym zrywałam (...) Czułam, że nigdy nie będę w szczęśliwym związku, bo żyję w dwóch światach. Świat pierwszy: udaję chłopaka. Próbuję się w tym odnaleźć, nie lubię tego, ale staram się polubić, bo wiem, że tak trzeba. Spotykam się z »kolegami« i udaję, że jestem taka jak oni. I trwa to jakiś czas, ale w końcu nie daję rady. Więc zamykam się w pokoju i długo stamtąd nie wychodzę. I wtedy znowu pojawia się świat drugi: kobieta. I tak w kółko".

Dysforii nie umiemy pokazać w badaniach obrazowych mózgu. Nie naprowadzi na nią podwyższony albo zaniżony poziom tej czy innej substancji w organizmie.

Zacznie się zwykle – choć nie zawsze – już w wieku kilku lat. Będzie tym silniejsza, im bardziej otoczenie – matka, ojciec, przedszkole – będzie chciało wykorzenić „nieprawidłowe" zachowania, np. sukienki zakładane przez chłopca.

Część dzieci „porzuci" swoje niezgodne z przypisaną płcią zachowania. Inne wejdą z dysforią w okres dojrzewania. Jeszcze u innych właśnie wtedy się ona rozpocznie.

Tłumiona, czasem nieuświadomiona – stanie się nie do zniesienia.

### Nie miałem sił jako kobieta

Gimnazjum: chłopcy zaczynają mutację, jemu jego wysoki głos wydaje się jakby coraz wyższy. Potrafi więc nie odezwać się słowem przez cały dzień – byle nie usłyszeć siebie.

Dawid: – Na rosnące piersi używałem spłaszczającego bindera, aż bolały żebra. Babcia mówiła: „Wyrastasz na piękną kobietę", albo: „Jaka jesteś podobna do mamy". Ścinałem włosy. Nosiłem obszerne rzeczy – żeby nie było nic widać ciała.

Druga klasa, Dawid niemal przestaje opuszczać dom. – Nie miałem już siły wychodzić do świata jako kobieta – wspomina. – Pokój to było sanktuarium, jedyne miejsce, gdzie nie musiałem udawać. A równocześnie więzienie, mimo że rodzice bardzo się starali, bym choć raz wyszedł na posiłek. Mama z tatą ciągle byli w pobliżu, ale wiedzieli i widzieli tylko to, co chciałem im przekazać. A ja potrafiłem udawać radosnego. O depresji zaczynało się mówić, więc mówiłem sobie: cierpię na nią, jak wiele innych osób. Ale to, że ta depresja to był efekt dysforii, wypierałem.

Najgorszy okres, wspomina Dawid, to końcówka gimnazjum: – Moim sposobem na cierpienie psychiczne były samookaleczenia. Raz wyszedłem z pokoju w szortach, rodzice zauważyli rany. I całe szczęście, bo wtedy od razu zabrali mnie do terapeutki. Tyle że na tym etapie to jeszcze nic nie dało. Pani mnie wysłuchała, ale sama zwracała się do mnie... żeńskim imieniem. Pewnie nie wiedziała, jak się z tym tematem obchodzić, więc postanowiła go zignorować.

### Trzy sposoby na konflikt

Wydany w 2017 r. przez Kampanię Przeciw Homofobii, Fundację Lambda Warszawa i Fundację Trans-Fuzja raport podaje, że niemal 70 proc. osób LGBT+ do 18. roku życia ma myśli samobójcze.

– Wśród młodych pacjentów z tej grupy, którzy do mnie przychodzą, wręcz trudno znaleźć takich, przez których życie nie przewinął się wątek samobójczy – mówi Grzegorz Iniewicz. – Jeśli ciągle słyszą, że są „nienormalni", „zaburzeni" albo „zboczeni", ale dzięki własnej świadomości lub wsparciu innych potrafią to odrzucić, to funkcjonują w miarę normalnie. Ale jeśli uwewnętrznią już to przekonanie, zaczyna się kryzys. Wtedy powyższe etykietki nie są już wewnętrznym opisem, lecz częścią ich własnej tożsamości. Do mnie przychodzą zwykle na etapie konfliktu, walki. Rozwiązują go na trzy sposoby. Albo się ujawniają, albo to tłumią, albo niejako uciekają w zaburzenia, wliczając w to próby samobójcze. Stres mniejszościowy to stan permanentnego cierpienia i ogromnej samotności.

Nawet większej w przypadku osób transpłciowych i niebinarnych, czyli nieidentyfikujących się z żadną płcią, niż młodych gejów czy lesbijek (tożsamość płciowa to coś niezależnego od orientacji seksualnej – np. transchłopak może być zarówno hetero-, bi-, jak i homoseksualny). Badania amerykańskie ↦

↦ przytaczane przez autorów raportu „Dzieci się liczą 2022" wydanego przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę wskazują, że o ile 48 proc. młodzieży LGBT+ w ciągu roku od badania dokonywało samookaleczenia, to w grupie transpłciowych czy niebinarnych było to 60 proc.

– Fakt odmiennej orientacji seksualnej łatwiej ukryć, większa jest też tolerancja wobec osób nieheteroseksualnych – wyjaśnia ten fenomen Grzegorz Iniewicz. – I inny jest mechanizm ujawniania się. *Coming out* geja czy lesbijki będzie częściej stopniowy: np. najpierw powie najbliższym przyjaciołom, później rodzicom itd. U osoby transpłciowej to częściej sytuacja zero-jedynkowa. Owszem, można w jednym środowisku funkcjonować jako chłopak, a w drugim jako dziewczyna, ale to jednak bardzo skomplikowana operacja.

### Mama straciła córkę

Scena z końcówki gimnazjum: mama na fotelu kierowcy, on z przodu jako pasażer. Jadą na duże zakupy.

Dawid: – Mama ni stąd, ni zowąd rzuca: „Bo ty się ostatnio interesujesz sprawami trans osób"... Zapada cisza, a ja myślę: teraz albo nigdy. „Tak, bo sam się identyfikuję jako transmężczyzna" – mówię. Mama milczała, a potem się popłakała, nadal jadąc. Jeszcze później spytała, czy jestem świadom, że takie osoby są często nieszczęśliwe w społeczeństwie. Odpowiedziałem, że tak, ale ukrywanie tego niczego nie poprawi.

– Nie wiedziałem, czego się dalej spodziewać po rodzicach – kontynuuje Dawid. – Poza stuprocentową pewnością, że nie wyrzucą mnie z domu ani nie wyklną, co przecież też się zdarza. Zawsze mieli na uwadze głównie moje szczęście. Ale wiedziałem też, że ani mama, ani tata, któremu mama powiedziała o wszystkim później, nie wykrzykną: „Wow, super że jesteś trans".

– Jakim imieniem do ciebie przez kolejne miesiące mówili? – dopytuję Dawida, który wcześniej uprzedził, że jego rodzice nie są gotowi na rozmowę do artykułu.

– Starym.

– W tym samochodzie twoja mama straciła córkę. Zaczęła żałobę. Tak mówią czasami o tym momencie psycholodzy.

– Dawała znaki, że nie jest z tym pogodzona. Że na razie zmiana imienia to dla niej za dużo. I że do 18. roku życia nie ma mowy o żadnych nieodwracalnych ruchach. Bo mogę przecież zmienić zdanie.

– Wysiedliście z samochodu i...

– ...i pobiegłem do toalety w centrum handlowym. Tam płakałem. To był z jednej strony płacz ulgi, że powiedziałem. I lęku, że tak do końca nigdy mnie nie zaakceptują.

### Lepsza choroba psychiczna

Grzegorz Iniewicz: – Rodzice przechodzą taką samą długą drogę, jak ich dzieci. Z jedną różnicą: mają zwykle kilkuletni poślizg. Mówię to nastolatkom w gabinecie: „Twoi rodzice właśnie dowiedzieli się o czymś, z czym ty oswajasz się już od pewnego czasu". Dzieje się tak nawet wtedy, gdy są otwarci. A przecież nie zawsze tak jest. Znam historie, kiedy rodzice wolą powiedzieć, że ich „ubierający się jak dziewczyna syn" oszalał, zachorował psychicznie, niż ujawnić, że tak naprawdę jest tą dziewczyną.

Alina Synakiewicz, pedagożka, koordynatorka wsparcia w Fundacji Trans-Fuzja, zapamiętała historię, w której szkoła zaakceptowała dziewczęcą tożsamość uczennicy, jej matka zaś długo nie była w stanie: – Dziecko miało pierwsze próby samobójcze, a rodzice ignorowali prośby szkolnej pedagożki, by chociaż przyjść i porozmawiać. W końcu mama przyszła, ale że była nieprzejednana, pedagożka zapytała: „Chcecie państwo żywą córkę czy martwego syna?".

Ale nawet pozornie pogodzeni z nową sytuacją rodzice cierpią. Anna, matka transpłciowego Mateusza, opowiada Piotrowi Jaconiowi o obrazie, jaki prześladował ją jeszcze na miesiąc przed operacją syna: „moje dziecko wchodzi na salę operacyjną. Odwraca się w moją stronę. Ostatnie spojrzenie. I ostateczne pożegnanie z... córką. I to był taki ból! Zaskoczyło mnie to uczucie. Bo wydawało mi się, że już to przerobiłam. Oswoiłam (...) Usiadłam na podłodze i zaczęłam strasznie płakać. Płakałam z żalu. Tęsknoty. I ze strachu, że jak już faktycznie moje dziecko pójdzie do szpitala, to znów to wszystko poczuję".

„Tęsknisz za córką?" – pyta Jacoń. „Tak. Bo to była moja wymarzona córka" – słyszy w odpowiedzi.

Alina Synakiewicz zwraca uwagę, że żałoba to tylko jeden ze schematów reakcji: – Są i inne: np. rodzic czuje ulgę w związku z coming outem. Przez miesiące, lata ich dziecko miało depresję, a oni odchodzili od zmysłów. Teraz ktoś wreszcie nazwał przyczynę tego stanu.

### Dawid, czy mogłabyś podejść?

Wspomnienie z pierwszego dnia w liceum: siada w ławkach z nowymi uczniami, ma „czystą kartę". Przedstawia się: jestem Dawid. Ani słowa o transpłciowości. Chwilę wcześniej poprosił nową wychowawczynię, by zwracano się doń innym imieniem niż to zapisane w dzienniku. „Nie ma sprawy, mieliśmy już taką sytuację" – słyszy.

– Ale gdy godzinę później mój pociąg podmiejski podjechał na peron, na którym zawsze wysiadam, stała tam mama, mimo że się nie umawialiśmy – opowiada Dawid. – Nie skonsultowałem z rodzicami mojego wyoutowania, bo wiedziałem, że będą mieć z tym problem, więc wolałem zrobić to samowolnie, a potem przeprosić. Z drugiej strony rozumiałem, że mama została postawiona w dziwnej sytuacji. Zadzwoniła do niej wychowawczyni z pytaniem, czy rzeczywiście mają się do mnie zwracać „Dawid". To było dwa, może trzy miesiące po rozmowie w samochodzie z mamą, więc rodzice nie mieli za wiele czasu, by się z tym wszystkim oswoić.

Mimo to rodzice jadą do szkoły, potwierdzają wersję syna. – Tyle że nauczyciele różnie do tego podchodzili – opowiada Dawid. – Jedni używali nowego, inni żeńskiego. Była też trzecia grupa. Mówili „Dawid", używając równocześnie żeńskich zaimków. „Dawid, czy mogłabyś podejść do tablicy?" – pytali. Inni mieli więcej dobrej woli, ale nie mieli wiedzy. A był to już 2019 rok, duże miasto, liceum... Zdarzali się wspierający nauczyciele. Nie tylko mówili „Dawid", ale pytali o moje samopoczucie. Np. wuefistka upewniała się, że nikt mi nie dokucza. Nie w czasie lekcji, bo na wuef nie chodziłem: musiałbym przebierać się w szatni z dziewczynami, które mówiły do mnie „Dawid"... W ogóle nie miałem problemów z rówieśnikami, wspierali mnie do tego stopnia, że wojowali nawet z opornymi nauczycielami. Gdy np. jedna nauczycielka pod moją nieobecność mówiła: „Jej nie ma", korygowali: „Jego nie ma". Raz ktoś wpadł na pomysł, że pani pedagog przyjdzie do klasy porozmawiać z uczniami „o byciu trans". Powiedziałem, że nie chcę przy tym być. A potem się dowiedziałem, że moi koledzy i koleżanki uzupełniali wiedzę pani. Nawet psycholożka szkolna zachowywała się dość niezręcznie. Podczas rozmowy głównie tłumaczyła szkołę, dlaczego niewiele może zrobić, gdy nie są zmienione dokumenty. Owszem, interesowała się moimi uczuciami, jeśli chodzi o depresję, ale moją tożsamość jakby wyparła. Mówiła do mnie żeńskim imieniem.

### Czy empatia jest legalna?

„Do których z wymienionych osób możesz zwrócić się, gdy potrzebujesz pomocy?" – to jedno z pytań, jakie młodym osobom (wiek: 12–24 lata) zadali autorzy wydanego przez Fundację Trans-Fuzja raportu nt. sytuacji transpłciowej po epidemii covidu. Z odpowiedzi niemal pięćsetki ankietowanych wyłania się dość jednoznaczny obraz: niebinarni i transpłciowi uczniowie oraz studenci mogą znacznie częściej liczyć na rówieśników niż na nauczycieli i wykładowców (niemal 50 proc. *vs.* nieco ponad 30 proc.).

– W raporcie jest jedna kapitalna informacja: mniej niż procent pytanych nie ma w przestrzeni szkolnej czy akademickiej ani jednej wspierającej osoby – mówi Alina Synakiewicz. – I znacznie smutniejsza: że wśród wspierających rzadko są nauczyciele i wykładowcy. Czasami przyczyną jest brak wiedzy, bo nikt im nie przekazywał na studiach pedagogicznych informacji o transpłciowości. W czasie szkoleń zdarza mi się słyszeć: „Czy zwracanie się do ucznia nowym imieniem jest legalne?". Tak, odpowiadamy, jest i legalne, i korzystne dla tych młodych ludzi.

Podobny pogląd przedstawiło Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich po tym, ↦

## Płeć: to skomplikowane

**ROZMNAŻANIE** płciowe to stary wynalazek ewolucji, pojawiło się już u organizmów jednokomórkowych. Uformowały się u nich dwie strategie: produkcji dużej liczby małych komórek rozrodczych (plemniki) lub niewielkiej liczby dobrze wyposażonych (komórki jajowe). Każda gameta zawiera połowę materiału genetycznego obojga rodziców, więc potomstwo znacząco się od nich różni. Ta zmienność daje większą szansę pojawienia się korzystnych cech. Na tym polega biologiczny sens płci.

**U ZŁOŻONYCH** organizmów produkcja komórek rozrodczych wymaga skomplikowanej maszynerii hormonalnej i wyspecjalizowanych narządów, a spłodzenie i wychowanie potomstwa – złożonego zachowania. Pojawiają się gruczoły płciowe, „przewody", którymi gamety wędrują po ciele, genitalia, a także inne cechy fizyczne ułatwiające zachowania mające znaczenie w kontekście rozrodczym (np. zdobywanie partnerów, opieka rodzicielska). Informacje o tych cechach fizycznych są zapisane w genach i rozwijają się pod wpływem hormonów płciowych. Dlatego można mówić o wielu poziomach płci: genetycznym, gonadalnym, genitalnym, hormonalnym itd. Na każdym może dojść do zaburzeń, wskutek których osobnik może posiadać wymieszane cechy płciowe (tzw. interpłciowość).

**HORMONY** płciowe mają też znaczenie dla mózgu – mogą wpływać na przetwarzanie informacji czy zachowania. Ludzie są w przyrodzie przypadkiem nietypowym. Nasze życie społeczne jest tak złożone i zanurzone w kulturze, że także ona odbija się na organizacji i działaniu mózgu. Mówi się nie tylko o mózgowym poziomie płci, ale i społecznym, związanym z przypisywanymi płci w danej kulturze wzorcami postaw czy zachowań (gender).

**KAŻDY Z NAS** tworzy obraz samego siebie – ciała i miejsca w społeczeństwie. Jego elementem jest tożsamość płciowa. Gdy ten obraz nie zgadza się z budową ciała i oczekiwaniami wobec siebie jako przedstawiciela danej płci, mówimy o dysforii. Psychologia patrzy więc na płeć szerzej niż biologia. Ważniejsze od tego, jak osoba funkcjonuje w populacji w kontekście rozrodczym, jest to, jak dobrze odnajduje się w społeczeństwie. ©℗ ŁK

↦ jak w 2021 r. Polskę obiegła historia jednej z mazowieckich podstawówek. Krystyna Pawłowicz zaatakowała wtedy na Twitterze dyrekcję szkoły za to, że ta – zgodnie z życzeniem 10-latki będącej metrykalnym chłopcem – używa jej żeńskiego imienia (Pawłowicz, która przy okazji ujawniła dane szkoły, później przeprosiła dziecko i skasowała post, ale w międzyczasie na szkołę zdążyła wylać się fala hejtu).

Ówczesna zastępczyni RPO Hanna Machińska pisała w komunikacie z aprobatą o działaniach szkoły, w tym „o uszanowaniu imienia żeńskiego uczennicy zgodnie z jej płcią odczuwaną. W tym kontekście pragnę zwrócić uwagę na podzielaną przez ekspertów rekomendację, zgodnie z którą używanie imienia oraz rodzaju gramatycznego, z którym dziecko transpłciowe się utożsamia, jest najprostszym i bardzo skutecznym przejawem akceptacji jego podmiotowości".

### Nie skrzywdzić diagnozą

– Średnio co czwarta przyjmowana do młodzieżowego oddziału dziennego młoda osoba ma wątpliwości co do swojej tożsamości płciowej lub poczucie, że ma inną płeć niż przypisana przy urodzeniu. I prosi, by zwracać się do niej innym imieniem – słyszę od dr. hab. Macieja Pileckiego, kierownika Oddziału Klinicznego Psychiatrii Dorosłych, Dzieci i Młodzieży Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. – Statystyki, które opracowywaliśmy dla placówek pierwszego stopnia referencyjności, pokazały podobne proporcje.

– To pewnie łatwo wyjaśnić: badania mówią o wielokrotnie większej podatności na kryzysy psychiczne młodych osób LGBT+ – zauważam. Ale Pilecki ma wątpliwości, czy wyłącznie tą przesłanką da się wyjaśnić wspomniane proporcje.

– Pięć, dziesięć lat temu udzieliłbym podobnej odpowiedzi, teraz już nie. W ostatnich latach rośnie odsetek tak identyfikujących się młodych ludzi – odpowiada Pilecki. – Widzę też różnicę jakościową. Wcześniej proces ten odbywał się wedle schematu: najpierw młoda osoba rozpoznawała coś w sobie, później podobną tożsamość odnajdywała w przestrzeni kultury, np. w filmach. I poszukiwała w internecie tego, jak rozumieć siebie, nawiązywała kontakty z podobnymi do siebie osobami. Teraz bywa również odwrotnie. Świadomość diagnozy dysforii płciowej jest już mocno obecna w kulturze młodzieżowej. Podejrzewanie u siebie niezgodności płciowej może być sposobem na wytłumaczenie innych kryzysów tożsamościowych, wewnętrznych napięć i konfliktów.

– Jak w takich przypadkach postępujecie?

– Zawsze zwracamy się do młodych pacjentów tak, jak sobie życzą. Ale też namawiamy: „Dajcie sobie czas na zrozumienie siebie". Ten pierwszy opis siebie jako osoby mierzącej się z dysforią płciową u niektórych się zmienia, u innych utrwala.

Diagnozy dokonuje lekarz. Jest o tyle ważna, że otwiera drogę do ewentualnych ingerencji medycznych. Najpierw, jeszcze w okresie dojrzewania, do podania – zalecanych przez ekspertów i aktywistów LGBT+ w przypadku dysforii – blokerów hormonów (ich działanie jest odwracalne i daje wielu pacjentom ulgę w cierpieniu). Później, już po ukończeniu 18 lat, do wdrożenia terapii hormonalnej, też odwracalnej. Wreszcie, do ewentualnych ingerencji chirurgicznych, jak zmiany w obrębie klatki piersiowej czy genitaliów, które jednak nie są wcale potrzebne wszystkim osobom transpłciowym (wielu wystarczy sama tzw. tranzycja społeczna i np. hormonalna).

– Rzetelna diagnoza powinna być dokonywana na podstawie rozmów i obserwacji, trwać przynajmniej pół roku, a uczestniczyć w nich powinien zespół specjalistów, głównie psychiatra i psycholog, obaj ze specjalizacją z seksuologii. W niektórych krajach do takiego zespołu zapraszani są również lekarze rodzinni i przedstawiciele szkoły. Wszystko po to, by jak najlepiej zrozumieć i pomóc nastolatkowi czy nastolatce – mówi dr Iniewicz.

– Najważniejsze, by dorośli podążali za dzieckiem – podkreśla Alina Synakiewicz. – By wiedziało, że jego tożsamość jest

w pełni akceptowana. Ale też by czuło, że jeśli z czasem coś się zmieni, to dorośli też nie będą robili z tego problemów.

### Nie jestem Wikipedią

– Po raz pierwszy usłyszałem od rodziców „Dawid", gdy zaczęła się pandemia. Może dlatego, że spędzaliśmy ze sobą więcej czasu? A może przyczyniła się też do tego sesja rodzinnej terapii online? Musiało to być dla nich ciężkie. Nawet to męskie imię nie oznaczało jeszcze, że automatycznie postrzegają mnie jako chłopaka. Ale jakiś czas później przeszliśmy i ten etap – usłyszałem od nich „synu". Wreszcie ostatnia faza: informowanie dziadków, cioć, wujków.

– Mogę rozmawiać o wszystkim, choć w życiu codziennym niektórych pytań nie lubię – mówi Dawid, gdy rozmowa schodzi na tzw. medyczną tranzycję, a ja pytam o dalszy ciąg listy „złych pytań". – Punkt drugi: „Nie traktujcie mnie jak Wikipedii z hasłem: »transpłciowość«". Bywało nie raz, że podchodzili ludzie i chcieli rozmawiać tylko o tym. A ja nie chcę być wiecznie „osobą transpłciową", chcę być normalnym facetem. Punkt trzeci: „Nie pytajcie o szczegóły tranzycji". Mogę powiedzieć jedno: po ukończeniu osiemnastki zacząłem brać hormony. Jedną z pierwszych zmian, jakie zauważyłem, był spadek głosu. Dla wielu może w sposób niezauważalny, ale dla mnie to była euforia. Zaczął mi rosnąć lekki wąsik. Z dużo większą ochotą patrzyłem na siebie w lustrze.

> Gimnazjum: chłopcy zaczynają mutację, jemu jego wysoki głos wydaje się jakby coraz wyższy. Potrafi więc nie odezwać się słowem przez cały dzień – byle nie usłyszeć siebie.

Nie potrzebowałem już antydepresantów, więc je odstawiłem. Przestałem też chodzić na terapię. Ostatni etap przede mną: to proces o ustalenie nowej płci, co jest w Polsce o tyle niekomfortowe, że trzeba pozwać do sądu własnych rodziców.

### Wystarczy, że szanują

Nie wiadomo, ile jest w Polsce osób trans (obecnie stosowana definicja tej grupy zawiera nie tylko osoby transpłciowe, ale też np. niebinarne oraz – jak głosi formuła zawarta w raporcie KPH – „wszystkie te, których płeć nadana przy urodzeniu nie odpowiada ich tożsamości"). Ostatni spis powszechny nie uwzględnił takiej możliwości. „Osoba transpłciowa – pisał wówczas RPO – która nie przeszła jeszcze procesu uzgodnienia płci prawnej, jest (...) zmuszona wpisać płeć metrykalną, niezgodną z rzeczywistą".

Tymczasem, jak wykazały badania KPH na potrzeby raportu „Sytuacja społeczna osób LGBTA w Polsce" za lata 2019-20, tylko 3 proc. z przepytanej grupy ponad 2,5 tys. osób trans dokonało skutecznej prawnej korekty płci. „Jestem osobą niebinarną, poza tym raczej nie zależy mi na tym, co jest w dokumentach, wystarczy mi, że moi przyjaciele szanują to, kim jestem" – uzasadniała jedna z ankietowanych osób, ale wśród innych powodów znalazły się też bariery, np. „trudna procedura".

Dzięki raportowi KPH wiadomo, że polscy transi czują się dyskryminowani w służbie zdrowia (43 proc. w ciągu ostatniego roku); że nie ujawniają się w miejscu pracy (70 proc. nie mówi współpracownikom, 82 proc. przełożonym); że nie ufają instytucjom, a równocześnie głosują chętniej niż w ogólnej populacji (głównie na lewicę).

Z coming outami nie spieszą się też młodzi transpłciowi Polacy – tylko co piąty ujawnił się przed kadrą akademicką bądź szkolną.

### Dawid, po prostu Dawid

– Jestem studentem pierwszego roku, mieszkam w Warszawie. Koledzy i koleżanki nie znają mojej historii. Dla nich jestem Dawid, po prostu Dawid. Rodzice? Ostatnio znajoma zagadnęła mamę o „córkę i syna". A mama na to, że teraz ma dwóch synów. Tata mówi, że ta cała droga była ciężka, ale przeszedłby ją jeszcze raz, bo widzi, jaki jestem szczęśliwy.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

**TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl**

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara**: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj**: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
**Świat**: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
**Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka**: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura**: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż**: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Fotoedycja**: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
**Wydanie internetowe**: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
**TP Typografia**: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
**Korekta**: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne**: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
**Rozwój cyfrowy:** Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
**Redaktor wydań specjalnych:** Michał Okoński
**Felietony:** Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
**Menedżer produktu WWW:** Bartłomiej Swojak
**Stale współpracują**: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
**Adres wydawcy i redakcji:** ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
**Reklama, promocja:** tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
**Prenumerata:** tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
**Projekt graficzny**: Marek Knap i Marek Trojanowski
**Druk:** Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

# Kordowicz:
## *Imię Mojżesza*

Mojżesz – największy prorok judaizmu, wybrany przez Najwyższego, by wyprowadzić Jego lud z Egiptu i by przekazać mu Słowo Boże. Odkąd się urodził, co zostało skrupulatnie odnotowane na początku drugiego rozdziału Księgi Wyjścia, jego imię pada we wszystkich tygodniowych odczytach Tory. Aż tu nagle nadchodzi tydzień w ramach tejże Księgi, kiedy próżno nadstawiamy uszu, by wychwycić słowo „Mojżesz".

Midrasz utrzymuje, iż Mojżesz miał aż dziesięć imion. Zostały one wyłowione przede wszystkim z genealogii w Księdze Kronik (zob. 1 Krn 4, 18 oraz 24, 6) – przez wzgląd na to, że imię Bitja otrzymała wedle tradycji córka faraona, która usynowiła płynące w koszyku Nilem hebrajskie dziecko. Jekutielem nazwała Mojżesza jego mama – wybrała imię teoforyczne, którego rdzeń oznacza „mieć nadzieję". Jochewed ufała, że Najwyższy przywróci jej syna, a także przewidywała, że stanie się on wielką nadzieją dla Izraelitów. Tuwja – etymologicznie związany z dobrocią – wziął się być może z Wj 2, 2, gdzie znakomita większość tłumaczy, niekoniecznie błędnie, oddaje dosłowną „dobroć" jako „piękno". Chewera – czyli tego, który łączy – albo wymyślili Izraelici, gdyż Mojżesz połączył ich z ich Niebieskim Ojcem, albo tata Amram. Zgnębiony rozkazem faraona, by zabijać nowo narodzonych Hebrajczyków, Amram rozwiódł się z żoną, potem jednak zszedł się z Jochewed powtórnie i spłodzili trzecie dziecko. Jered – związany ze zstępowaniem – był pomysłem Miriam, która zeszła nad brzeg Nilu, by z oddali czuwać nad płynącym w koszyku braciszkiem. Poza tym Mojżesz zniósł z góry Torę i dzięki niemu Boża Obecność zagościła w świecie materialnym. Nie tylko siostra, ale i starszy brat nadał mu imię: Awi Zanoach, w przybliżeniu „mistrz odrzucenia". Aaron stwierdził, że ojciec odrzucił matkę, ale wziął ją na powrót „przez wzgląd na to dziecko", ponadto dzięki Mojżeszowi Izrael odrzucił bożki. Kobieta, która pomagała Jochewed zajmować się maleńkim synkiem, proroczo nazwała go Awi Socho – ojciec widzących i proroków. A może był to dziadek Kehat, który zaproponował także Awigdora – mistrza grodzenia – albowiem „kiedy Mojżesz się urodził, Najwyższy postawił tamę działaniom faraona, by wytracić maleńkich Hebrajczyków"? Szemaja – gdyż za jego dni „Bóg usłyszał" modlitwy swego ludu. Ben Ewjatar – dzięki niemu Wszechmocny wybaczył/unieważnił grzech złotego cielca. Lewi wiązał się z przynależnością Naszego Nauczyciela do tego szczepu Izraela.

Niezależnie od bogactwa imion Mojżesz był nazywany przez Boga zawsze Mojżeszem. Jak w poruszającym wierszu Zeldy: „Każdy człowiek ma imię, które nadał mu Bóg i nadali mu ojciec i matka (...), jego wrogowie (...), które nadała mu jego miłość (...) i jego śmierć". ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Krzyk Jezusa*

W ewangelicznym opowiadaniu o Łazarzu czytamy: „Kiedy Jezus zobaczył ją zapłakaną i płaczących Judejczyków, którzy z nią przyszli, wzruszył się głęboko i zapytał: Gdzieście go pochowali? Mówią Mu: Chodź, Panie, i zobacz! Jezus zapłakał. Mówili więc Judejczycy: Jak On go miłował!". Innym razem Jezus rozpłakał się na widok Jerozolimy, nad jej tragiczną przyszłością: „Nadejdą bowiem dla ciebie dni, gdy twoi wrogowie (...) zrównają cię z ziemią i zgładzą twoje dzieci. Nie pozostawią w tobie kamienia na kamieniu".

W Ewangeliach mamy jeszcze co najmniej dwa podobne przypadki, gdzie nieartykułowany dźwięk niesie treści, których słowa nie dają rady udźwignąć. Co prawda rozważamy ostatnie siedem słów wypowiedzianych przez Jezusa podczas jego egzekucji, ale Marek mówi również, że tuż przed skonaniem „Jezus, wydawszy głos wielki, wyzionął ducha". Podobnie Mateusz: „Jezus znów krzyknąwszy głosem wielkim, oddał ducha". Czym zatem był ten wielki głos i krzyk?

Lata temu schodziłem z Zawratu do Czarnego Stawu. Szło się trudno, gęsta mgła, a w żlebie zalegał jeszcze śnieg. Przede mną schodziło też dwóch mężczyzn i nastolatka, córka jednego z nich. Z powodu mgły nie mogliśmy się widzieć i nagle zmroził mnie ostry dźwięk przypominający zwielokrotniony zwierzęcy skowyt. Pomyślałem: pewnie kozica odpadła od skały. Szybko się okazało, że to dziewczynka poślizgnęła się i osuwając się na dno żlebu wydała z siebie ten głos. Chciałoby się powiedzieć: nieludzki. Powiedzieć tak jednak nie można, ten głos wydał człowiek wołający o ratunek (na szczęście upadek nie był groźny). Czy jednak takie zwierzęco-ludzkie wołanie przystoi Jezusowi? No, ale skoro zaistniało... Słaby to Bóg i pewnie nie takiego Boga, po ludzku zwijającego się z bólu, chcemy mieć na podorędziu.

Chcemy Boga wszechmogącego, który dałby nam coś ze swojej wszechmocy. A jeśli już „dla przebłagania za grzechy nasze i całego świata", „dla naszego zbawienia" musi umierać, niechże umiera piękniej, jak na Boga, a nie grzesznego człowieka przystało. Chcemy Boga, który sprawi, że i w naszym życiu zmaterializuje się hasło: „Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz". Nie wiem, czy nie o to się modlimy, prosząc Boga „o tak potrzebne nam łaski".

„O dziewiątej godzinie Jezus zawołał donośnym głosem: (...) Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił". Inny Ewangelista: „A Jezus zawołał mocnym głosem: Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mojego. I po tych słowach skonał". Tym, którzy rozglądają się za Bogiem, jak też tym, którzy już na Bogu się zawiedli, św. Ignacy radzi „szukać i znajdować Pana Boga we wszystkich rzeczach i wszystkie rzeczy w Bogu", we wszystkim bowiem jest Bóg i wszystko jest w Bogu – śmierć również. ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Wędrówki stacyjne*

W kilku polskich miastach (m.in. w Krakowie, Poznaniu czy Łodzi) przez cały okres Wielkiego Postu wierni pielgrzymują do tzw. kościołów stacyjnych – nawiązując w ten sposób do starożytnej tradycji Kościoła w Rzymie, ugruntowanej ostatecznie za czasów Grzegorza Wielkiego, a odnowionej przez św. Jana Pawła II. W czwartek trzeciego tygodnia Wielkiego Postu kościołem stacyjnym w Rzymie jest bazylika św. św. Kosmy i Damiana.

To kościół niezwykły – postawiony w połowie VI w. przez papieża Feliksa IV, przy głównej arterii Forum Romanum zwanej Via Sacra. Kościół został dobudowany do niewielkiej, ale znaczącej budowli na planie koła, gdyż była nią Świątynia Romulusa – legendarnego założyciela Wiecznego Miasta. Owa świątynia stanowiła znak szczególny – była zmaterializowaną syntezą i pamięcią ponad tysiącletniej historii pogańskiego Rzymu. Feliks IV wznosił „pomnik" nowej wiary: chrześcijaństwa – wtedy już „panującego" w rzymskim świecie. Nie uległ jednak pokusie zburzenia dawnej świątyni – przeciwnie, uczynił ją solennym przedsionkiem do nowej przestrzeni sakralnej. Chciał pokazać nie tylko swój wielki szacunek dla dawnej kultury i religii, ale także i to, że w zamyśle Boga można je widzieć jako swoiste „przygotowanie Ewangelii" (*praeparatio evangelica*) – jako drogę ku pełni objawienia w Jezusie Chrystusie.

Dedykując zaś nowy kościół św. Kosmie i św. Damianowi chciał – równie niewątpliwie – pokazać, skąd bierze się siła nowej wiary. Jakie jest jej źródło i jakie argumenty, których moc i atrakcyjność ostatecznie przemogły dawniejsze przekonania?

Otóż Kosma i Damian, bracia (bliźniacy), zamęczeni w prześladowaniu za czasów Dioklecjana (początek IV w.), byli lekarzami. Tradycja zapamiętała ich przede wszystkim jako tych, którzy bezpłatnie udzielali porad i opieki medycznej najuboższym. Właśnie owa bezinteresowność, dyspozycyjność i otwartość ściągały do nich tłumy ludzi, którzy – najpierw – szukali pomocy w chorobie, ale później – również odpowiedzi na najważniejsze życiowe pytania: skąd tych dwóch czerpie siłę do tak heroicznego życia? Jaka nadzieja kryje się ostatecznie za ich postawą?

Myślę, że tej właśnie lekcji chce nam udzielić papież Feliks. Skąd się bierze siła i skuteczność ewangelizacji? Wcale nie z siły, przemocy i gwałtu. Nie stąd, że dawne przedmioty kultu obróci się w kupę gruzu. Moc ewangelizacji ukryta jest w „atrakcyjności świadectwa" (papież Franciszek), a jej właściwą formą i metodą jest rodzący się (ze świadectwa właśnie) dialog.

Chrześcijański kościół trzeba budować nie na gruzach, lecz na przedłużeniu pogańskiej świątyni – w rozmowie, nie w agresji; w szacunku, nie w pogardzie. W pogańskim świecie pytajmy o (pokazane nam przez Kosmę i Damiana) składowe naszego „atrakcyjnego świadectwa: ubóstwo i wybór ubogich, miłosierdzie, bezinteresowną służbę, kompetencje, radykalizm miłości. ©

*Przez truciznę myśli o niegodziwości i odejście od uważności doznajemy w sercu goryczy.*

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU

*Ból jest nieunikniony. Cierpienie – opcjonalne.*

POWIEDZENIE BUDDYJSKIE

### CZYTANIA LITURGICZNE (26 III – 2 IV)

**5. niedziela Wielkiego Postu: Ez 37, 12-14; Ps 130; Rz 8, 8-11; J 11, 1-45;**
**Poniedziałek: Dn 13, 1-9. 15-17. 19-30. 33-62; Ps 23; J 8, 1-11;**
**Wtorek: Lb 21, 4-9; Ps 102; J 8, 21-30;**
**Środa: Dn 3, 14-20. 91-92. 95; Ps: Dn 3, 52-56; J 8, 31-42;**
**Czwartek: Rdz 17, 3-9; Ps 105; J 8, 51-59;**
**Piątek: Jr 20, 10-13; Ps 18; J 10, 31-42;**
**Sobota: Ez 37, 21-28; Ps: Jr 31, 10-13; J 11, 45-57;**
**Niedziela Palmowa: Mt 21, 1-11; Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11; Mt 26, 14 – 27, 66.**

Wybrał PIOTR SIKORA

# SPRAWIEDLIWOŚĆ LUDOWA

Uśmiercono ideę ławników i stworzono nowy pomysł na udział obywateli w wymierzaniu sprawiedliwości. Czy wybierani przez społeczeństwo sędziowie pokoju cokolwiek uzdrowią, czy raczej pogłębią wygodny dla władzy chaos w sądownictwie?

PIOTR SOŁOWIJ

W Sejmie dobiegają końca prace nad projektem ustawy, który zaadaptował jeden ze sztandarowych postulatów Pawła Kukiza. Ma on stanowić odpowiedź na przewlekłość postępowań w polskich sądach, a także poczucie odseparowania wymiaru sprawiedliwości od społeczeństwa. Idea ta zyskała przychylność Andrzeja Dudy, a Pałac Prezydencki stał się miejscem, w którym przekuto ją na inicjatywę legislacyjną w wyniku prac zespołu kierowanego przez prof. Piotra Kruszyńskiego, znanego adwokata i specjalisty od prawa karnego.

Podczas prezentacji projektu Andrzej Duda podkreślał, że sędziowie pokoju staną się nadzieją na zwiększenie szacunku do wymiaru sprawiedliwości, uproszczą procedury i przyspieszą załatwianie spornych spraw. Jako „czynnik bliski polskiemu społeczeństwu", zajmą się sprawami „dnia codziennego", które niekoniecznie powinny w ogóle trafiać do sądów.

### Mniej niż 10 tysięcy

Prezydencka propozycja zakłada, że sędzią pokoju będzie mogła zostać osoba w wieku od 29 do 70 lat, legitymująca się wykształceniem prawniczym, a także posiadająca co najmniej trzyletnie doświadczenie w wykonywaniu czynności prawnych. Sędziowie pokoju w pierwotnym zamyśle mieli być wybierani w wyborach powszechnych na sześcioletnią kadencję, jednak w toku prac sejmowych pojawił się pomysł, by trwała ona 5 lat, a ich wyłanianie odbywało się wraz z wyborami do Parlamentu Europejskiego.

Po ogłoszeniu woli narodu kandydat na sędziego pokoju byłby powoływany na urząd przez prezydenta na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa. Do jego kompetencji należałoby rozpatrywanie drobnych spraw karnych oraz cywilnych, w których wartość przedmiotu sporu nie przekracza 10 tys. złotych (ostateczny katalog spraw nie został jeszcze ustalony). Jeżeli ktoś okazałby się niezadowolony z decyzji podjętej przez sędziego, mógłby się odwołać do sądu rejonowego.

Pomysł wprowadzenia instytucji sędziów pokoju nie został z góry odrzucony przez opozycję. Swoje projekty ustaw przedstawiła Lewica, PSL w ramach klubu parlamentarnego Koalicja Polska, a także Koalicja Obywatelska. Konkurencyjne propozycje wyraźnie pokazują, że sama idea wywołała ogromne zainteresowanie polityków oraz ożywioną dyskusję, co stanowi swego rodzaju ewenement.

Tymczasem rozpatrywany w parlamencie projekt prezydencki wzbudza wiele kontrowersji. Wprowadzenie nowej instytucji wymaga bowiem nie tylko mądrego rozważenia, jakimi sprawami powinni zajmować się sędziowie pokoju, ale także jak sprawić, by pasowali do już istniejących elementów wymiaru sprawiedliwości. Tu niestety zaczyna się pole minowe.

W pierwszej kolejności pojawiają się zarzuty natury konstytucyjnej. Zasadnicze wątpliwości ze strony wielu prawniczych ekspertów dotyczą artykułu 182 Konstytucji. Ustawa zasadnicza przewiduje, że udział w sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości przez obywateli określa ustawa. Użyto słowa „udział", nie ma natomiast sformułowania o samodzielnym sprawowaniu władzy sądowniczej. Zdaniem części konstytucjonalistów wprowadzenie zasady niezawisłości wyroków wydawanych przez sędziów pokoju (wybieranych bezpośrednio przez obywateli, ale też gorzej wykształconych niż sędziowie zawodowi) wymagałoby zmiany Konstytucji.

– Wymiar sprawiedliwości w Polsce, w oparciu o zasadę podziału władzy, sprawują sądy. Są to sądy wymienione w Konstytucji: Sąd Najwyższy, sądy powszechne, sądy administracyjne oraz sądy wojskowe. Konstytucja nie wymienia nigdzie sądów pokoju, a przecież będzie to osobna instytucja, różniąca się od sądu powszechnego swoją strukturą oraz warunkami działania – zwraca uwagę prof. Andrzej Zoll z Uniwersytetu Jagiellońskiego, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, a później rzecznik praw obywatelskich.

### Gdzie te różnice?

Równie gorącą dyskusję wywołuje proponowany model instytucji sędziego pokoju. Wymóg posiadania wykształcenia prawniczego oraz trzyletniej praktyki w stosowaniu prawa oznaczać może pomoc prawną, doradztwo, a także doświadczenie w pracy w ramach administracji rządowej lub samorządowej. Tymczasem, aby zostać sędzią sądu powszechnego, należy nie tylko ukończyć studia prawnicze, lecz także odbyć trzyletnią aplikację w ramach Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury oraz zdać wymagający egzamin sędziowski.

– Osoba wybrana na stanowisko sędziego pokoju będzie powoływana przez prezydenta na wniosek KRS. Czym w takiej sytuacji będą różnić się sędziowie pokoju od sędziów sądów powszechnych? – zastanawia się prof. Andrzej Zoll. – W pierwszej kolejności tym, że nie mają potwierdzonego wykształcenia do stanowiska sędziowskiego, że nie muszą mieć aplikacji, nie muszą zdać egzaminu. To znaczy, że sędziami pokoju staną się ludzie gorzej przygotowani do orzekania. Protestowałbym przeciwko temu. Jeżeli ktoś pragnie odciążenia sądów rejonowych, powinien w pierwszej kolejności pomyśleć o zwiększeniu liczby sędziów w tych sądach. Wzmocnijmy je kadrowo, ale nie zmniejszajmy wymagań wobec przedstawicieli tego zawodu – dodaje prof. Zoll.

Twórcy projektu zamierzają oprzeć instytucję sędziów pokoju na innym fundamencie niż długotrwała edukacja prawnicza. W zamyśle autorów ustawy byłaby nim legitymacja uzyskiwana przez kandydata w wyborach powszechnych. Autorzy nowego prawa wychodzą z założenia, że skuteczność działania sędziego pokoju powinna opierać się na autorytecie, jakim darzy go lokalna społeczność. Właśnie dzięki temu wydawane wyroki byłyby akceptowane społecznie i mogłyby przekładać się na szybsze rozwiązywanie lokalnych konfliktów. Poważne wątpliwości co do takiego sposobu myślenia ma sędzia Izby Karnej Sądu Najwyższego prof. Włodzimierz Wróbel.

– Wątpię w to, że obywatele, otrzymując możliwość wybierania sędziów pokoju, będą traktowali sądy bardziej jak swoją instytucję. Niestety, dzisiejszy obraz systemu polityczno-społecznego w Polsce powoduje, że wybory pełnią nie tylko funkcję porządkującą rzeczywistość, ale wprowadzają również głęboki podział. Nie jest to zresztą jedynie polski problem, Stany Zjednoczone są tego świetnym przykładem. W efekcie ci, których kandydaci przegrali, niechętnie traktują zwycięzców jak swoich przedstawicieli. W tej perspektywie wprowadzanie wyborów na takie stanowisko ↦

*Sąd Najwyższy. Warszawa, kwiecień 2014 r.*

RAFAŁ GUZ / PAP

↦ bardziej podkopie, niż wzmocni autorytet sędziego. Taki system legitymizacji sędziów jest kontrskuteczny – uważa sędzia Wróbel.

Brak odpowiedniej legitymizacji sędziów pokoju w oczach obywateli przyniesie zapewne skutek w postaci częstego kwestionowania ich wyroków i jedynie dołoży pracy sądom rejonowym. Poza tym ubieganie się o takie stanowisko oznacza prowadzenie kampanii wyborczej, to zaś może budzić wątpliwości związane z niezależnością, niezawisłością oraz apolitycznością. W założeniu kampania ma mieć co prawda charakter czysto informacyjny, ale czy w naszym silnie podzielonym kraju jest to w ogóle realne? Czy nie będzie oznaczało wybierania kandydatów nie tylko na podstawie kompetencji, ale też np. poglądów politycznych albo stosunku do aborcji?

W trakcie prac legislacyjnych pojawiały się także pytania o kompatybilność planowanych rozwiązań z forsowanymi przez Ministerstwo Sprawiedliwości projektami dotyczącymi spłaszczenia struktury sądownictwa, co zdaniem krytyków ma prowadzić do zmniejszenia wpływu na wymiar sprawiedliwości sędziów niechętnych obecnej władzy. Biorąc pod uwagę, że to kolejna reforma rozmontowująca stary system, w dodatku w ramach instytucji, do której tak naprawdę nie dotarła informatyzacja (którą przeszło wiele instytucji państwowych, jak ZUS czy NFZ) – można spodziewać się kolejnego etapu chaosu. Nie sposób również zapomnieć o tym, że hybrydowa konstrukcja, łącząca wybory powszechne z aktem prezydenckiej nominacji i udziałem niedemokratycznie wybranej KRS, rodzą poważne obawy, iż będzie to kolejny krok w procesie uzależniania władzy sądowniczej od polityki i polityków.

### Jak to się robi na świecie

W uzasadnieniu prezydenckiego projektu podparto się przykładami funkcjonowania sądów pokoju w krajach anglosaskich, takich jak Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone, a także w systemach prawnych osadzonych w kontynentalnej tradycji. Kłopot w tym, że sądy pokoju różnią się w zależności od kraju rodzajem rozpatrywanych spraw, wymogami, jakie stawiane są kandydatom na sędziów pokoju, oraz stopniem profesjonalizmu w zakresie wiedzy prawnej.

> Brak odpowiedniej legitymizacji sędziów pokoju w oczach obywateli może przynieść skutek w postaci częstego kwestionowania ich wyroków. **I jedynie dołoży pracy sądom rejonowym.**

Bywa też, że są mocno krytykowane, jak w przypadku Portugalii, która niedawno obchodziła 20-lecie wprowadzenia tej instytucji do systemu prawnego.

– W Portugalii sądy pokoju mogą rozstrzygać sprawy cywilne, w których wartość przedmiotu sporu wynosi mniej niż 15 tys. euro. Do takich spraw należą m.in. kwestie sąsiedzkie, konflikty wynikające z umów konsumenckich czy sprawy czynszowe, ale z wyłączeniem eksmisji – wylicza adwokat Ernestyna Niemiec, specjalizująca się w prawie portugalskim. – Są też kategorie spraw, które są wyłączone spod jurysdykcji sądów pokoju: rozwody, sprawy alimentacyjne czy spadkowe. Tym, co wyróżnia tę instytucję, jest możliwość skorzystania z mediacji. Dzięki niej strony mają w teorii realny wpływ na zarządzanie konfliktem. Zachętą są także niskie koszty, bo całkowita opłata sądowa wynosi 70 euro. A jeżeli postępowanie zakończy się porozumieniem na etapie mediacji, koszty spadają do 50 euro. Jeśli mediacja się nie uda, sprawa trafia do sędziego pokoju. W przypadku wydania wyroku, przegrywający zobowiązany jest pokryć całość kosztów procesu.

Ernestyna Niemiec w rozmowie przyznaje, że Portugalczycy niezbyt chętnie korzystają z możliwości, jakie dają im sądy pokoju. W zeszłym roku rozpoznano ok. 6 tys. spraw, a w całym 20-letnim okresie działania – niecałe 140 tys. Mało tego, wedle ustawy sądy pokoju są powoływane na mocy porozumienia między rządem a samorządami. Nie wszędzie jednak instytucja ta spotkała się z zainteresowaniem lokalnych społeczności i tylko część gmin skorzystała z możliwości jej wprowadzenia.

– W Portugalii powstało 25 sądów pokoju, które funkcjonują w ramach pięciu regionów, obejmujących zasięgiem 70 gmin, co przekłada się na ok. 3,4 mln mieszkańców. Istnieją zatem całe połacie kraju pozbawione dostępu do tej instytucji. W przeważającej mierze nie skorzystają z tej możliwości m.in. mieszkańcy południa Portugalii czy też archipelagu Azorów. Mogą co prawda udać się do innego sądu pokoju, ale tylko w celu przeprowadzenia mediacji. Sędzia nie rozstrzygnie merytorycznie sprawy. Dodatkową barierą jest też niski poziom świadomości obywateli o samym istnieniu tej alternatywnej ścieżki rozwiązywania sporów – podsumowuje adwokat.

Polscy zwolennicy sądów pokoju wskazują, że nie musimy sięgać tylko i wyłącznie do przykładów i nauki płynącej z wdrażania tej idei w innych krajach. Również w historii naszego prawa można znaleźć przykłady rozwiązań nawiązujących do tego pomysłu, jak sądy kompromisarskie w okresie I Rzeczypospolitej i podczas zaborów, sądy pokoju w Księstwie Warszawskim czy pewne doświadczenia w tym zakresie w II Rzeczypospolitej. Pochodzą one jednak z odległych czasów, niemających wiele wspólnego z obecną rzeczywistością.

### Ławnicy przechodzą do historii

Jednym ze sztandarowych argumentów za ustawą jest przekonanie, iż w ten sposób zwiększy się zaufanie obywateli do sądów – to przecież jedna z głównych bolączek polskiego wymiaru sprawiedliwości. Sędziowie pokoju mają rzekomo stanowić w tym zakresie rewolucję, choć przecież równocześnie w polskim systemie prawnym funkcjonuje instytucja ławnika.

– Nie wykorzystujemy instrumentu współpartycypacji obywateli w wymiarze sprawiedliwości, który jest znany od lat, a w dodatku ma oparcie w Konstytucji. Wręcz przeciwnie, instytucję ławnika od lat się ogranicza. Zresztą pod ciekawym hasłem, że ławnicy stanowią obciążenie dla wymiaru sprawiedliwości, bo powodują przedłużanie się postępowań, bo czasem chorują lub zapominają przyjść, bo najczęściej są to starsi ludzie, bo ciężko ich znaleźć. Tej partycypacji nie mamy ochoty rozszerzać. A właści-

wie przywrócić, bo wiele spraw w przeszłości było rozstrzyganych w składach z udziałem ławników, a teraz nie. Budujemy za to strukturę równoległą, bardzo kosztowną, z niewielką legitymacją społeczną – uważa prof. Wróbel.

Faktem jest, że pod adresem ławników wysuwano od dawna szereg zastrzeżeń, m.in. brak kwalifikacji do rozstrzygania coraz bardziej skomplikowanych spraw, koszty związane z ich funkcjonowaniem, brak zaangażowania oraz niewnoszenie niczego istotnego do procesu. W efekcie kolejne nowelizacje prawa karnego i cywilnego sprawiły, że ich rola stała się marginalna.

– W tym roku nie dostałem żadnego zaproszenia na rozprawę, podobnie pod koniec zeszłego – potwierdza Krzysztof Kowalik, ławnik w Sądzie Okręgowym w Lublinie. – W moim przypadku i tak nie jest źle, ponieważ jestem ławnikiem w wydziale karnym. Koledzy i koleżanki z wydziałów cywilnych obecnie w ogóle nie orzekają, w związku z pandemią ich obecność została kompletnie wyeliminowana. A przecież sędziowie korzystali z ich wiedzy i doświadczenia życiowego. Tak było chociażby w sprawach o ustalenie kwot alimentów, adekwatnych w danej sytuacji.

Zniknięcie ławników (po ogłoszeniu pandemii) z wydziałów cywilnych i umożliwienie sędziom jednoosobowego rozpoznawania spraw było symbolicznym zwieńczeniem ograniczania roli ławników w polskich sądach. Większość sądów skwapliwie skorzystała z tej możliwości, zamknęła się i ograniczyła do minimum obecność ludzi na korytarzach sądów (pisaliśmy o tym w „TP" 26/2022). Dziś, choć do wielu sądów można już bez kłopotu wejść, zostały z nami przepisy covidowe, które pozwalają na rozstrzyganie spraw za zamkniętymi drzwiami, bez udziału stron i publiczności. A sejmowa większość wraz z Ministerstwem Sprawiedliwości nie pali się do przywrócenia standardu jawności sprzed pandemii. Aktualnie procedowana nowelizacja przepisów zamierza jedynie złagodzić covidowe rygory (które całkowicie zniesiono w zdecydowanej większości instytucji) i choć jedną z korekt jest przywrócenie do orzekania ławników, nie zmienia to sedna pandemicznych regulacji. Sędziowie wciąż mają w rękach narzędzie do niejawnego procedowania szerokiego katalogu spraw.

### Poszukiwany prawy człowiek

Czy faktycznie sędziowie pokoju staną się elementem naszego prawnego krajobrazu, pokaże czas. Na razie nie wiadomo, na ile atrakcyjne finansowo będą te stanowiska i to, czy znajdzie się wielu chętnych na nie. Krytycy idei obawiają się, że w naszym kraju do wyborów na sędziów pokoju mogą stanąć w dużej liczbie lokalni działacze polityczni. Z pewnością jednak wartością pozostaje szeroka dyskusja nad tym pomysłem i przede wszystkim określenie roli, jaką powinni pełnić obywatele w sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości. To również pytanie o to, jakimi elementami systemu chcemy uzupełnić nasze sądownictwo, by działało nie tylko szybciej, ale cieszyło się większym zaufaniem społecznym. Dziś tylko 33 proc. obywateli (według CBOS) ufa sądom, a 53 proc. – nie. To tragiczny wynik na tle Europy.

Zdaniem prof. Zolla, zamiast wprowadzać nowe instytucje, trzeba wzmocnić istniejące. I zrozumieć, jaką faktycznie rolę mają pełnić. – Ławnicy nie muszą być prawnikami, a nawet bardzo rzadko są. To nie ma być człowiek, który będzie dyskutował z sędzią o prawnym spojrzeniu na rozstrzygnięcie. Nie taka jest rola ławnika – mówi prof. Zoll.

O ławnikach mówi się, że są sędziami faktu, a nie prawa. Ich rolą jest zagwarantowanie słuszności orzeczenia w oczach społeczeństwa. Mogą pomóc w ocenie winy oskarżonego, określić wysokość kary pozbawienia wolności czy kwotę zasądzonych grzywn lub alimentów. Niezależnie jednak od tego, czy w sądach będą ostatecznie zasiadać sędziowie pokoju, ławnicy czy ktokolwiek inny, powinniśmy odpowiedzieć sobie najpierw na pytanie, co mają oni wnieść do wymiaru sprawiedliwości, oraz dookreślić, kogo szukamy jako kandydatów.

– Ja bym tę instytucję oparł na sylwetce osoby, jej charakterze, znajomości środowiska, w którym ma orzekać, a niekoniecznie na wiedzy z kodeksów – konkluduje prof. Zoll. – Nie wymagałbym, żeby to był prawnik. Niech to będzie mądry, prawy człowiek.

© PIOTR SOŁOWIJ

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **ZŁOTÓW,** piątek 24 marca, spotkanie z prof. Andrzejem Kowalskim, „Religie ludów pierwotnych" / stacjonarne /
- **GLIWICE,** sobota 25 marca, pokaz filmu „Ukos światła" w Domu Pamięci Żydów Górnośląskich / stacjonarne /
- **KĘDZIERZYN-KOŹLE,** wtorek 28 marca, spotkanie z Piotrem Suchanem, „Z Mechnicy do Santiago de Compostela" / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE,** środa 29 marca, spotkanie z Pawłem Pieniążkiem, cykl „Piszą w Tygodniku" / online /
- **GRUDZIĄDZ,** czwartek 30 marca, spotkanie autorskie wokół książki Natalii Szostak „Zguba" / online /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

JAKUB KAMINSKI / EAST NEWS

*Protest pracowników ochrony zdrowia, Warszawa, wrzesień 2021 r.*

# Jeszcze bardziej chorzy

PIOTR WÓJCIK

**Debata o kryzysie finansowym skupiła się wokół cen żywności oraz energii. Tymczasem równie dotkliwe stały się koszty opieki medycznej. Wielu Polaków nie stać już na życie w zdrowiu.**

Wzrost cen usług medycznych boli tym bardziej, że publiczny system ochrony zdrowia mocno niedomaga, zmuszając nas do korzystania z płatnej opieki. I o ile żywność oraz energia drożeją od półtora roku, to ceny wizyt, badań i zabiegów rosną dynamicznie już od trzech lat – od początku pandemii.

W rezultacie utrzymanie dobrego stanu zdrowia w Polsce słono kosztuje. Nie jest to zmartwieniem dla ludzi najbogatszych, którzy mają nie tylko pieniądze na prywatną opiekę, ale często też znajomości, dzięki którym otrzymują szybką i fachową pomoc bez czekania w kolejkach. Jednak dla większości obywateli informacja o poważnej chorobie to dziś realna perspektywa poważnego kryzysu, a nawet bankructwa.

### Model jak z Trzeciego Świata

Według OECD łączne nakłady na zdrowie w Polsce w 2021 r. (nowszych danych nie ma) wyniosły 6,6 proc. PKB, z czego wydatki państwa zapewniły tylko 4,8 proc. PKB. Pozostałe nakłady, sięgające niemal 50 mld zł, pochodziły z naszych portfeli. Inaczej mówiąc, Polacy sami finansują przeszło jedną czwartą opieki medycznej w kraju. Dla porównania, w dużo bogatszych Niemczech z prywatnych kieszeni pochodzi tylko 14 proc. nakładów na zdrowie. Z czego to wynika?

– Pierwszą przyczyną są wydatki na leki, nie tylko te na receptę. W naszym systemie istnieje bardzo wysoki poziom współpłacenia pacjentów – wyjaśnia Maria Libura, członek Rady Ekspertów przy Rzeczniku Praw Pacjenta i kierowniczka Zakładu Dydaktyki i Symulacji Medycznej Collegium Medicum Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. – Drugim czynnikiem są rosnące wydatki na wizyty u specjalistów i na usługi szpitalne. Do tego dochodzą abonamenty i ubezpieczenia komercyjne. To efekt niskiej dostępności świadczeń w systemie publicznym i wielu niezaspokojonych potrzeb. Ci, których na to stać, omijają więc publiczną ochronę zdrowia i kupują usługi medyczne na rynku.

W rezultacie powstał w Polsce dualny system, będący unikalnym jak na Europę połączeniem sektora publicznego i prywatnego. Pomiędzy tymi dwiema składowymi lawirują nie tylko pacjenci, lecz także pracownicy ochrony zdrowia. Z lekarzami na czele. – Dopuściliśmy do sytuacji, która charakteryzuje bardziej kraje rozwijające się niż wysokorozwinięte, nie regulując skutecznie relacji pomiędzy tymi sektorami. Trochę zabrakło wyobraźni, ale przede wszystkim chciano zaoszczędzić. Idea była taka, że pozwolimy pracownikom ochrony zdrowia dorabiać, a dzięki temu będziemy mogli im słabo płacić za pracę w sektorze publicznym. Był to na pewnym etapie sposób ograniczania kosztów publicznej ochrony zdrowia – mówi ekspertka.

Na początku dotyczyło to lekarzy, ale obecnie zjawisko to występuje również w środowisku pielęgniarek oraz techników szpitalnych. Podczas pandemii głośny był przypadek radiologa ze szpitala w Łomży. Mężczyzna dorabiał także w szpitalu w Warszawie, gdzie prawdopodobnie zakaził się koronawirusem. Następnie przywlókł go nie tylko do swej macierzystej placówki w Łomży, ale też do trzeciego zleceniodawcy, czyli szpi-

tala w Grajewie. Przez model łączenia pracy w wielu placówkach niepotrzebnie zamknięte zostały dwa oddziały szpitalne.

Zaproszenie do łączenia pracy w wielu placówkach – zarówno publicznych, jak i komercyjnych – przynosi różne negatywne efekty. Jednym z mniej zauważanych jest rozbicie zespołów medycznych. – Praca w zgranym zespole to podstawa wysokiej jakości usług medycznych. Gdy lekarz jest kilka godzin tu i kilka godzin tam, obsługując odmienne placówki, cierpi na tym bezpieczeństwo i ciągłość opieki nad pacjentem – uważa Libura.

### System wozów drabiniastych

Chorobę systemu najlepiej widać na przykładzie stomatologii. Usługi dentystyczne w Polsce są w zdecydowanej większości sprywatyzowane. Stało się tak z powodu odległych terminów wizyt, a także niskiej jakości usług i materiałów używanych w ramach NFZ. Większość pacjentów nie bierze ich nawet pod uwagę. Chyba że chodzi o usunięcie kamienia nazębnego, do czego pacjenci mają prawo raz do roku (o czym wielu z nich nie wie). Według OECD środki prywatne stanowią aż trzy czwarte wydatków na usługi dentystyczne nad Wisłą. We Francji i Niemczech zaledwie jedną trzecią. Niestety, przyjęty w naszej stomatologii model stopniowo rozlewa się na pozostałe dziedziny medycyny.

– Jeżeli w systemie publicznym decydujemy się na niską wycenę świadczeń i ograniczamy ich wachlarz, to placówki oferują w ramach NFZ niską jakość. Tak się najpierw stało w stomatologii, gdzie jeszcze do niedawna królowały wypełnienia z amalgamatu w zębach trzonowych – tłumaczy Libura. – Wąska i nieatrakcyjna oferta sprawia, że ludzie odpływają do gabinetów prywatnych. Gdybyśmy w miastach oparli transport publiczny na wozach drabiniastych, to ludzie też masowo przestaliby z niego korzystać, a włodarze miast mogliby się chwalić, że pojazdy nie są przepełnione, więc w sumie niepotrzebne.

Obecnie już tylko w stosunku do opieki szpitalnej oraz podstawowej opieki zdrowotnej można powiedzieć, że są niemal w pełni publiczne. Jednak w przypadku konsultacji u lekarzy specjalistów aż 30 proc. nakładów finansowych pochodzi ze środków prywatnych. W Niemczech stanowią one zaledwie 11 proc., w Czechach 3 proc. Rehabilitacja (wraz z urządzeniami do terapii) jest w jeszcze większym kryzysie – w 60 proc. opiera się na prywatnych wydatkach.

Wysoki popyt sprawia, że ceny prywatnych usług medycznych dynamicznie rosną. Według najnowszych danych GUS w lutym 2023 r. wizyty lekarskie zdrożały o 16 proc. rok do roku. Podobnie wzrosły ceny usług szpitalnych (np. prywatnych operacji) oraz stomatologicznych. I nie jest to tylko efekt rosnących kosztów, gdyż drożyzna w prywatnej opiece medycznej trwa od wielu lat. W sumie w latach 2010-2021 cena przeciętnej konsultacji lekarskiej wzrosła o przeszło sto procent, choć ceny w Polsce zwiększyły się w tym czasie zaledwie o jedną czwartą.

„Stomatologizacja" systemu stale postępuje i obejmuje w pierwszej kolejności te specjalizacje, które są najmniej dofinansowane. W efekcie dochodzi do sytuacji dramatycznych. – W publicznej psychiatrii dziecięcej nastąpiła katastrofa, więc prywatni specjaliści mogą dyktować ceny właściwie dowolne. Spotkałam się z sytuacją w pewnym odległym zakątku Polski, w której rodzice dziecka z poważnymi zaburzeniami psychicznymi usłyszeli, że „na cito" lekarz może ich przyjąć, ale za tysiąc złotych – mówi Libura.

### Zdrowie dla szczęśliwców

Niedomagania polskiej ochrony zdrowia wynikają z jej niedofinansowania i ciągłego „syndromu zbyt krótkiej kołdry", ale też wad systemu, w którym pacjent sam koordynuje własne leczenie. Maria Libura zaznacza, że wzrost nakładów powinien iść w parze z głęboką reformą, która skoncentruje się na usprawnieniu całej ścieżki pacjenta i poprawie dostępności świadczeń.

Bardzo ważnym problemem jest także marna refundacja leków na receptę. Przyzwyczailiśmy się, że za leki wypisane przez lekarza musimy płacić, co w Europie wcale nie jest normą. Według OECD tylko 35 proc. wydatków na leki w Polsce jest refundowane z NFZ. We Francji i Niemczech – ponad 80 proc.

Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Współpłacenie za leki w Polsce" w 2018 r. Polacy musieli wyłożyć na leki z własnej kieszeni 7,4 mld zł. Stanowiły one 1,5 proc. budżetów konsumpcyjnych polskich domów – to czwarty najwyższy wynik w UE. I dlatego 40 proc. Polek i Polaków określa obciążenie wydatkami na leki jako wysokie. Tak źle nie jest w żadnym innym państwie Unii. Co siódme gospodarstwo domowe w Polsce wydaje na zdrowie więcej niż jedną dziesiątą budżetu – to szósty najwyższy wynik w UE. Na dodatek obciążenie kosztami łączy się z ogromnymi nierównościami. Według raportu PIE wśród najbiedniejszych gospodarstw domowych aż w co czwartym wydatki na leki przekraczają o 40 proc. ich możliwości finansowe. Wśród najzamożniejszych z nadmiernymi kosztami za leki mierzy się ledwie 0,06 proc. Nierówności te przekładają się na różnice w stanie zdrowia między poszczególnymi klasami społecznymi.

– Nierówności w zdrowiu w Polsce są jeszcze większe niż nierówności w samym dostępie do usług medycznych. Ich źródła sięgają już najwcześniejszych etapów życia – zaznacza Libura. – Mamy ogromne różnice w oczekiwanej długości trwania życia między osobami o różnym wykształceniu. Trzydziestolatek z dyplomem studiów wyższych ma przed sobą 12 lat życia więcej niż jego rówieśnik po zawodówce. Osoby z niższym wykształceniem są też częściej otyłe i częściej cierpią na choroby cywilizacyjne. To efekt zarówno coraz wyższych kosztów utrzymania dobrego stanu zdrowia, jak i fatalnych rozwiązań w innych obszarach. Mamy na przykład beznadziejną politykę dotyczącą alkoholu, który jest bardzo tani i wciąż uchodzi za usankcjonowany kulturowo sposób redukcji stresu.

Dwunastoletnia różnica w długości trwania życia między polskimi mężczyznami z wyższym i niższym wykształceniem jest trzecią najwyższą w OECD. Większe dysproporcje w tym względzie występują tylko w Słowacji i Estonii. W Holandii, Wielkiej Brytanii i Szwecji różnica ta jest nie większa niż cztery-pięć lat. Z kolei dysproporcja w oczekiwanej długości trwania życia między polskimi kobietami o wyższym i niższym wykształceniu sięga sześciu lat – to czwarty najwyższy wynik w OECD. Jeśli nie zaczniemy na poważnie naprawiać systemu opieki medycznej w Polsce, nierówności w zdrowiu nadal będą przypominać bardziej Amerykę Południową niż Europę Zachodnią. ©

# Życie w ciągłej niewiadomej

ANNA GOLUS

**Pacjenci, których dolegliwości trudno zdiagnozować, bywają lekceważeni, oskarżani o symulowanie, odsyłani do psychiatrów i leczeni na depresję, nawet gdy jej nie mają.**

Mniej więcej co czwarty pacjent, u którego zdiagnozowano jedną z tzw. chorób rzadkich, czekał na diagnozę od 5 do nawet 30 lat. 40 proc. spośród nich otrzymało w tym czasie błędne rozpoznanie, bardzo często – nerwicy. Na diagnozę choroby rzadkiej pacjenci w Polsce czekają średnio cztery lata od wystąpienia pierwszych objawów. Jednak problem wieloletniego braku diagnozy dotyczy również osób cierpiących z powodu powszechnych schorzeń. To całe lata niepewności, strachu i bezradności. Oraz postępów nieleczonej choroby.

### „Tak musi być"

– Po drugiej cesarce zaczęłam odczuwać podczas menstruacji ból w okolicy blizny – mówi Aneta Knop, mama dwojga dzieci w wieku 8 i 6 lat. – Krwawienia stały się bardzo obfite i długie, trwały po dwa tygodnie. Z czasem bóle się nasilały, a po kilku latach nie byłam w stanie ich znieść; tabletki przestały działać. Płakałam z bólu, a od lekarzy słyszałam, że skoro USG niczego nie wykazuje, to „wszystko jest pięknie" albo „tak musi być". Mówili, że nie ma powodów do obaw, i uśpili moją czujność. Gdy ja próbowałam znosić ból, w moim brzuchu rozwijała się endometrioza.

W chorobie tej błona śluzowa macicy znajduje się poza nią, ale podlega takim samym zmianom jak ta w macicy, czyli „miesiączkuje", powodując ból podczas okresu oraz powiększające się zrosty, torbiele i guzy. Niekiedy pojawia się samoistnie, a niekiedy – jako powikłanie po operacji. W zależności od zaawansowania choroby można leczyć ją farmakologicznie (hamując rozrost endometrium) albo chirurgicznie (usuwając jego ogniska). U Anety endometrioza była wynikiem cesarskiego cięcia i gdy po około ośmiu latach choroby została w końcu zdiagnozowana, guz osiągnął już wielkość prawie 7 cm i wrósł w okoliczne narządy.

– Czekają mnie dwie trudne, okaleczające operacje i długa rehabilitacja – mówi Knop. – Podczas pierwszej zostanie usunięty guz i fragment zajętych przez niego mięśni brzucha, a po roku macica i pozostałe ogniska endometriozy.

Operacje nie są refundowane. Koszt: 50 tys. zł. Aneta zbiera pieniądze w serwisie siepomaga.pl i wciąż ma żal do lekarzy, którzy przeoczyli zmiany na USG i zbagatelizowali jej objawy. Nie jest jedyna. Szacuje się, że w Polsce nawet 2,5 miliona kobiet może chorować na endometriozę, a od pierwszych jej objawów do diagnozy mija średnio 8-12 lat. Wynika to m.in. z powszechnego przekonania, że ból menstruacyjny to coś normalnego. Bagatelizują go zarówno pacjentki, jak i lekarze. Bo „tak musi być".

### „Młodzieńcza histeria"

– Jako nastolatka zaczęłam zgłaszać bóle brzucha i głowy oraz problemy z oddychaniem – mówi Ewa Kowalów, prezeska Stowarzyszenia Ehlers-Danlos Polska. – W badaniach nic nie wychodziło, więc lekarze stwierdzili, że skoro młoda dziewczyna, to na pewno stresowe. Objawy nasilały się w klasie maturalnej, powodując nieobecności. Wtedy wychowawczyni wezwała moją mamę i powiedziała, że albo zacznę normalnie przychodzić na lekcje, albo mam zmienić szkołę. Nie mogłam starać się o nauczanie indywidualne, bo nie miałam diagnozy.

Kowalów zdała maturę w szkole prywatnej. Poszła na weterynarię i po pierwszym roku studiów zdiagnozowano u niej potworniaka jajnika. Wcześniej żaden lekarz nawet nie zasugerował, żeby pójść do ginekologa i zrobić USG. – Łatwiej było zbagatelizować wszystkie objawy i uznać je za „młodzieńczą histerię" – wspomina kobieta.

Gdy guz jajnika został usunięty, bóle brzucha minęły. Ze wszystkimi innymi objawami choroby, która (po kilku latach odsyłania do psychiatrów) została zdiagnozowana jako zespół Ehlersa-Danlosa, Kowalów zmaga się natomiast do dzisiaj. I już zawsze będzie się zmagać, bo to uwarunkowane genetycznie, wielonarządowe schorzenie tkanki łącznej – jest nieuleczalne.

– Po trzecim roku studiów, które były moim marzeniem, musiałam z nich zrezygnować, ponieważ nasilające się objawy uniemożliwiły mi naukę – mówi Kowalów. – Już wcześniej choroba zabrała mi możliwość podejmowania innych aktywności, np. prowadzenia życia towarzyskiego. Lekarze wciąż jednak mówili, że to wszystko psychosomatyczne

LEON NEAL / AFP / EAST NEWS

*„Budka izolacyjna" na Paddington Station – akcja społeczna zwracająca uwagę na poczucie osamotnienia osób, u których zdiagnozowano nieuleczalną chorobę. Londyn, luty 2015 r.*

i powinnam iść do psychiatry. I gdy już zdecydowałam się na pobyt w szpitalu psychiatrycznym, jeden lekarz stwierdził, że skoro młoda dziewczyna nie jest w stanie pójść na imprezę czy na zakupy, to coś musi być nie tak. Zainteresował się, uwierzył w moje objawy i pokierował dalej.

Ewa Kowalów otrzymała diagnozę zespołu Ehlersa-Danlosa w wieku 23 lat, dwa lata po rezygnacji ze studiów i wiele lat po pojawieniu się pierwszych symptomów choroby, która zaczęła objawiać się już w dzieciństwie. Średnio zespół ten diagnozowany jest u pacjentów w wieku 22 lat, ale zdarzają się chorzy, którzy znacznie później dowiadują się, że to on stanowi przyczynę ich licznych dolegliwości.

– Mamy w stowarzyszeniu i grupie wsparcia osoby w wieku 50-60 lat, które właśnie otrzymały diagnozę albo jeszcze jej szukają, choć objawy miały przez całe życie – mówi Kowalów, która po własnym rozpoznaniu przeszła wiele operacji i zabiegów, dzięki którym jej stan poprawił się na tyle, by mogła wrócić na studia. Nie na wymarzoną weterynarię, ponieważ to zbyt obciążające fizycznie, lecz na medycynę. Dziś ma 30 lat i jest na drugim roku. Na stronie stowarzyszenia, które założyła wraz z mamą, wyjaśnia, dlaczego w jego logo jest zebra: „Studenci medycyny są na studiach uczeni, że najprostsze rozwiązanie najczęściej jest tym właściwym. Używa się przy tym przenośni, mówiącej »jeśli słyszysz tętent kopyt, myśl o koniu, nie o zebrze«. Koń jest metaforą choroby częstej, bardziej prawdopodobnej, a zebra – rzadkiej. Lekarze niestety zapominają, że przysłowiowa zebra istnieje. Dlatego, cierpiąc na Zespół Ehlersa-Danlosa, tak trudno otrzymać prawidłową diagnozę".

### „Po co pani szuka?"

Dotyczy to również innych rzadkich chorób, których opisano dotychczas kilka tysięcy i wciąż odkrywane są nowe.

– Ostatnio jedna lekarka stwierdziła, że albo choruję na jakieś ultrarzadkie schorzenie, jeszcze nigdzie nie opisane, albo mam już tak duże zaniki mięśni, że badania EMG nie są miarodajne – mówi Izabela, która na rozpoznanie czeka od 23 lat. – Przez jakiś czas diagnozowano u mnie rdzeniowy zanik mięśni (SMA), ale badania genetyczne to wykluczyły. Obecnie mam podejrzenie wieloogniskowej neuropatii ruchowej z blokiem przewodzenia. Miałam już podejrzenia miopatii, dystrofii miotonicznej typu pierwszego i drugiego oraz innych chorób mogących być przyczyną zaniku mięśni. Konkretnej diagnozy nie ma, a mimo intensywnej rehabilitacji choroba powoli postępuje.

Badania potwierdziły zmiany w układzie nerwowo-mięśniowym, więc gdy Izabela przez chorobę straciła możliwość wykonywania pracy (zachorowała po 30. roku życia), mogła ubiegać się o rentę, orzeczenie o niepełnosprawności i wsparcie organizacji pozarządowych. Dziś jest podopieczną kilku fundacji, które organizują zbiórki na jej rehabilitację, niekiedy podając nieaktualne dane o diagnozie SMA. Najwyraźniej łatwiej zbierać fundusze, gdy pacjent ma konkretne rozpoznanie – być może „rdzeniowy zanik mięśni" brzmi lepiej niż „zanik mięśni o nieustalonej przyczynie". Brak diagnozy to jednak brak leczenia, więc Izabela nadal szuka.

– Prywatnie też się diagnozowałam, całą Polskę zjeździłam – mówi. – W kraju wykorzystałam już chyba wszystkie możliwości, a za granicą, niestety, ograniczają mnie finanse. Czasem słyszę od lekarzy w moim mieście: „Po co pani szuka?", „Co pani znowu wyczytała?", „Jak panią coś boli, to ja pani wypiszę przeciwbólowe, ale niech już pani da spokój". Mimo to dalej szukam, choć z wiekiem mam coraz mniej energii i zapału. Są takie dni, że mam dosyć. Ale potem słyszę, że otwiera się kolejne centrum chorób rzadkich, i się zgłaszam. Zresztą ja jestem ciekawym przypadkiem nie tylko ze względu na tę ultrarzadką chorobę, ale też dlatego, że mam serce po prawej stronie i całkowite odwrócenie trzewi. Zgłosiłam się więc też do donacji zwłok – jak nie mogą za życia, to może po śmierci coś znajdą.

Ok. 60 proc. pacjentów z rzadkimi chorobami neurologicznymi jest w takiej sytuacji jak Izabela – bez ostatecznej diagnozy, w codziennej walce z chorobą, która być może nie ma jeszcze nazwy. I wielu pacjentów z innymi nieodkrytymi jeszcze chorobami.

### „To ja jestem lekarzem"

– Żeby nazwać coś nową jednostką chorobową, musi zebrać się grupa pacjentów, ↦

↦ którzy spełniają kryteria, mają podobne wyniki badań i których choroby mają taki sam przebieg – mówi Agnieszka Górecka, wiceprezeska Fundacji Niezdiagnozowani. – Medycyna intensywnie się rozwija, wciąż opisywane są kolejne schorzenia, których dotychczas nie dało się zdiagnozować. Albo których wcześniej nie było, bo wciąż przecież pojawiają się nowe.

Pani Agnieszka i jej nastoletni syn są wciąż w trakcie poszukiwań. Po wielu latach „odysei diagnostycznej" oboje mają takie samo, niewiele mówiące, częściowe rozpoznanie: „inne nieokreślone choroby tkanki łącznej", choć ich objawy są różne. Droga do tej częściowej diagnozy nie była łatwa.

– Przez kilka pierwszych lat życia syna próbowałam znaleźć przyczynę jego coraz liczniejszych dolegliwości – mówi Górecka. – Zaczęło się od wysokich gorączek bez konkretnej przyczyny, potem doszły kolejne objawy, m.in obrzęki i bóle stawów, wędrujące pokrzywki, neurosensoryczny ubytek słuchu. Lekarze długo bagatelizowali moje obawy, nieraz słyszałam: „Proszę nie histeryzować, nie szukać choroby na siłę". Dopiero lekarka z pediatrycznego oddziału zakaźnego we Wrocławiu, dr Zofia Szymańska-Toczek, wysłuchała mnie jak matkę, kazała rozpisać objawy i pokierowała dalej. Po kilku latach od początku choroby u mojego syna zdiagnozowano zespół Muckle'a-Wellsa.

Niestety, po kolejnych ośmiu latach okazało się, że diagnoza jest błędna.

– Syn miał wszystkie objawy tej jednej autoimmunologicznej choroby, potwierdzały ją kolejne badania i wszyscy specjaliści – wyjaśnia Górecka. – Przez osiem lat to była oficjalna diagnoza, ale po przeprowadzeniu już łatwiej dostępnych badań genetycznych wykluczyli ją immunolodzy w Centrum Zdrowia Dziecka. I znów nie wiadomo, na co konkretnie choruje mój syn, ale teraz przynajmniej nie ma wątpliwości, że jest to choroba jego tkanki łącznej, a nie moje wyobrażenia. Jak każdy rodzic dziecka, u którego chorobę trudno zdiagnozować, słyszałam, że to wszystko jest w mojej głowie. Kiedy później sama zachorowałam, byłam już doświadczona w walce o diagnozę. A gdy przez dwa lata nie mogłam uzyskać skierowania do reumatologa, bo pani doktor twierdziła, że to ona jest lekarzem i to ona decyduje, komu może przyznać skierowanie, wiedziałam, jak sobie z tym radzić.

**Są dni, że mam dość.** A potem słyszę, że otwiera się kolejne centrum chorób rzadkich, i się zgłaszam. Zgłosiłam się też do donacji zwłok – jak nie mogą za życia, to może po śmierci coś znajdą.

Agnieszka Górecka dzieli się swoim doświadczeniem z podopiecznymi Fundacji Niezdiagnozowani: edukuje, jak przygotować się do rozmowy z lekarzem, porządkować dokumentację medyczną, opisywać objawy. – Komunikacja jest kluczowa – przekonuje. – Lekarz powinien posiadać umiejętność słuchania pacjenta, ale i pacjent musi umieć wyjaśnić lekarzowi, co mu dolega.

### „Niech pani nie udaje"

– Zanim poznałam specjalistyczną terminologię, bardzo źle opisywałam lekarzom objawy mojej choroby – mówi Rut Czarnecka-Walczak, z zawodu psycholożka. – Część tych objawów, np. ze strony przewodu pokarmowego, lekceważyłam i w ogóle o nich nie wspominałam. Innych nie umiałam odpowiednio nazwać ani interpretować. Czułam się ogólnie źle, jakbym ciągle miała jakąś infekcję, byłam osłabiona i rozbita, nie miałam siły pracować, i to zgłaszałam lekarzom. Później dowiedziałam się, że to tzw. objawy grypopodobne, więc myślałam i mówiłam, że mam infekcję. Ale nie miałam.

Podstawowe badania nie wykazywały żadnych nieprawidłowości, więc Czarnecką nie tyko odsyłano do psychiatry, ale też oskarżano o symulowanie.

– Zostałam zlekceważona, wmawiano mi, że mam depresję i to dlatego nie mogę wstać z łóżka – wspomina. – Ta diagnoza była dla mnie trudna do przyjęcia, ponieważ z wykształcenia jestem psychologiem, znam kryteria diagnostyczne depresji i uważam, że nie miałam jej objawów. Ale dla psychiatry fakt, że od pół roku chodziłam po lekarzach i niczego nie znaleziono, oznaczał, że ewidentnie moja psychika nawaliła. Moja lekarka rodzinna natomiast mówiła: „Jeśli nie chce pani pracować, to niech pani powie, ja pani wypiszę to zwolnienie, ale niech pani nie udaje, nie oszukuje". Tak bardzo chciała mnie przekonać, że mam depresję. Ciężko być jedynym przekonanym, że nie ma się takiej choroby, szczególnie jeśli słyszy się to od psychiatry.

Po kilku latach poszukiwań Czarnecka uzyskała diagnozę: zespół przewlekłego zmęczenia. A właściwie „powirusowy zespół zmęczenia", bo tak brzmi to rozpoznanie w Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób ICD-10.

– Ludzie często myślą, że osoby chore na syndrom chronicznego zmęczenia (CFS), nazywany też encefalopatią mialgiczną (ME), są wyczerpane, powolne, ciągle chce im się spać – wyjaśnia. – Ja też tak myślałam i tak też może być, ale „zmęczenie" w tej chorobie może przyjmować rozmaite formy. Charakterystycznym objawem jest tzw. PEM (*post-exertional malaise*), czyli powysiłkowe złe samopoczucie, które może występować pod postacią nie tylko wyczerpania i osłabienia, ale też objawów grypopodobnych i innych. Co ważne, PEM nie zawsze ma miejsce bezpośrednio po wysiłku, czasem następuje później. To jest taka nietolerancja wysiłku jak nietolerancja laktozy, a objawy nie występują od razu. Ostatnio doświadczyło tego wiele osób z tzw. *long covid*. I nikt nie wysyłał ich do psychiatry.

### „Zachęcam wszystkich chorych"

– Mnie na szczęście ominęły oskarżenia o symulację, bagatelizowanie dolegliwości czy odsyłanie do psychiatrów – mówi Pamela Kozioł, prezeska Fundacji Niezdiagnozowani. – Tylko raz lekarka wykonująca jedno badanie powiedziała, że moje bóle mogą być od depresji. Poza tym lekarze podejrzewają chorobę reumatyczną, np. spondyloartropatię albo fibromialgię. Ostatnio przez około trzy lata byłam nawet leczona – na próbę, w ramach różnicowania – lekami immunosupresyjnymi i steroidowymi. Leczenie było skuteczne, teraz trzeba sprawdzić, jak mój organizm radzi sobie bez leków. Korzystam też jednak z profesjonalnego wsparcia psychologicznego i zachęcam do tego wszystkich chorych, którzy długo czekają na diagnozę. Życie w niewiadomej zaburza zdrowie psychiczne i naprawdę wymaga wsparcia.

© ANNA GOLUS

TOMASZ

# Stawiszyński: *Pierwszy, drugi, trzeci Jan Paweł II*

Intensywna dyskusja wokół materiałów opublikowanych przez Ekke Overbeeka i Marcina Gutowskiego, która jakiś czas temu rozgorzała (i nadal goreje) w mediach społecznościowych oraz na rozmaitych łamach, ujawniła pewną skrzętnie dotąd ukrywaną prawdę. A mianowicie: wbrew rozpowszechnionemu, naiwnie realistycznemu przekonaniu, jakoby istniał wyłącznie jeden Jan Paweł II – w istocie było ich dwóch. Przy czym każdy na tyle efektywnie kamuflował swoją egzystencję, że ktokolwiek widział jednego, temu zaraz drugi niejako automatycznie znikał z pola widzenia. Tak jest zresztą i do tej pory, większość z nas w ten sposób właśnie, w liczbie pojedynczej, o nim, pardon, o nich myśli. Tymczasem mamy tutaj oczywistą mnogość, którą uświadamia już pobieżna (acz systematyczna) kwerenda w kilku strategicznych punktach polskiej debaty publicznej. Cóż, może gdybyśmy częściej bywali nie tylko wśród tych, którzy myślą i widzą świat identycznie jak my, lecz także u tych, którzy mają nań zgoła odmienny pogląd – szybciej zdalibyśmy sobie z tego niepokojącego rozdwojenia sprawę? W każdym razie spróbujmy je przynajmniej w jakiejś mierze zdefiniować, zaczynając – naturalnie – od charakterystyki obu tych Janów Pawłów.

Otóż pierwszy Jan Paweł II to święty mąż, niezłomny pomnik ze spiżu. Człowiek w zasadzie pozbawiony wad, reagujący zawsze w sposób bezwzględnie adekwatny, niepopełniający nigdy żadnych błędów. Jeżeli zaś jakieś błędy jednak, zupełnym przypadkiem, popełniający, to zdolny do ich korekty i głębokiej nad nimi autorefleksji. Co sprawia, ma się rozumieć, że każdy taki potencjalny błąd w zasadzie przestaje być błędem. Pierwszy Jan Paweł II to także postać żyjąca poza kontekstem i specyfiką epoki, nieskończenie wyrastająca ponad ograniczenia, zaślepienia, problematyczności i zaniechania swoich czasów. Postać poruszająca się z niezawodnym rozpoznaniem i niezawodną intuicją po najbardziej meandrycznych obszarach rzeczywistości. O ile zgodzić się można, że instytucja, którą pierwszy Jan Paweł II przez lata kierował, miała i ma swoje ciemne strony oraz – delikatnie mówiąc – niechlubne karty w historii, o tyle on je, bez wyjątku, aktywnie piętnował, naprawiał lub zwalczał. A jeśli się jakieś, mimo to, uchowały, to co najwyżej dlatego, że ktoś gdzieś perfidnie działał przeciwko pierwszemu Janowi Pawłowi II, nie zaś dlatego, że on sam czemuś się sprzeniewierzył, czegoś nie dopilnował albo od czegoś – z tych czy innych powodów – odwrócił wzrok.

Zupełnie inaczej sprawy się mają z drugim Janem Pawłem II. Nie będzie żadną przesadą stwierdzenie, że jest on mrocznym doppelgängerem pierwszego. Co u tamtego jawi się jako cnota, u tego zamienia się w karykaturalną przywarę. Przy czym, skoro pierwszy składa się w całości z samych cnót, nietrudno się zorientować, z czego musi być zbudowany jego koszmarny bliźniak. Jest więc ten drugi – nie ma co do tego wątpliwości – człowiekiem małym i nikczemnym. Powodowanym z jednej strony pychą i narcyzmem, z drugiej zaś odstręczającą kompozycją przesądów i ograniczeń. Jest także cynicznym, makiawelicznym i pozbawionym wszelkich skrupułów autokratą, zapatrzonym ślepo w radykalnie odległą od ludzkich spraw transcendencję. Despotą mającym usta pełne wzniosłych komunałów, a jednocześnie wobec realnego cierpienia stuprocentowo obojętnym. Zainteresowanym jedynie dobrym imieniem zarządzanej przez siebie instytucji, gotowym na każdą niegodziwość, byleby tylko uchronić ją przed najdrobniejszą nawet kompromitacją. I jeszcze: w odróżnieniu od pierwszego, drugi esencjalnie wciela i reprezentuje wszystkie ograniczenia i przewiny swojej epoki, wypełniają go one bez reszty i bez reszty wpływają na każdy jego krok i każdą decyzję.

Który z tych Janów Pawłów II jest prawdziwy? Wielu z nas nie ma żadnych wątpliwości, jakiej odpowiedzi udzielić na to pytanie. I właśnie dlatego zarówno pierwszy, jak i drugi osobno rezydują w zbiorowej wyobraźni poszczególnych walczących dziś o pamięć o polskim papieżu grup. Jeśli o mnie chodzi, ryzykuję stwierdzenie, że obydwaj są postaciami w równym stopniu fikcyjnymi, produktami wyobraźni, efektem działania mechanizmu obronnego zwanego „rozszczepieniem obiektu", w psychoanalizie zidentyfikowanego i opisanego m.in. przez Melanie Klein. Jego dynamika jest prosta. Ponieważ ambiwalencja i niejednoznaczność to jakości, które człowiekowi najtrudniej wytrzymać (dlaczego dokładnie, o tym tu może kiedyś napiszę), zwłaszcza w okresie dziecięcym, psychika – żeby oszczędzić nam dyskomfortu – sprytnie rozdziela to, co w gruncie rzeczy jest nierozdzielne. A zatem: emocje przyjemne od nieprzyjemnych, dobro od zła, światło od ciemności, komfort od dyskomfortu itd. Żeby wszakże to rozdzielenie było skuteczne, musimy naprawdę w nie wierzyć, musimy więc naprawdę doświadczać zarówno świata, jak i innych ludzi jako czarnych lub białych, wyłącznie dobrych lub wyłącznie złych.

Tyle tylko, że tego rodzaju rozłączność rzadko kiedy występuje poza naszymi głowami. Ludzkie sprawy bywają najczęściej powikłane, niejednoznaczne i meandryczne, podobnie zresztą jak ludzkie losy, wybory, motywacje i osobowości. Z dużym prawdopodobieństwem zatem można powiedzieć, że jest gdzieś trzeci Jan Paweł II, zupełnie różny od pierwszego i drugiego, choć niewykluczone, że mający – w ziemskich wszakże proporcjach – niektóre spośród ich cech. Dopiero o tym trzecim można odpowiedzialnie powiedzieć, że faktycznie istniał. Czy zatem uda się nam któregoś dnia go odszukać i ocenić adekwatnie do tego, jaki rzeczywiście był i co naprawdę zrobił? ©

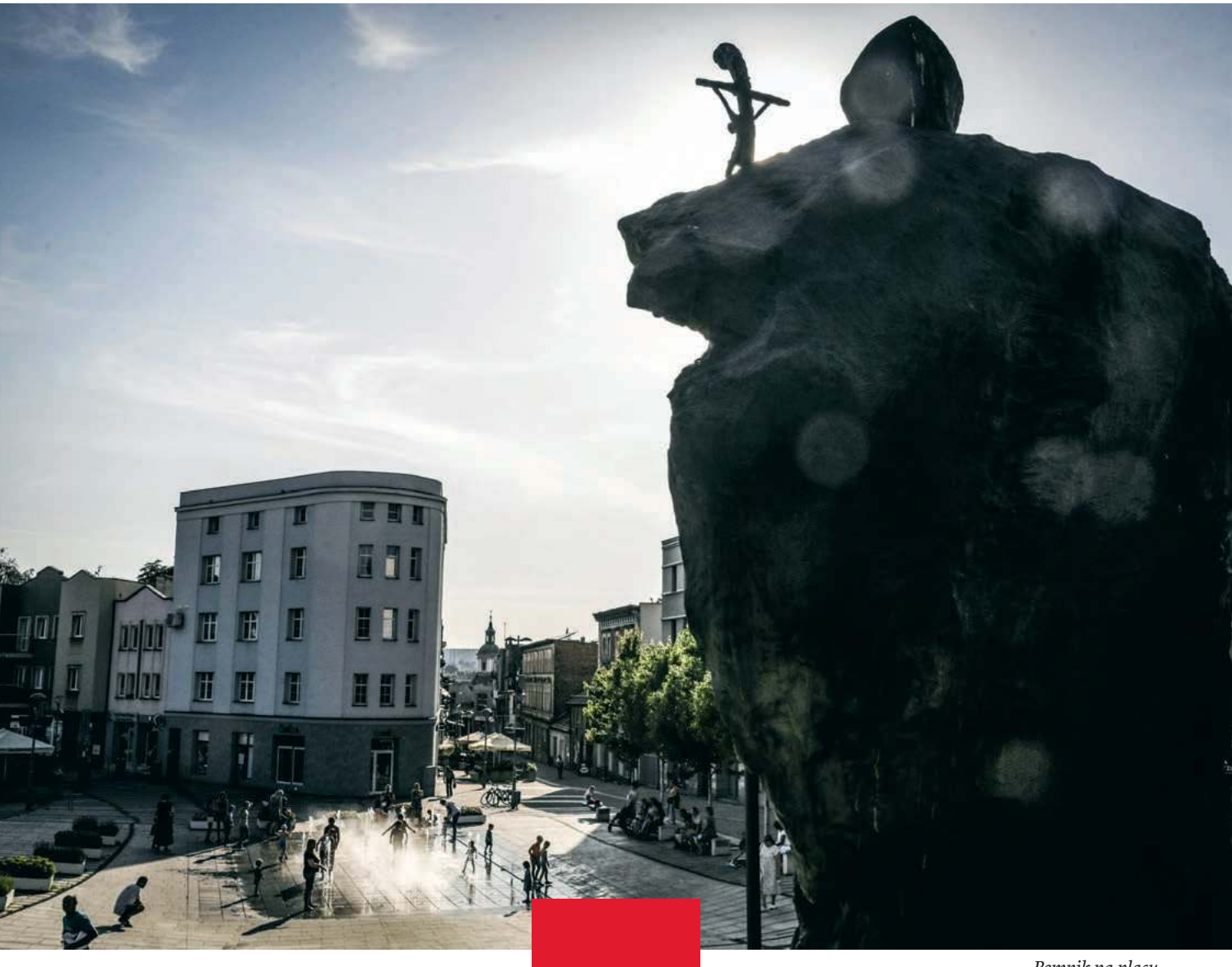

*Pomnik na placu Jana Pawła II w Rybniku, lipiec 2022 r.*

WIARA

# BLIZNY PO PAPIEŻU

MICHAŁ ŁUCZEWSKI:

Przez ostatnie lata widzieliśmy go na pomnikach, odrealnionego. To był dramat, ale dziś dramat jest większy, bo zamiast człowieka, który chciał wskazywać na Jezusa, widzimy twarze skrzywdzonych dzieci.

**MICHAŁ OKOŃSKI: Powiedziałeś kilka lat temu, że Jan Paweł II jest w czyśćcu. Czy dzisiaj aby nie zstąpił do piekieł?**

**MICHAŁ ŁUCZEWSKI:** Na pewno jest w takim miejscu, w którym jeszcze kilka lat temu nikt by go nie widział, ba: w takim, w którym on sam siebie nigdy by nie widział. Zstąpienie do piekieł może pasować. Do miejsca, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów.

**Kto płacze i zgrzyta zębami?**

My wszyscy. W walce o Jana Pawła II wykrwawia się każda ze stron. Nawet jeśli wśród atakujących tę postać i ten symbol przez chwilę ktoś może odczuwać satysfakcję, że ów znienawidzony Jan Paweł II wreszcie się pogrąża, to wyczuwam tam również jakiś rodzaj lęku.

**Bo zamachnęli się na coś potężnego?**

Różnie o tym mówią. Czasem mówią, że zamachnęli się na kremówkowy kult jednostki, czasem, że podważają szkodliwy mit narodowy. Czasem wydaje mi się, że chodzi po prostu o atak na Kościół, choć słyszę przecież np., jak Ekke Overbeek podkreśla, że Jan Paweł II był wielki, że był patronem Solidarności, przekroczył próg synagogi itd. Że jego zasług dla kraju i świata nie da się odebrać, tylko chodzi o przywrócenie mu wymiarów ludzkich.

**I o oddanie głosu ofiarom.**

Kiedy zadzwoniłeś z prośbą o rozmowę, byłem w górach. Chciałem od razu obejrzeć „Franciszkańską 3", ale nie było tam TVN-u. Wydawało mi się to znamienne, że byłem wtedy w bańce, do której burza nie dotarła. Ale potem wróciłem do Warszawy, akurat żeby zobaczyć, jak na Pałacu Prezydenckim wyświetlają wielkie zdjęcie Jana Pawła II. Zacząłem czytać kolejne głosy za i przeciw. Widzieć happeningi i demonstracje polityczne. Odniosłem wrażenie, że wszyscy jesteśmy biedni. Ale że nie ma w tym ofiar, faktycznie.

Wiesz, nie mam z nimi kontaktu. Zastanawiam się, jak one się teraz czują?

**Jest taki tekst w „Więzi". „Kiedyś ksiądz używał Cię dla własnych korzyści seksualnych. Później przedstawiciele diecezji – do sprzątania na swoim podwórku. Teraz hierarchia używa Cię, żeby bronić swojego tonącego statku" – pisze do samej siebie jedna z nich. „Nikt z odpowiedzialnych za Kościół nie skierował do Ciebie – pośrednio czy bezpośrednio – ani pół zdania. Wszyscy byli chyba zajęci pisaniem oświadczeń o świętości Jana Pawła II i atakach na jego dziedzictwo". Ale przy tym autorka deklaruje, że chce wziąć odpowiedzialność za Kościół i że sama nie atakuje ani dziedzictwa Jana Pawła II, ani świętości Kościoła. Jakby przepraszała, że sprawia kłopot.**

To jest straszne, że można tak poczuć. Myślę, że każda instytucja, w szczególności Kościół, powinna sobie zadać pytanie, kto jest kozłem ofiarnym? Kogo my, jako społeczność, nie widzimy? Kto jest krzywdzony?

**Krzywdzone są w pierwszym rzędzie ofiary.**

Tak. Ale, jak powiedziałem: biedni my wszyscy. Także on.

**Mam ochotę zrobić Ci taki test, prawda-fałsz. Żeby sprawdzić, czy my jesteśmy w stanie uzgodnić, o kim tak naprawdę rozmawiamy.**

Spróbujmy.

**Punkt pierwszy: biskup Karol Wojtyła miał wiedzę na temat tego, że niektórzy jego księża są pedofilami.**

Ale to chyba nie jest nowe.

**Do tej pory dominowała narracja, że takie historie do niego nie docierały. Choć przecież to, że będąc biskupem musiał mieć do czynienia z różnymi typami podwładnych – także takimi, którzy naruszali prawo państwowe i kościelne – powinno się wydawać oczywiste.**

Tak, zgadzam się.

**Postępował wobec nich zgodnie z ówczesnymi procedurami i zgodnie z ówczesną kościelną praktyką postępowania.**

Niektórzy uważają, że w niektórych przypadkach działał ponadstandardowo.

**Np. kierując jednego księdza-pedofila na badania psychiatryczne, co nie było wówczas normą.**

Tak.

**Ale po odbyciu kary przywracał ich do funkcjonowania. Nie wiemy do końca, z jakich powodów. Być może naiwnie zakładając, że się zmienili.**

Czasem rzeczywiście taki człowiek może się zmienić. Według metaanaliz amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości recydywa wśród skazanych seksualnych drapieżców wynosi od kilku do 50 proc. Ale z drugiej strony wiemy, że tego typu przestępstwa są szczególnie trudne do wykrycia, więc według terapeutów recydywa może dochodzić nawet do 80 proc. Ważne jest jednak na pewno, żeby przestępcy byli poddawani terapii i leczeniu, np. hormonalnemu. Tylko że to współczesna wiedza, wtedy jej nie było.

Przeoczoną zasługą Overbeeka jest wskazanie na przypadek księdza-pedofila, który został „zesłany", ale nikt go nie leczył, nikt nawet z nim nie porozmawiał. Odczuwał ogromną ulgę, że w końcu mógł publicznie opowiedzieć o swoich winach, bo on także musiał milczeć o tym, co zrobił. Patrzenie na rozbicie takiej osoby jest przerażające: na jej część zbrodniczą, na taką, która chce wszystko zapomnieć, na taką, która mówi, że nic nie pamięta, albo mówi, że coś jej „odbiło", a do tego – na część pobożną, szukającą ucieczki w Bogu, ale też na taką, która bardzo cierpi – może i dlatego, że sama kiedyś była ofiarą nadużycia seksualnego.

**Trauma sprawców: znamy taki syndrom z powojennych Niemiec.**

Upiorność polega nie tylko na tym, że ksiądz był przestępcą, ale też na tym, że w tym rozbiciu zagubił swoją duszę i Boga. I nikt się nim nie zajął. Wszyscy liczyli na to, że można go przenieść, „zniknąć", ale przecież on cały czas był. I jest.

**Punkt następny: kiedy Karol Wojtyła napotykał taki przypadek i próbował coś z nim zrobić, dbał głównie o wizerunek instytucji, za którą odpowiadał. Dążył do wyciszenia sprawy. Ofiary znikały mu z pola widzenia.**

Dzisiaj przeciwstawiamy sobie dobro ofiar i dobro Kościoła, ale wydaje mi się, że dla niego to nie było przeciwstawne. Że wydawało mu się, że jeśli wizerunek Kościoła pozostanie nieskalany, to ta instytucja będzie mogła lepiej służyć ludziom.

To prowadzi do pytania, czy da się pogodzić dobro instytucji z dobrem ofiar? ↦

DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ W mojej perspektywie to jedyna droga. On myślał, że gdy zadba o instytucję, to wszystko w końcu będzie działało. To mrzonka oczywiście, ale dzisiaj widzę drugą: że kiedy odrzucimy Kościół i skupimy się na ofiarach, to wtedy wszystko będzie działało. Przecież nie jest tak, że jak sobie poradzimy z Kościołem, to wokół nie będzie pedofilii.

**Przerzucasz odpowiedzialność?**

Przeciwnie. Dwa lata temu wziąłem udział w warsztatach Roberta Falconera, terapeuty, który sam w dzieciństwie był ofiarą wykorzystania seksualnego. Jego historia jest wyjątkowo dramatyczna: gwałcił go ojciec, będący duchownym w Kościele prezbiteriańskim, gwałcili go kochankowie ojca, gwałciła go matka, zgwałcił go też brat, któremu ojciec dał wybór, czy chce być ofiarą czy sprawcą. I który wybrał to ostatnie. Wszystko w perwersyjnej, quasi-religijnej otoczce „pobożnej" amerykańskiej rodziny z klasy średniej. Później ów brat popełnił samobójstwo, a ojciec został zamordowany, być może przez ojca jednej z ofiar.

**I co na to Falconer?**

Zastanawiał się, na czym polega dramat nadużycia seksualnego przez ludzi Kościoła. Mówił, że na zabiciu niewinności ciała, ale też na odcięciu ofiary od jedynego, według niego przynajmniej, źródła uleczenia, czyli po prostu źródła duchowego. Ksiądz zabija swoją ofiarę dwa razy. James Hamilton, będący wieloletnią ofiarą siatki ks. Fernanda Karadimy z Chile, mówił, że przestępcy zabijali jego ciało i duszę. Jeśli widzisz, że reprezentanci świata duchowego są zbrodniarzami albo że kryją zbrodniarzy, stajesz się bezsilny.

Falconer opowiada, że chodził do duchownych różnych wyznań, przedstawiał swoją historię i pytał, gdzie w tym wszystkim był ich Bóg. Poza jednym benedyktynem, Davidem Steindlem-Rastem, wszyscy potraktowali go jak trędowatego. A ów benedyktyn powiedział: „Jezus był w tym czasie z tobą. Patrzył na to, co się dzieje, twoimi oczami i płakał".

**Trudno mi się tego słucha.**

Bo to jest trudne do słuchania. Falconer mówi, że rozumie swojego brata. Ma współczucie dla sprawców. W jakimś sensie dociera do źródeł człowieczeństwa, w którym możemy być ofiarami, ale przy splocie różnych okoliczności także sprawcami.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

**MICHAŁ ŁUCZEWSKI** (ur. 1979) jest socjologiem i psychologiem, adiunktem na Wydziale Socjologii UW, w latach 2013-19 był zastępcą dyrektora Centrum Myśli Jana Pawła II. Opublikował m.in. „Odwieczny naród. Polak i katolik w Żmiącej" (Nagroda Tischnera, 2013) oraz „Kapitał moralny. Polityki historyczne w późnej nowoczesności".

Pamiętasz, co napisał Ratzinger po rozmowie z ofiarami pedofilii? Pewna kobieta opowiadała mu, że molestujący ją kapłan używał słów: „To jest ciało moje, które będzie za ciebie wydane". „To oczywiste, że ona nie może już słuchać słów konsekracji bez ponownego doświadczenia tego straszliwego cierpienia" – komentował.

**W tym teście prawda-fałsz to jest chyba najtrudniejsze: uznać, że przy wszystkim, co Karol Wojtyła zrobił dobrego dla Polski, świata i wielu jednostek, był kompletnie ślepy na ofiary przestępstw swoich księży. W historiach, które opisali Marcin Gutowski i Ekke Overbeek, nie ma śladu zainteresowania biskupa skrzywdzonymi członkami powierzonej mu wspólnoty.**

Mocno to mówisz. Na pewno mocniej, niż ja bym powiedział. Zastanawiam się, dlaczego? Bo to przecież jest prawda.

**Obaj znamy wierzących, dla których to była i jest ważna postać. Nie jako przywódca polityczny, lider wspólnoty religijnej, ktoś, kto rozwiązywał za polskich biskupów wiele problemów, np. sprawę karmelu w Oświęcimiu. Nie jako ktoś, kogo jedno zdanie pozwoliło rozstrzygnąć referendum akcesyjne. Bardziej mistyk opowiadający o swoim doświadczeniu religijnym tak, że miało to wpływ na ich doświadczenie. Otóż ten ktoś nie widział krzywdzonych dzieci i ich matek.**

Ale on się jako papież spotykał z ofiarami nadużyć seksualnych. Są świadectwa tych ludzi, że takie spotkania dawały im siłę, żeby dalej żyć.

**Mówimy o biskupie krakowskim, który nie pojechał do przysiółka Mutne w Beskidzie Żywieckim.**

Systemowo można to sobie wytłumaczyć rozmyciem odpowiedzialności. Pomiędzy mieszkańcami tego przysiółka a biskupem byli wikary, proboszcz, biskup pomocniczy. Kiedy każdy z nich był odpowiedzialny za to, żeby przyjść do tych ludzi z dobrym słowem, to ostatecznie nikt nie był odpowiedzialny.

Może powiem jeszcze inaczej: dla mnie to zło, o którym mówimy w przypadku Karola Wojtyły, nie jest demoniczne. Ono jest w jakimś sensie banalne. Nie pomyślał, nie pojechał. Tak, to było złe. Nie wiedział, co czyni, bo nie widział, co czyni. Ale dla mnie to nie jest powód, żeby się od niego zdystansować. Raczej, żeby nad nim zapłakać.

**Powiedz to ludziom, którzy uwierzyli mu, że człowiek jest drogą Kościoła. „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza".**

To jest ten brak i oczekiwanie: żeby przedstawiciel Kościoła odwiedził skrzywdzone osoby. Żeby je wysłuchał, tak jak zrobili to dziennikarze, którym należy się w związku z tym szacunek (sam prowadziłem badania i wiem, co dla kogoś w traumatycznej sytuacji znaczy opowiedzenie swojej historii pierwszy raz). Ale żeby zrobił coś jeszcze. Żeby umył tym ludziom nogi.

**Może na tym polegał Twój opór wobec tego, co wcześniej powiedziałem. Że wielu ludzi miało do tej pory taki jego obraz, w którym ów gest umycia nóg ofiarom byłby czymś oczywistym. Okazuje się, że nie był.**

Że system kościelny nie widział ofiar.

**I że on był kolejnym elementem systemu. Jak to powiedział brutalnie papież Franciszek: do czasu skandalu bostońskiego wszędzie w Kościele takie sprawy były tuszowane.**

Ja rozumiem, że tutaj są dwie rzeczy. Konieczność przeprowadzenia rzetelnych badań w kościelnych archiwach, które pozwoliłyby ustalić, ile jeszcze było takich przypadków jak te, które pokazali Gutowski i Overbeek. Rozmawiamy na wydziale socjologicznym; w naukowej perspektywie czymś normalnym są analizy, dlaczego np. w Australii przypadków pedofilii wśród księży było 7 proc., w Niemczech i Irlandii – 4, a w Polsce – 1 proc. Nie chodzi o to, że Kościół polski był lepszy, tylko że w opresyjnym systemie komunistycznym nie mógł prowadzić szkół i szpitali, gdzie o tego typu nadużycia było najłatwiej.

I druga, ważniejsza perspektywa. Jak to się wszystko miało do standardów Ewangelii, które przecież on do siebie przykładał. Wtedy nie interesują nas statystyka i badania porównawcze, ale każdy przypadek, który woła o pomstę do nieba, bo każdy jest skandalem. To może prowadzić do odrzucenia nie tylko Kościoła, ale samej Ewangelii, jak u Iwana Karamazowa, który odrzucał Boga ze względu na jedną łzę dziecka. A przecież tu jest morze łez.

Ale wiesz, ja nie chcę mówić o Janie Pawle II w kategoriach winy. Chciałbym znaleźć inny język.

**Znajduj.**

Bo przecież jeśli wierzymy, że on jest święty, to może nas słyszeć.

**Tylko czym jest świętość, jeśli jest w niej taki wymiar: niewidzenia konkretnego człowieka?**

Zarzucano mu, że tylu świętych kanonizuje, a on wnosił do Kościoła element słowiańskości. W „Wykładach o literaturze słowiańskiej" Mickiewicz mówił, że mieszkańcy tej części Europy wierzą, iż świętych jest więcej, niż uznaje Kościół. W świętości chodzi o osobisty związek z Chrystusem. Możemy go doświadczyć tutaj, ale w pełni doświadczymy po śmierci.

**Czyli że święta jest także moja nieżyjąca mama – mimo że Kościół z pewnością by jej nie kanonizował?**

Albo moja babcia.

**Tylko jak rozumieć tę świętość oficjalną, z kościelną pieczęcią? Czy ktoś, kto nie widzi krzywdy tych dzieci, może być święty?**

Przykład Falconera pokazuje, że system kościelny nie radzi sobie z ofiarami. Są inne przykłady, tu, w Polsce, gdzie reprezentanci kościelnej struktury wciąż boją się spotkań z ofiarami. Może są już nawet gotowi zapłacić im odszkodowanie, ale nie są gotowi usłyszeć pytania: gdzie Bóg był wtedy, gdy ja cierpiałem?

Kiedy pytasz o świętość... Przypomina mi się postać dobrego łotra. Może żadna inna świętość nie jest nam dostępna.

**Karol Tarnowski, który był z Wojtyłą zaprzyjaźniony, mówi: „Nie chodzi o to, by ją [świętość] teraz obalać. Ale trzeba uświadomić sobie, że świętość jest procesem, drogą. Nie jest statyczna. Może być tak, że ktoś dochodzi do świętości także poprzez »błędy i wypaczenia«, bo jest po prostu człowiekiem jak inni. A przede wszystkim każdy pozostaje dzieckiem swojej epoki i swojej sytuacji społecznej, czyli także instytucji, której się służy. Wzrastanie w świętości nie chroni przed dobrowolną, a może mimowolną ślepotą".**

Wojtyła lubił metaforę przezroczystości: bycia jasnym, transparentnym. Często opisywano go jako aktora, ale on chciał wskazywać na Jezusa. Mówił też, że chciałby nie być poznawany od zewnątrz, tylko od wewnątrz. Ale przez ostatnie lata patrzono na niego wyłącznie od zewnątrz, dalekiego i odrealnionego na fasadach i pomnikach. To był dramat, ale dzisiaj dramat jest może jeszcze większy, bo zamiast człowieka, który chciał wskazywać na Jezusa, widzimy twarze skrzywdzonych dzieci.

Co on by teraz powiedział na to wszystko? Jak by sobie z tym poradził? Jak sobie radzi? Pamiętam takie wspomnienie kleryków z seminarium, którzy na opłatek czy jasełka przynieśli mu rózgę, jakby wskazując, że powinien być dla nich ostrzejszy, że jakby za dużo było w nim miłosierdzia.

**Słucham Cię i wraca do mnie metafora bielma. Wojtyła jest dobry i miłosierny dla księży. Czuje się ich ojcem. Wierzy w świętość Kościoła. I znikają mu te ofiary.**

Czujemy, że powinien im umyć stopy...

Mówiłem wcześniej, że nie chcę opowiadać o tym w kategoriach winny/niewinny. Może lepszy byłby język terapeutyczny. Uczestniczyłem kiedyś w terapii grupowej wspólnie z osobami wykorzystywanymi seksualnie przez księży. I tam mówiło się nie o winie, ale o przyczynieniu się do czegoś. O tym, że za czyjąś krzywdę odpowiada głównie sprawca, ale oprócz niego są także proboszcz, biskup, rodzice, którzy nie dawali wiary świadectwu dziecka, itd. Sam jestem z Poznania, pamiętam matki dzieci z chóru Kroloppa, wołające z oburzeniem: „Proszę państwa, to jest maestro przez duże »M«!".

I jeszcze jedna kwestia mi się przypomniała, *à propos* poznawania od wewnątrz. W 1941 r. w Teatrze Rapsodycznym młody Karol Wojtyła grał w „Królu Duchu" postać Bolesława Śmiałego. Widzowie byli pod wrażeniem tego, jak wcielił się w brutalnego i rozwiązłego władcę, zabójcę św. Stanisława.

**I co ma z tego wyniknąć?**

Wkurza mnie czasem w księżach, że nie mają dostępu do swojego cienia, że są hipokrytami, udają doskonałych. Przecież jeśli go nie ujawnią, nie zintegrują, ↦

POŻEGNANIE

Wyrazy głębokiego współczucia dla

Jacka Ślusarczyka i całej Rodziny

z powodu śmierci

Siostry Elżbiety

składają

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

↦ cień będzie nimi rządził. W tych, którzy chcą być święci, jest też łotr. Ks. James Alison pisał o klerykalnej „profesjonalnej hipokryzji". Patrząc z tej perspektywy, przeproszenie za grzechy Kościoła Jana Pawła II to jedyna droga do normalności. Dziś wierni jeszcze raz powinni wysłuchać spowiedzi i księży, i biskupów.

Tylko żeby o tym mówić, trzeba zrobić krok wstecz. Sam powiedziałem, że się wkurzam, ale chciałbym, żeby w rozmowach na ten temat więcej było ciszy, a mniej krzyku jednych na drugich.

**Mówiłeś też o potrzebie języka terapeutycznego. W tej perspektywie gniew, który nas otacza, jest całkowicie naturalny. W terapii musisz różne rzeczy z siebie wyrzucić, także z wściekłością, i dopiero potem pewne rzeczy integrować. Cisza trwała długo. Za długo.**

Jedno mnie w tym niepokoi. Jan Paweł II był postacią, która dla ogromnych rzesz społeczeństwa była gwarantem poczucia bezpieczeństwa. Jeśli nie wokół niego, to wokół kogo będziemy się gromadzić?

**Ano właśnie: abstrahowaliśmy dotąd w naszej rozmowie od toczącej się dookoła wojny kulturowej, w której ktoś chce usunąć z naszego świętego gaju ulubionego Światowida, a znowuż ktoś inny wznosi wokół tego gaju okopy i mury.**

To się może nie podobać, ale tak wychodzi w moich badaniach: w centrum polskości jest Jan Paweł II. To on definiował, czym jest polskość. W Żmiącej odkrywałem, że im bardziej ktoś był do niego podobny, tym bardziej był uważany za Polaka.

**To też paradoksalne, bo choć mówił oczywiście, że nie da się zrozumieć Polski bez Chrystusa, to jego wizja polskości „jagiellońskiej" była wizją polskości wielokulturowej, zróżnicowanej etnicznie i religijnie, tolerancyjnej i otwartej.**

Bauman pisał w swojej ostatniej książce, że świat potrzebuje Boga miłosierdzia takiego, o jakim mówił Jan Paweł II. Kołakowski czy Michnik fascynowali się tym niekoronowanym królem Polski. Ale dynamika procesów społecznych jest taka, że jak cię wynoszą wysoko, to potem zostajesz ścięty. To historia Edypa, Hioba, Chrystusa. Lecha Wałęsy także. Jana Pawła II dotąd to nie spotkało. Gromadzono się wokół niego po zamachu. Gromadzono się, kiedy chorował, kiedy stawał się coraz słabszy i umierał. Urban, pisząc tekst „Obwoźne sado-maso", wyczuwał, jakie to jest silne.

**System kościelny nie radzi sobie z ofiarami.**

Może nawet jest już gotowy zapłacić im odszkodowanie, ale nie jest gotowy usłyszeć pytania, gdzie Bóg był wtedy, gdy ja cierpiałem?

**Kościół też tak ma?**

Nie wiem, czy ludzie Kościoła dostatecznie rozumieją odpowiedzialność, jaka na nich ciąży: że nawet ci, którzy Kościół atakują, robią to w imię oczekiwania, że on będzie czysty. Dlaczego? Dlatego, że Kościół wciąż pozostaje, na świadomym i nieświadomym poziomie, zwornikiem całego społeczeństwa. Pomyśl, jaka musi być kondycja całego społeczeństwa, skoro nawet Kościół przestaje być czysty. Przecież rozpad tej jednej struktury oznacza, że rozpada się także wszystko wokół, a świat staje się miejscem coraz bardziej niebezpiecznym. Dlatego jestem przekonany, że Marcin Gutowski odczułby ulgę, gdyby okazało się, że archiwa są puste. Jeśli Kościół jest czysty, dla wszystkich jest nadzieja. Po żadnej innej instytucji tak wiele się nie oczekiwało.

**Pewnie niektórzy faktycznie szukają bezpiecznego miejsca. Inni wolą żyć bez złudzeń i idealizacji. Świadomie.**

Skoro świadomie, to powinni zdawać sobie sprawę, w jak niebezpiecznym momencie jesteśmy. Pandemia, której niszczących skutków nie doceniamy, wojna w Ukrainie i wojna polsko-polska, pauperyzacja, o której mówią wszyscy badacze, poczucie spadającej dzietności i starzenia się społeczeństwa, kryzys klimatyczny... Nałożona na to perspektywa utraty zwornika, stojącego na tylu pomnikach jak sędzia sprawiedliwy – kogoś, kto we wszystkich badaniach był autorytetem, ojcem, dosłownie Ojcem Świętym...

**Naprawdę tak myślisz?**

Wiesz, Michał, mnie chodzi chyba o taką potrzebę, żeby on był tutaj z nami, żeby siedział na tym pustym krześle, i żebyśmy nie musieli rozmawiać ze sobą, tylko z nim. Żebyśmy mogli zapytać: jak ty się teraz masz, jak ty to widzisz? Zrobiłeś kościelny rachunek sumienia u progu tysiąclecia, prosiłeś o przebaczenie grzechów Kościoła wobec tylu grup. Wobec kobiet, wobec Żydów. Ale tę grupę pominąłeś. Jak to jest możliwe? Dlaczego tego nie zrobiłeś? Pisałeś o ideologiach XX wieku, o misterium zła. Dlaczego nie o tym? Czy nie czujesz, że czegoś nam tu nie dowiozłeś?

Nie mamy możliwości zadania tych pytań. Nie mamy nawet możliwości pomóc mu podnieść się z tego.

**Trochę mamy. Kiedy mówimy, że był dzieckiem swoich czasów i ich nie przekroczył. Tak jak wielcy humaniści poprzednich wieków, którzy akceptowali niewolnictwo albo brak prawa głosu dla kobiet. Tylko że to wciąż nie rozbraja problemu tej oficjalnej świętości.**

Być może ta świętość polega też na tym, że i on, i ofiary mogą się spotkać w chwale Królestwa Bożego i jakoś to rozstrzygnąć. Sam próbowałem, wiesz, przed naszym spotkaniem zrobić taką medytację, skomunikować się z nim. Ale za mało miałem czasu.

**Miałem o to nie pytać: czy modlisz się do niego? Przywołujesz jego obecność?**

Próbuję się z nim spotykać. Ale czy spotykam? Trudno powiedzieć. To jest w mojej głowie. Tak naprawdę to mogą być moje wyobrażenia, projekcje, ale czasami... Widziałem kiedyś, że upada i potrzebuje mojej pomocy...

**Twoja wiara nie została teraz zdruzgotana.**

Nie. Ale podczas całej tej rozmowy się zastanawiam, czy ja się gdzieś wewnętrznie nie dystansuję wobec tematu. W podstawówce czytałem Utę Ranke-Heinemann, te wszystkie książki o czarnych

kartach Kościoła i demonicznym Wojtyle. Siostra nie chciała mnie przez to dopuścić do bierzmowania. Potem przez lata mieszkałem w Niemczech i śmiałem się, kiedy ludzie mówili, że to zbrodniarz, odpowiedzialny ze względu na swoje stanowisko wobec prezerwatyw za śmierć milionów ludzi w Afryce. Teraz patrzę na wysyp negatywnych książek o Kościele i Janie Pawle II jako na powtórzenie tego, przez co sam przechodziłem. Widzę w tym społeczny rytuał zabijania ojca. Moi studenci zaproponowali kiedyś taką kategorię, *à propos* totemów, „totememizacja". Że ktoś, kto był totemem, staje się memem. My przed laty wyczuwaliśmy, że tak się stanie. Pisaliśmy w „Pressjach", że tym kultem Wojtyły „zabijamy proroka" i kremówkujemy go, pierwsza edycja Karol Wojtyła Fellowship w Centrum Myśli Jana Pawła II była pod hasłem „rozbijania pomników Wojtyły". Ale Wojtyła pozostał totemem, a nie żywym człowiekiem, i stał się obiektem ataku. Ja nie chcę przechodzić przez ten rytuał od „*santo subito*" do równie nagłego wyszydzenia i potępienia.

**Właściwie dlaczego, skoro masz to przepracowane?**

Dziś wiem, że chodzi o Jezusa, a nie o papieża czy Kościół. Ale ze społecznego punktu widzenia rozdzielenie tych dwóch sfer wydaje się trudne. Skoro on był drogą do Jezusa, to trudno jednym cięciem oddzielić jedno od drugiego. Boję się, czy w momencie, kiedy Jan Paweł II przestanie być ważnym punktem odniesienia i świętym, to ludzie nadal będą szli do Jezusa. Boję się, że nastąpi destrukcja Kościoła, a bez Jana Pawła II zmieni się kształt polskości. Że Kościół nie będzie już nigdy tą bramą, przez którą przejście pomaga ludzi uleczyć, tylko symbolem traumy i zła. Więc dlatego nie chciałbym się z Janem Pawłem II żegnać.

**Może nie musisz.**

Zbyszek Nosowski napisał kiedyś książkę „Polski rachunek sumienia z Janem Pawłem II". Mam teraz wrażenie, że jego teksty zamieniają się w „Rachunek sumienia za Jana Pawła II". Ja tak daleko nie umiałbym pójść.

**Powiedziałeś kiedyś: „Nie wiem, jaki będzie ostateczny wyrok. Wiem tylko, że prawda może wyzwolić Jana Pawła II, Kościół, ofiary i nas samych".**

Sama prawda nie wystarczy. To musi być prawda w miłości. Nie taka bezdusznie opisująca zło, które spotkało wspomnianą przez ciebie autorkę „Więzi". Uwzględniająca jej perspektywę tak, żeby ona się nie czuła instrumentem w grze. Może cała ta sprawa pozwoli nam przestać grać innymi. Może zbudujemy lepsze instytucje i trochę sami zmądrzejemy. Dla nas świętość dobrego łotra jest trudna do przyjęcia, bo chcemy albo świętych, albo łotrów. Dlaczego? Bo możemy ich wykorzystać albo do podziwiania, albo do potępiania, albo do podpinania się pod nich, albo też do deptania ich, a za każdym razem do budowania swojej wartości ich kosztem. Zawsze wyobrażamy sobie, że to my jesteśmy bohaterami.

Nie lubimy świętych łotrów, bo świętość i błąd za blisko się w nich łączą i za blisko łączą się w nas.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

REKLAMA

Kraków

MISTERIA PASCHALIA

Jubileuszowa 20. edycja Festiwalu Misteria Paschalia

Świętujemy dwie dekady muzyki, tradycji i relacji!

4 – 16 kwietnia

Najciekawsze dzieła muzyki dawnej w wykonaniu zespołów i solistów o światowej renomie. Wybitne dzieła znakomitych kompozytorów: Pergolesiego, Charpentiera, Mozarta.

Wystąpią:
Le Poème Harmonique
Cohaere Ensemble
Ensemble Correspondances
Cappella Mediterranea
Les Talens Lyriques
Ensemble Irini

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

# Cena przetrwania

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI

**Podczas niemieckiej Drogi Synodalnej świeccy uczyli się sięgać po swoje prawa, biskupi – z bólem rezygnować z przywilejów.**

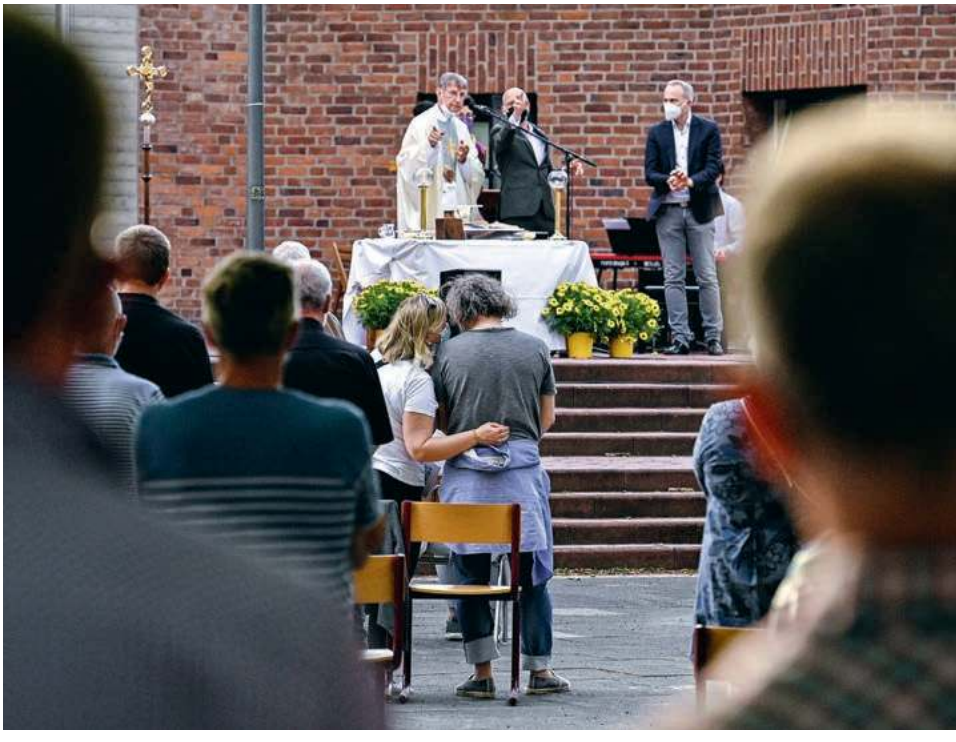

SASCHA STEINBACH / EPA / PAP

*Plenerowe nabożeństwo błogosławienia par tej samej płci oraz osób rozwiedzionych żyjących w nowych związkach. Kościół Zmartwychwstania Chrystusa w Kolonii. Niemcy, 9 maja 2021 r.*

Młody człowiek z poważną twarzą zwraca się do przedstawiciela Watykanu. „Chciałbym, żeby nas Ksiądz uważnie posłuchał i przekonał się, że nasze teksty poruszają się wewnątrz prawa kościelnego. (...) A to znaczy, że problem, który wy, w Watykanie, robicie z tych tekstów, wcale nie istnieje. Ale jeszcze ważniejsze jest, żeby Ksiądz wreszcie spojrzał na ludzi. Na ludzi, którzy ucierpieli z powodu przemocy w Kościele. Przemoc jest warunkowana systemowo, to zostało wykazane naukowo, i chciałbym, żeby Watykan i Ksiądz wreszcie przyjęli to do wiadomości i wtedy również zrozumiecie, że potrzeba nam pilnych reform". Tak na rozpoczęcie piątego, ostatniego już zebrania plenarnego niemieckiej Drogi Synodalnej zwrócił się do nuncjusza papieskiego w Niemczech abp. Nikoli Eterovicia przedstawiciel Związku Niemieckiej Młodzieży Katolickiej (BDKJ), Gregor Podschun.

Już na poprzednich zebraniach plenarnych wskazywał, że Watykan używa szkodliwego języka w odniesieniu do Drogi Synodalnej – np. krytykując jej demokratyczny ustrój, oskarża ją o „protestantyzację". Podschun przepraszał braci ewangelików za nieekumeniczny język Stolicy Apostolskiej sugerujący, że zbliżanie się do rozwiązań protestanckich jest ujmą. Jego słowa pokazują napięcie, które przez trzy lata narastało między Watykanem a Kościołem w Niemczech.

### Watykan się krzywi

Na początku roku obserwowaliśmy nową odsłonę tego napięcia, gdy w odpowiedzi na wątpliwość kilku niemieckich biskupów Watykan wypowiedział się nieprzychylnie wobec planowanego przez Drogę Synodalną powołania rady synodalnej – ciała złożonego z reprezentantów różnych środowisk kościelnych, również świeckich. Miałaby ona wypracowywać decyzje dotyczące przyszłości Kościoła niemieckiego wspólnie z biskupami. Rada ma powstać do 2026 r. Na razie jej zarys jest bardzo ogólny: wiadomo, że miałaby uczestniczyć w procesach decyzyjnych, a biskupi na mocy własnego zobowiązania mieliby brać jej opinię pod uwagę.

Nie jest jasne, jak miałoby się to nowe ciało sytuować w obecnym porządku prawnym: jego przygotowaniem zajmie się Komisja Synodalna, złożona z 27 członków zgłoszonych przez Centralny Komitet Katolików Niemieckich (ZdK), 27 z ramienia Konferencji Episkopatu Niemiec oraz 20 wybranych w głosowaniu podczas ostatniego spotkania we Frankfurcie.

Komisja będzie również kontynuowała prace nad dokumentami, które zostały przygotowane przez komisje Drogi Synodalnej, ale nie zdążyły przejść całego procesu dwóch czytań i w związku z tym nie zostały uchwalone – o zapobieganiu przemocy wobec kobiet oraz o wprowadzeniu synodalności do codziennej praktyki kościelnej.

Wpływ tego rzymskiego napomnienia był odczuwalny na ostatnim zebraniu plenarnym Drogi i podczas jego przygotowywania. Biskupi zaproponowali zmiany w dokumencie „Wspólne debatowanie i decydowanie" już po przepisowym czasie, co wprowadziło kolejne napięcia wśród uczestników Drogi i przesunęło tekst do późniejszej redakcji. Również przyjęte teksty przeszły w wersji łagodniejszej niż pierwotnie. Siostra Katharina Ganz, przełożona generalna franciszkanek z Oberzell, tak to podsumowała: „Biskupi, to jest moje wrażenie, stali się z powodu interwencji z Rzymu trochę strachliwi, dyplomatyczni. (...) Koniec końców dyskusja nad tekstami oddaje dylemat, który mamy stale w Kościele: to biskupi decydują o akceptacji tego, co metodologicznie i pod względem treści tu powstaje. I my, świeccy, bierzemy w tym udział: zagłosowaliśmy za przyjęciem tekstu »Przepowiadanie Ewangelii przez kobiety w słowach i sakramentach«, mimo że ważne tematy z niego wyleciały, jak choćby namaszczenie chorych czy spowiadanie przez świeckich – to wszystko już było w historii Kościoła. To wszystko zostało wyjęte, bo biskupi boją się, że spowodowałoby to rozmycie rozumienia kapłaństwa".

Rzym od początku się od Drogi Synodalnej dystansował. Franciszek kilkakrotnie podkreślał, że synodalność

nie ma w sobie nic z demokracji. Ostatnio, w styczniu, w rozmowie z Associated Press Franciszek wyraził zaniepokojenie, że niemiecka „tak zwana droga synodalna" została „stworzona przez elity", a nie przez cały lud Boży, oraz że zmierza w kierunku ideologizacji.

### Wyjątkowość Drogi

Wraz z piątym zebraniem plenarnym 11 marca Droga Synodalna, bezprecedensowy proces rewizji systemu władzy w Kościele katolickim i mechanizmów wykluczenia, w którym po równo wzięli udział świeccy i duchowni, dobiegła końca. Z konkretnych rozwiązań przyjętych końcowo przez zgromadzenie mało kto jest chyba zadowolony – zachowawcza część Kościoła niemieckiego oraz wielu zagranicznych obserwatorów wieszczy schizmę i zarzuca Drodze zanegowanie nauki katolickiej. Kręgi postępowe narzekają, że nie udało się wypracować wyraźnej zmiany, która obligowałaby biskupów. Ale w bilansie nie to jest najważniejsze. Droga otworzyła publiczną debatę na wiele tematów, które dotychczas były tabu w Kościele, nade wszystko zaś dokonała ważnej zmiany paradygmatu myślenia o kościelnym nauczaniu – kondycja osób skrzywdzonych, ale także dyskryminowanych oraz tych, którym odmawia się realizacji swojego powołania, staje w centrum jako papierek lakmusowy tego, czy system i doktryna są wierne Ewangelii.

Takie było też pierwotne zadanie Drogi – wspólnej inicjatywy ZdK i episkopatu w reakcji na raport o przemocy seksualnej względem nieletnich, przeprowadzony w latach 2014-2017, zwany powszechnie „MHG-Studie", od pierwszych liter miast, których uniwersytety go przygotowały (Mannheim, Heidelberg, Gießen). To niezależne naukowe badanie pokazywało nie tylko skalę przemocy oraz jej ukrywania, ale także strukturalne czynniki, które ją powodują i ułatwiają. Stąd główne zadanie Drogi: zaproponowanie takich zmian w strukturze i nauczaniu kościelnym, które zatrzymałyby dziejącą się w Kościele przemoc. Droga Synodalna składała się z uczestników spotykających się co pół roku na zebraniach plenarnych oraz z czterech komisji, które przygotowywały teksty odnoszące się do czterech kluczowych dziedzin, w których zmiany są konieczne: władza, kształt kapłaństwa, dopuszczenie kobiet do urzędów kościelnych oraz etyka seksualna.

„Nasze wyrzuty sumienia, świeckich i duchownych, muszą wykraczać daleko poza przemoc seksualną: musimy wyznać, że przez wieki zdradzaliśmy Jezusa, że wypaczyliśmy Jego nauczanie. Musimy nauczyć się korzystać z naszego sumienia i to bez względu na cenę, jaką przyjdzie nam za to zapłacić" – deklaruje na stronie internetowej Drogi Daniel Noa, prawnik i teolog pracujący z ofiarami przemocy w Kościele.

To postawienie skrzywdzonych w centrum debaty kościelnej, niezależnie od tego, jak wiele kosztowałoby przemeblowanie katolickiej nauki i praktyki, jest nie tylko najcenniejszą lekcją Drogi Synodalnej, ale i kluczową różnicą między niemieckim procesem a globalnym synodem ogłoszonym przez Franciszka. W tym ostatnim, jak dotąd, zbierane są przeróżne kwestie, którymi żyją katolicy na całym świecie – na razie chodzi o słuchanie, wcale nie jest pewne, że te zebrane doświadczenia będą prowadzić do podważenia jakichkolwiek rozwiązań doktrynalnych czy systemowych.

Tymczasem synod niemiecki od początku startował z pewnikiem: we wspomnianych czterech dziedzinach na pewno potrzebujemy natychmiastowych zmian, stawką jest krzywda ludzka. Ta różnica podejścia nie jest błaha: gotowość do podania w wątpliwość kościelnego nauczania w obliczu doświadczenia przemocy nie jest oczywista i jest historycznym krokiem, który Kościół niemiecki zdecydował się uczynić. W tym należy upatrywać przyczyn coraz gorzej skrywanej niechęci Rzymu, ale i wielu Kościołów lokalnych do niemieckiej Drogi.

### Rewolucyjne propozycje

Tego rozdźwięku między Watykanem a Niemcami na pewno nie pomogą zniwelować uchwalone teksty. Dwa z nich, przygotowane przez komisję „Życie w udanych związkach", dotykają tematów wrażliwych w debacie katolickiej – i dochodzą do wniosków, które w wielu kontekstach kościelnych są nie do pomyślenia.

„Błogosławieństwo dla par, które się kochają" to krótki dokument wzywający biskupów do oficjalnego dopuszczenia w swoich diecezjach celebracji błogosławieństwa dla par, które o to proszą, a z różnych powodów nie mogą przystąpić do sakramentu małżeństwa. Chodzi więc głównie o pary tej samej płci oraz osoby rozwiedzione żyjące w nowych związkach. Zaleca się również odgórne przygotowanie wytycznych liturgicznych dla takich błogosławieństw oraz formację dla osób, które miałyby ich udzielać: księży lub świeckich specjalnie do tego posłanych przez biskupów.

„Postępowanie wobec różnorodności płci" wzywa natomiast Kościół powszechny do zweryfikowania w świetle współczesnych badań dotychczasowej antropologii płci i jej biblijnej legitymizacji, do poszanowania integralności cielesnej osób interseksualnych oraz do zaprzestania poniżania osób transseksualnych i interseksualnych, zwłaszcza poprzez przypisywanie im „ideologii gender". „Powielając takie stanowiska, instytucje katolickie, odpowiedzialne osoby w Kościele i politycy katoliccy czynią się współodpowiedzialnymi za trwające wykluczenie i prześladowanie osób, które nie odpowiadają powszechnym wyobrażeniom o normalności płciowej" – czytamy.

O ile te dwa teksty szczegółowe idą daleko w swoich propozycjach, o tyle pozostałe mocno zostały utemperowane. Zamiast konkretnych postulatów przedstawiają delikatne prośby do papieża o przemyślenie takich kwestii jak możliwość diakonatu kobiet czy obowiązkowość celibatu dla księży. „Delikatniej już nie można" – komentują niemieckie gazety. Choć w odbiorze innych Kościołów lokalnych nawet te zmiany, dla Niemców delikatne, mogą być szokujące. Dokument „Przepowiadanie Ewangelii przez świeckich w słowach i sakramentach" postuluje dopuszczanie kobiet do głoszenia kazań, co *de facto* było już praktyką w niejednym niemieckim kościele.

■ ■ ■

Podczas ostatniego zebrania plenarnego odbyło się także pierwsze czytanie tekstu „Środki zapobiegające przemocy wobec kobiet w Kościele" przygotowanego przez komisję „Kobiety w posługach i urzędach Kościoła". W ramach jesiennego spotkania tekst ten spadł z wokandy, wobec czego zabrakło czasu na drugie czytanie i uchwalenie go. O ile „MHG-Studie", raport, który dał początek Drodze, dotyczył przemocy seksualnej ↦

↦ wobec dzieci i młodzieży, o tyle dziś zauważana jest również przemoc duchowa, a wśród ofiar dostrzega się także dorosłych – w sposób szczególny kobiety.

Konieczność przygotowania takiego tekstu wcale nie była zresztą oczywista już podczas dyskusji w komisji argumentowano, że problem przemocy seksualnej, której doświadczają kobiety w Kościele, nie ma związku z ich obecnością na urzędach. Fakt, że udało się ten opór przełamać i doprowadzić chociaż do pierwszego czytania, jest znaczący – zagrożenie przemocą potraktowane zostało jako istotne doświadczenie kobiet w obecnym systemie kościelnym i częściowo jako konsekwencja dyskursu kościelnego.

Poza osiągnięciem, jaki stanowi ten dokument, kobiety są dziś prawdopodobnie najbardziej zawiedzioną grupą wśród uczestników i kibiców Drogi. Katoliczki zrzeszone w kobiecych organizacjach, które mnóstwo pracy włożyły w przygotowywanie debaty synodalnej, po kolei na różnych etapach musiały rezygnować z co konkretniejszych propozycji. Żeby nie drażnić Kościoła powszechnego, żeby biskupi zgodzili się zagłosować za dokumentem, żeby Watykan nie patrzył krzywo – powodów (auto)cenzury było dużo.

Ale i w tym gorzkim bilansie jest druga wielka lekcja Drogi Synodalnej: wspólne decydowanie o kształcie Kościoła to sztuka, w której nie jesteśmy wyćwiczeni, i system, który musimy dopiero zbudować. Świeccy będą uczyć się sięgać po swoje prawa i przejmować odpowiedzialność, biskupi – z bólem rezygnować z przywilejów i przyzwyczajać się do tego, że muszą zdawać sprawę ze swojego urzędu (przypomnijmy np., że na jesiennym zgromadzeniu świeccy wymusili na biskupach jawność głosowań nad dokumentami). Eksperyment niemiecki pokazuje jeden z możliwych scenariuszy, jak taki pierwszy krok ku nowemu kształtowaniu Kościoła może wyglądać.

Wynik eksperymentu: na tym etapie, jeśli uczestnicy Drogi Synodalnej coś poczytują za sukces, to sam fakt wspólnego dotrwania do końca. ©

# Męczennik komunizmu

STANISŁAW ZASADA

**Śledztwo IPN dotyczące śmierci założyciela ruchu oazowego może przyspieszyć jego beatyfikację.**

Ks. Franciszek Blachnicki został otruty – odkrył Instytut Pamięci Narodowej. Śmierć zmarłego 36 lat temu założyciela Ruchu Światło-Życie „nastąpiła na skutek zabójstwa poprzez podanie ofierze śmiertelnych substancji toksycznych".

– Kolejnym krokiem będzie ustalenie sprawców – powiedział „Tygodnikowi" Rafał Leśkiewicz, rzecznik prasowy IPN.

Najnowsze wnioski mogą przyspieszyć beatyfikację Blachnickiego. Jeden z najważniejszych w czasach PRL-u kapłanów na wyniesienie na ołtarze czeka niemal 20 lat.

### Wiara z celi śmierci

Urodził się w 1921 r. w Rybniku: powstańcy walczyli akurat o przyłączenie Śląska do niepodległej Polski. Za młodu działał w harcerstwie. Za spiskowanie przeciwko Trzeciej Rzeszy hitlerowcy skazali go na karę śmierci – miał zostać ścięty na gilotynie. Po pięciu miesiącach wyrok zamieniono na 10 lat więzienia.

W celi śmierci w Katowicach młody agnostyk przeżywa nawrócenie – zdecydowała przypadkowa lektura religijnej książki, której tytułu nie będzie nawet pamiętał. 17 czerwca 1942 r. – wtedy stał się głęboko wierzący – będzie nazywał „najważniejszym dniem" w życiu.

Zaraz po powrocie z obozu idzie do seminarium, zostaje księdzem. W czasach stalinowskich broni wygnanych ze Śląska biskupów. Za Gomułki angażuje się w walkę z pijaństwem. Zakłada Krucjatę Trzeźwości, do której zapisuje się sto tysięcy osób, zobowiązując się do abstynencji „na całe życie". W 1960 r. milicja aresztuje Blachnickiego, władze rozwiązują Krucjatę. Siedzi w tym samym więzieniu, w którym przetrzymywali go naziści. Przetrwała więzienna anegdotka. Gdy wszedł do celi, zapytał współwięźnia: – Za co cię, synu, zamknęli?

– Za wódkę – odparł tamten.

– Mnie też za wódkę.

Sąd skazał go na dziesięć miesięcy w zawieszeniu. W areszcie przesiedział cztery.

### Biblia i bibuła

Nie daje się zastraszyć: w 1963 r. w Krościenku nad Dunajcem kupuje góralski dom na Kopiej Górce. Zakłada tam centrum ruchu oazowego, który przyjmie potem nazwę Ruch Światło-Życie.

Szacuje się, że przez oazy przewinęły się dwa miliony młodych Polaków. Kto tam nie był? Przyszły arcybiskup Grzegorz Ryś, poseł Paweł Kowal, Małgorzata Kożuchowska, Stanisław Sojka, prezenter pogody Tomasz Zubilewicz.

Na rekolekcjach oazowicze czytają Pismo Święte, przy ognisku grają na gitarach, śpiewają. Blachnicki wpaja im, że o wierze można rozmawiać publicznie; że chrześcijanin nie powinien głosować w fikcyjnych wyborach, że wiara powinna przekładać się na życie społeczne.

– Odebrałem tam trudną lekcję podejścia do człowieka. Taką, że nawet w najbardziej spornych sprawach należy krytykować poglądy, a nie człowieka – mówi Paweł Kowal z Koalicji Obywatelskiej. – Oazy były też dla mnie szkołą społecznej aktywności.

Redaktor naczelny „Więzi" Zbigniew Nosowski lubi wspominać, jak na oazowych rekolekcjach w latach 70. w Murzasichlu dostał Biblię i bibułę. Wcześniej nie miał pojęcia, że w komunistycznej Polsce istnieją podziemne wydawnictwa.

Oazowicze na szyjach noszą skórzane krzyżyki z wytłoczonymi po grecku słowami: *fos* (światło) i *zoe* (życie). Nazywają je foskami.

Komuniści są wściekli – Blachnicki psuje im ateistyczną robotę. Na oazowe rekolekcje nasyłają milicję, kontrole sanepidu. Ruch zaatakuje morderca ks. Popiełuszki: na swoim procesie kapitan Grzegorz Piotrowski nazwie Blachnickiego wrogiem socjalizmu.

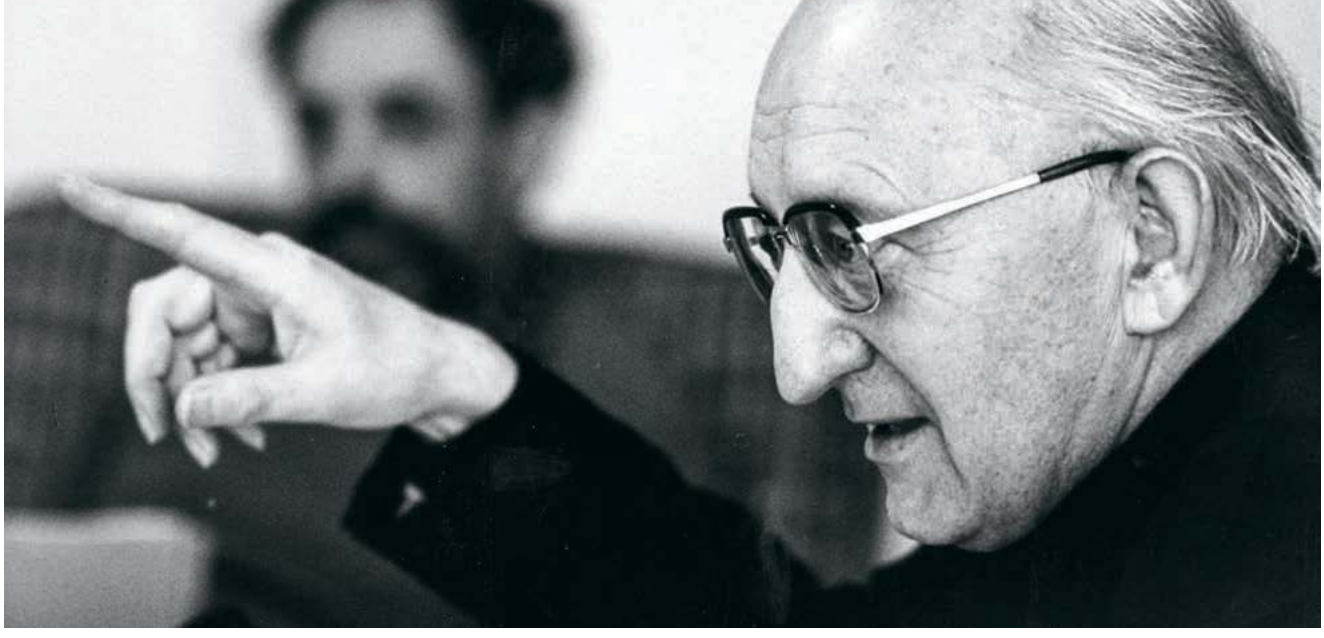

ARCHIWUM GŁÓWNE RUCHU ŚWIATŁO-ŻYCIE

*Ks. Franciszek Blachnicki*

### „Barka" dla papieża

Część biskupów też patrzy na niego krzywo – bo swoje pomysły na ewangelizację wprowadza bez uzgodnień z nimi. Prymas Wyszyński zarzuca mu, że zmonopolizował duszpasterstwo młodzieży.

Biskupom nie podoba się, że wprowadza elementy protestanckie, że zbyt dużą rolę w oazach odgrywają świeccy. Ganią za polityczne zaangażowanie. Zastanawiają się, czy ruchu oazowego nie rozwiązać.

Popiera go kard. Karol Wojtyła. Wpada na oazowe rekolekcje, broni przed szykanami władz. Jako papież spotka się z oazowiczami w Nowym Targu, pierwszy raz odwiedzając ojczyznę. Gdy w 2002 r. jest po raz ostatni, na krakowskich Błoniach dwa miliony ludzi śpiewają „Barkę".

Osiem lat po śmierci Blachnickiego zgodzi się na jego proces beatyfikacyjny.

### Pokłócili się

Stan wojenny: Blachnicki jest w Rzymie. Znajomi odradzają mu powrót do kraju: wojskowa junta strzela do górników, w więzieniach siedzi kilka tysięcy działaczy Solidarności.

Carlsberg, otoczona lasami i winnicami osada w Nadrenii. Tutaj zakłada Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji Światło-Życie. Pomaga represjonowanym w kraju, szmugluje niezależną literaturę, wzywa do walki z reżimami za żelazną kurtyną. W kraju wojskowa prokuratura oskarża go o zdradę.

Najbliższymi współpracownikami Blachnickiego są Jolanta i Andrzej Gontarczykowie, małżeństwo socjologów, które wyjechało z Polski do Niemiec zachodnich. Blachnicki im ufa, pomagają mu prowadzić wydawnictwo.

17 czerwca 1986 r. (znowu ten „najważniejszy dzień" w życiu) spisuje testament. Skończył 65 lat. Czemu się spieszy? Ma cukrzycę. Umiera nagle 27 lutego 1987 r.

Od dawna podejrzewano, że został zamordowany. Wiele lat temu IPN ujawnił, że Gontarczykowie byli agentami PRL-owskiego wywiadu. Według świadków jako ostatni widzieli się z Blachnickim przed śmiercią. Ksiądz miał się z nimi pokłócić. Czy to im śledczy postawią zarzut zabójstwa kapłana? Rzecznik IPN nie chce tego potwierdzić. – To będzie przedmiotem dalszego postępowania prokuratury – odpowiada Leśkiewicz.

### Cud niepotrzebny

– Ustalenia śledztwa IPN otwierają drogę do uznania ks. Blachnickiego za męczennika komunizmu – uważa metropolita katowicki abp Wiktor Skworc.

Wedle prawa kanonicznego do wyniesienia na ołtarze potrzebny jest cud – chyba że kandydat na ołtarze zginął śmiercią męczeńską.

W przypadku Blachnickiego wciąż brakowało podobnego wydarzenia. – Było to znakiem, że pewnie on nie potrzebuje cudu, bo był męczennikiem i droga do jego beatyfikacji może być otwarta w inny sposób: jego ofiarą życia – komentuje abp Skworc.

Posła Kowala pytam, czyim patronem mógłby być ks. Blachnicki. – Wpisuje się w dwie wielkie tradycje kapłanów. Jako wychowawca, jak ks. Bosko. I jako ksiądz walczący z totalitaryzmami, jak o. Kolbe.

### Nie sensacja

Miał dwa pogrzeby: w wolnej Polsce trumnę z jego ciałem sprowadzono z Carlsbergu i złożono w Krościenku. Na powtórny pochówek przyjechało tysiące oazowiczów. Jesienią 2020 r. przeprowadzono kolejną ekshumację – na zlecenie Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, która wznowiła śledztwo w sprawie śmierci kapłana.

Wiadomość o jego otruciu ogłoszono tydzień po tym, jak TVN wyemitował reportaż Marcina Gutowskiego. I tydzień po premierze książki Ekkego Overbeeka. Zaraz po informacji IPN-u prawicowe media przypomniały, że Jolanta Lange (po rozwodzie z Gontarczykiem wróciła do panieńskiego nazwiska) promuje LGBT, a jej fundacja otrzymywała dotacje od warszawskiego ratusza za prezydentury Rafała Trzaskowskiego.

Pytany o moment ujawnienia przyczyn śmierci Blachnickiego rzecznik IPN tłumaczy: – Śledztwo było prowadzone od trzech lat. Gdy zapadły ostateczne ustalenia, podaliśmy je do wiadomości, gdyż postać księdza Blachnickiego budzi zainteresowanie wielu osób.

– Dla mnie to żadna sensacja, bo od dawna podejrzewano, że Blachnicki został zamordowany – poseł Kowal komentuje ustalenia śledztwa. – Mam za to żal do IPN-u, że nie wyprodukował np. poważnej biografii kardynała Sapiehy albo nie przyczynił się do wzbogacenia naszej wiedzy o sprawach związanych z funkcjonowaniem Kościoła w czasach Karola Wojtyły. ©

WOJCIECH

# Bonowicz: *Z dziejów honoru w Polsce*

W życiu ważne jest, żeby być wdzięcznym. Nauczyć się z wdzięcznością przyjmować wszystko – i dobre, i złe. Machiavelli powiada, że ludzi trzeba zdobywać pieszczotami albo niszczyć. To nie to samo, ale akurat mi się przypomniało.

Zaczęło się od tego, że Z. napluł mi na buty. Ponieważ jestem jego przełożonym, podziękowałem mu, bo buty rzeczywiście były zakurzone. Poza tym mógł przecież napluć mi na spodnie. A tak schyliłem się tylko i szybko starłem, co tam było. Owszem, powinienem był zażądać, żeby to on starł. Ale nie mógł się przecież schylić, bo by mu pistolet wypadł.

Ponieważ nie wyrzuciłem Z. z pracy, podobne zaczepki zaczęły regularnie się powtarzać. Zgodnie z moim wewnętrznym przekonaniem, które otrzymałem z góry, nie reagowałem inaczej, jak tylko dziękując mu publicznie i podkreślając, że konstruktywna krytyka jest fundamentem naszej jedności. Przy okazji omal nie udławiłem się własnym językiem, ale na szczęście ktoś z mego otoczenia klepnął mnie w plecy. Prokuratura wszczęła nawet śledztwo mające ustalić, kto to był.

Jakiś czas temu Z. przed kamerami nazwał mnie „miękiszonem". Słowo jak słowo, nie bardzo było o co się obrażać, chociaż szlag mnie trafiał. Nie podziękowałem mu jednak publicznie, bo dostałem inne instrukcje. Najwyższy Przełożony pouczył mnie, że nie muszę dziękować za każdym razem, kiedy jestem poniżany, bo to się robi nudne. Powinienem dziękować tylko wtedy, kiedy zostanę naprawdę solidnie upokorzony. Oczywiście podziękowałem mu za tę uwagę, a on chyba nawet uprzejmie się uśmiechnął, czy może skrzywił, bo nie widziałem. Jak już wstałem z kolan, w pokoju nie było nikogo.

A potem zjawił się jeszcze A., żeby mi powiedzieć, że jego partyjny kolega nas okrada. Nas, to znaczy nie mnie i jego konkretnie, ale nas w ogólności, suwerena, jak to się kiedyś mówiło. Natychmiast podziękowałem mu publicznie, że mi powiedział to, o czym już od jakiegoś czasu trąbiły media, bo bez niego byłbym jak dziecko we mgle. I że złożył zawiadomienie do prokuratury, bo nie wiadomo, czy bez zawiadomienia w ogóle by się tą sprawą zajęła. Przełożony był chyba ze mnie zadowolony, bo tym razem się nie odezwał.

Wieczorami podczytuję sobie przed snem tego Machiavellego i to mi przywraca spokój ducha. Ostatnio zakreśliłem fluorescencyjnym flamastrem przestrogę: „ten, kto zrywa z tym, co jest robione, na rzecz tego, co powinno być, prędzej upadnie, niż przetrwa". Chyba wiem, o co w niej chodzi i o kim mowa. A jakby tego było mało, kiedy już zasnę, to śni mi się, że dziennikarze znów przyłapali mnie na jakimś kłamstwie. I co? I nic. ©

REKLAMA

PRESTIGE MJM PREZENTUJE

SCORPIONS
ROCK BELIEVER
World Tour 2023

22 CZERWCA 2023
ERGO ARENA
GDAŃSK/SOPOT

BILETY: BILETSERWIS.PL

THE-SCORPIONS.COM

Prestige MJM · Radio Złote Przeboje · Bilet Serwis · onet · Rzeczpospolita · Tygodnik Powszechny · pap MediaRoom · proart · Vixon

# ZE STREFY KOMFORTU PROSTO DO BEZPIECZNEJ PRZESTRZENI 2.0

Znacie to uczucie niepokoju i niezręczności, kiedy ktoś nieznajomy zaczepia Was w mieście i wcale nie zamierza Was szybko zostawić? Albo to skrępowanie, kiedy jesteście w obcym środowisku i potrzebujecie natychmiastowej pomocy, więc musicie zainicjować kontakt, na który być może nie jesteście gotowi? Część z tych reakcji wynika z naszych naturalnych cech, np. nieśmiałości czy introwertyzmu, ale też ze zmęczenia czy kiepskiego nastroju. Część jednak wynika z wypracowanych reakcji obronnych naszego organizmu, które nie pozwalają wyjść z naszych stref komfortu. Co to dla nas oznacza?

Strefa komfortu to psychologiczna **bezpieczna przestrzeń,** na którą składają się zwyczaje, nawyki i przekonania. W praktyce oznacza to, że na co dzień działamy według pewnego schematu, który nas satysfakcjonuje – mniej lub bardziej. Wyjście ze strefy bezpieczeństwa i wygody oznacza natomiast nowe doświadczenia i zerwanie z tym schematem, co wiąże się z dyskomfortem i lękiem (np. przed nieznanym, porażką lub negatywną oceną ze strony otoczenia). Nierzadko zastanawiamy się: Czy warto zmienić tę pracę? A może w ogóle rzucić pracę na etat? Czy zdecydować się na przeprowadzkę? A może zakończyć relację, w której jesteśmy? Czy przenieść dziecko do innej szkoły? Te dylematy nie są łatwe. Przyjrzenie się swojej **bezpiecznej przestrzeni** jest doskonałym momentem na zadanie sobie pytań o jakość i satysfakcję z własnego życia. Czy jesteś w miejscu, w którym chcesz być? Czy żyjesz tak, jak chcesz, wedle swoich reguł?

Bardzo stresującą sytuacją jest ta, kiedy dokonuje się ogromny przewrót w naszym życiu niezależnie od naszej woli. Z takim stanem rzeczy zderzyli się nasi sąsiedzi zza wschodniej granicy. Pod koniec lutego minął dokładnie rok od rozpoczęcia napaści rosyjskiej na Ukrainę. Ponad 10 mln Ukraińców przybyło do Polski w poszukiwaniu azylu. Część z nich wróciła już do swojego kraju, część jednak nadal mieszka w zbiorowych schronieniach lub wynajętych lokalach. Wszyscy starają się ułożyć swoje życie na tyle, by odnaleźć swoją bezpieczną przestrzeń.

Jako **Fundacja Q** staramy się wesprzeć uchodźców, dlatego we współpracy z WHO uruchomiliśmy **bezpłatną pomoc psychologiczną online pn. „Bezpieczna Przestrzeń 2.0”.** Pomoc kierowana jest do dwóch grup:

– uchodźców wojennych,
– pracowników podmiotów pomocowych z organizacji pozarządowych (polskich i międzynarodowych) oraz instytucji samorządowych (np. MOPS-y, pracownicy komórek społecznych w urzędach miejskich).

Na stronie **terapeuci.softeris.net/** można znaleźć specjalistów mówiących po polsku, ukraińsku czy angielsku, którzy nieodpłatnie przeprowadzą rozmowę przez telefon lub online, np. poprzez Skype. Czy skorzystanie z takiej pomocy wymaga wyjścia ze strefy komfortu? W wielu przypadkach tak, ponieważ nadal pokutują społeczne stereotypy, np.: „Idę do psychologa, więc jestem chory/a psychicznie”. Czy warto wyjść ze swojej strefy komfortu i skorzystać z **onlinowej Bezpiecznej Przestrzeni?** W wielu przypadkach naprawdę tak. Jeśli przeżywamy żałobę po stracie bliskiej osoby albo mamy poczucie braku kontroli nad życiem, przeżywamy trudne emocje, które rzutują na nas i rodzinę, to konsultacje z psychologiem mogą okazać się bardzo pomocne. Jeśli doświadczyliśmy zdarzeń, które blokują nas, nie pozwalają nam wyjść z domu czy dostosować się do zmienionych warunków życia, to wskazane jest szukanie wsparcia u psychoterapeuty. W wielu przypadkach nie jesteśmy w stanie samodzielnie zmienić swojego myślenia, dlatego warto skorzystać z wiedzy specjalisty.

No dobrze, **a co z nami, Polakami,** w kontekście napływu uchodźców? Dla niektórych z nas utrzymująca się sytuacja migracji jest również trudnym doświadczeniem. Winne są temu stereotypy kulturowe, dynamicznie zmieniająca się gospodarka (powodująca brak poczucia bezpieczeństwa finansowego wśród Polaków), no i wszędobylski hejt. W takiej sytuacji proponujemy skonfrontować swoje myślenie z rzeczywistością. Polakom proponujemy mnóstwo **bezpłatnych** zajęć rozwojowych realizowanych w naszych biurach na Podkarpaciu (Nowa Dęba, Tarnowska Wola, Rzeszów) oraz w Krakowie i Katowicach, takich jak: **arteterapia, muzykoterapia, spotkania integracyjne, komputerowe, językowe.**

Zerkajcie na nasz profil: **www.facebook.com/Qfundacja** i nie bójcie się wychodzić ze swojej strefy komfortu.

Tekst dofinansowany w ramach współpracy z World Health Organization.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

# WINO Z JEDNEGO ZBIORU

Jestem z pokolenia, które kształtował rozchwiany postsowiecki świat ciągłych zmian. Na naszą młodość wpłynęły Czarnobyl, bieda transformacji i kolejne rewolucje. Teraz jesteśmy na wojnie – i to my niesiemy cały jej trud.

ARTEM CZECH Z UKRAINY

SPENCER PLATT / GETTY IMAGES

Na pewno nikt nie zbombarduje Kijowa, na pewno nikt nie będzie go zdobywać, po prostu nikt się nie odważy – tak pisałem rok temu, na początku lutego 2022 . [patrz tekst „Przetrwamy i to, synku", „TP" nr 9/2022 – red.].

To nie tak, że nie wierzyłem w możliwość rosyjskiej inwazji. Po prostu nie chciałem w nią wierzyć. A przede wszystkim nie chciałem rezygnować z mojego spokojnego trybu życia. Nie znam nic wspanialszego niż codzienne rytuały: poranna gimnastyka, pisarska praca nad tekstami w ciągu dnia, czytanie książki i kieliszek wytrawnego wina wieczorem, muzyka z porządnych kolumn, ciepłe światło girland, rozmowy z żoną o twórczości i wychowaniu syna, przyjaciele wpadający w odwiedziny z butelką prosecco, czipsami i zakarpackim rzemieślniczym serem.

A tu – inwazja. Mnie ogarnęła panika. Nie chodziło tylko o przerażenie skalą nadchodzącej tragedii, której w pierwszych godzinach nie byliśmy w stanie ocenić. Stresował mnie inny problem, banalny. Musiałem opuścić moją zaciszną kryjówkę, zrezygnować z przymiotów wygodnego życia. Czekał mnie głód i chłód, stres, strach i gniew. To nie jest najlepszy zestaw dla człowieka, który nie zwykł opuszczać granic swojego świata bez potrzeby. Nie lubię być zmuszanym do przebywania w społeczeństwie, w grupie obcych ludzi. I w ogóle – w grupie.

### Metal o metal

Znam to uczucie, przeszedłem coś podobnego już wcześniej. Socjalizacja w dorosłym życiu, dokonywana nie z własnej woli, może być doświadczeniem przygniatającym i na swój sposób wyczerpującym. Dzieje się tak szczególnie wtedy, gdy człowiek, który przyzwyczaił się do samotnictwa, zostaje zmuszony do przebywania wśród ludzi, którzy nie są mu bliscy duchem.

Nie zawsze reagowałem właściwie na takie znajomości. Oczywiście doskonale rozumiem, że to nie wina tych ludzi. Oni mają prawo być sobą – odlegli mi duchem, obcy, inni. To ja miałem z tym problem, więc sam musiałem sobie z tym poradzić. Musiałem przystosować się do okoliczności, znaleźć wspólny język z tymi, których nawet nie zauważałem w cywilu, podporządkować się osobom, do których czułem odrazę, dowodzić ludźmi, którym nie byłem godny powierzyć mojego życia – bo przecież dowódca zależy tak samo od podległych, jak i oni od niego.

Tak, wiedziałem już, jak to jest. Adaptacja społeczna zawsze była dla mnie procesem trudnym, wręcz bolesnym.

Gdy jednak na początku wojny, w 2015 r., po raz pierwszy znalazłem się w szeregach ukraińskiej armii, w moim życiu zjawili się niespodziewani ludzie. Wtedy to zbratałem się z górnikiem spod Dniepru i znalazłem z kryminalistą spod Czerkas wspólny język, pełny egzotycznej wrażliwości. Do bandy typowych dresiarzy z południa kraju, których z początku unikałem, poczułem szacunek – zachwycała mnie ich brawura. Od chłopaków z Podola nauczyłem się prostej filozofii ukraińskiego czarnoziemu. To oni pokazali mi, jak dostrzegać i doceniać rzeczy niemal niewidzialne i przepiękne: ptasi śpiew, ornamenty malowane przez szron na szybie samochodu, ciszę donbaskiego stepu, nieskończoność ukraińskiego nieba oraz śmiesznie wystające żebra żołnierza o pseudonimie „Klim", które przypominały klawisze ksylofonu.

Aby jednak do tego doszło, musiało minąć sporo czasu: tygodnie czy nawet miesiące trudnego docierania się – metal o metal.

### Mój batalion

Po tym, jak w 2022 r. zaciągnąłem się znów do armii, znalazłem się w nowej grupie ludzi – różniącej się od tych, których poznałem poprzednio. W jakiejś mierze mogłem ich uznać za swojaków. Oczywiście nie byli to moi przyjaciele, z którymi w kuchni popijałem zinfandel – ale teoretycznie mógłbym się z nimi spotykać. I pić właśnie to czerwone kalifornijskie wino, a nie wódkę czy piwo.

Bo w moim wojskowym otoczeniu znaleźli się teraz koneserzy, którzy potrafili docenić zacne trunki. A także dobrą muzykę, rozmowy o sprawach wiecznych, spory na tematy bieżące, wspomnienia wspólnych znajomych z cywila oraz miejsca, które odwiedzaliśmy w równoległych rzeczywistościach: park The Battery w Nowym Jorku, hamburską ulicę nocnych klubów Reeperbahn, średniowieczne skalne miasto Czufut-Kale na Krymie, pełną zabytków kijowską ulicę Rejtarską.

Mój batalion składa się głównie z mieszkańców Kijowa – i mimo różnic w statusie społecznym, obrządku politycznym i orientacji kulturowej więcej nas łączy, niż dzieli. Pochodzimy z jednej mentalnej przestrzeni, kręgosłup moralny pozwala nam kroczyć w tym samym kierunku.

Najważniejsze, że jest coś, co nas łączy – można nas nazwać winem z jednego zbioru. Bo nasze dojrzewanie przebiegało w zbliżonych warunkach. Kijowskie osiedle Syreć lat 90. XX wieku nie różniło się zbytnio od mojej dzielnicy „D" ↦

*„Jesteśmy dziś do siebie bardzo podobni. Ja-pisarz niczym się nie różnię od moich towarzyszy broni: kierowcy tira o pseudonimie »Geograf«, informatyka »Wirusa«, budowlańca »Jeta«". Na zdjęciu: Ukraińcy na froncie koło miasteczka Kreminna w obwodzie ługańskim, styczeń 2023 r.*

↦ w rodzinnych Czerkasach. Moja młodość nie była ani lepsza, ani gorsza od doświadczeń moich dzisiejszych towarzyszy broni. Odebranie średniego ogólnego wykształcenia dało nam takie same możliwości, choć każdy z nas wybrał swoją drogę.

No dobrze, być może moje doświadczenie pisarskie jest nietypowe w kontekście całego batalionu, przecież wybrałem niestandardowy sposób realizacji życiowych celów jak na moje środowisko. Ale wszyscy jesteśmy zakorzenieni w historycznym kontekście naszego państwa. Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Ja-pisarz niczym się nie różnię od moich towarzyszy broni: kierowcy tira o pseudonimie „Geograf", informatyka „Wirusa", budowlańca „Jeta".

Choć na pierwszy rzut oka poniosły nas różne nurty, wywodzimy się z jednego źródła i spotykamy się w tym punkcie pod nazwą „Luty 2022". Być może mamy inne motywacje, ale jedziemy na tym samym wózku. Mamy różne światopoglądy, ale wspólnego wroga. Inne charaktery, ale ten sam cel: nie możemy zostawić tej wojny naszym dzieciom.

### Dzieci postsowieckiej rzeczywistości

A przecież sami nie tak dawno byliśmy dziećmi i nie odbiegliśmy daleko od siebie – takimi, jakimi byliśmy wczoraj. Jesteśmy dziećmi rozchwianej postsowieckiej rzeczywistości i przeżyliśmy szereg metamorfoz, tworząc nowe, niespodziewanie silne pokolenie.

Na nasze dzieciństwo i młodość wpłynęły Czarnobyl, bieda transformacji lat 90. XX stulecia, niebezpieczne pokusy pierwszych lat niepodległości, kolejne rewolucje. Nasze postawy ukształtowała epoka ciągłych zmian. A teraz jesteśmy na wojnie. To już inna era, wyraźne przejście na kolejny poziom. Cały związany z tym trud niesie na barkach nasze pokolenie.

W grudniu 2021 r. przeprowadziłem szereg rozmów ze znajomymi z Kijowa, z ludźmi z mojego pokolenia, próbując zrozumieć, co czują w obliczu bezpośredniego zagrożenia ze strony Rosji. Za maską spokoju krył się strach. Wszyscy bali się ataku na Kijów, wielu tworzyło plany awaryjne na wypadek inwazji i pakowało plecak ewakuacyjny. Zastanawialiśmy się nad kolejnością działań. Uciekać? Ratować rodziców i dzieci? Iść do wojska? Poczekać i pozwolić działać innym?

**Wszystko się zmieniło, zostało utracone.**

Stałem się częścią pokolenia ludzi toczących wojnę, którzy kiedyś wrócą do domu i nie będą wiedzieli, jak dalej żyć.

Zdawało się wtedy, że Ukraińcy zostają sam na sam, oko w oko z nieprzyjacielem. Dziwiliśmy się, dlaczego milczy prezydent Zełenski, w przeciwieństwie do wywiadów USA i Wielkiej Brytanii. Zastanawialiśmy się, o co tak naprawdę tutaj chodzi, i czy na styczeń oraz luty warto planować nowe projekty, wyjazdy zagraniczne i książki.

Historia podpowiadała, że Kreml jest w stanie złożyć setki tysięcy własnych obywateli na ołtarzu swoich utopijnych celów, że będzie burzył dzielnice mieszkalne ogniem artylerii i wpuści do okupowanych miast oddziały pacyfikacyjne, to znaczy bandy morderców i złodziei.

Rosjanie nigdy nie liczyli się z ludzkim życiem i nie sądzę, żeby cokolwiek zmieniło się w ciągu ostatnich dekad. Wojny, które prowadzili, nie wyróżniały się szczególną finezją ani przestrzeganiem podstawowych konwencji. Ich sztuka wojenna jest przećwiczona i banalna jak drewniany taboret – zabić wszystkich i zrównać z ziemią to, czego nie są w stanie zająć. Cały świat patrzył, jak ten schemat był wprowadzany w życie przy nowym skoku drapieżnej bestii, jak gorączkowo poszukiwano *casus belli*, z jaką histerią otoczenie Kremla wzywało do bombardowania Ukrainy.

### Zrozumieliśmy, że jesteśmy pokoleniem

Pozostawały pytania o cenę. Po pierwsze, jakie koszty jest w stanie ponieść Putin? Po drugie, czy Ukraińcy są w stanie poświęcić życie w walce za wolność i pokój?

Nasza wewnętrzna optyka zmuszała nas wtedy do poruszenia innych tematów. Ale najważniejsze było i tak pytanie, kto z nas pójdzie walczyć o ukraińską ziemię?

Zrobili to – trzeba przyznać – ludzie bardzo różni. Owszem, jest tu sporo młodzieży, wręcz dzieciaków. Jednak rdzeń armii składa się z nas – pokolenia trzydziesto- i czterdziestolatków.

Wychowywaliśmy się na tej samej kulturze rosyjskiej i na rosyjskim braku kultury, co wykształciło w nas zabetonowane przekonanie o własnej prowincjonalności i cichą zazdrość wobec cywilizowanych państw. Każdy z nas w inny sposób dochodził do uświadomienia sobie, że jest Ukraińcem, i że jego obowiązkiem jest obrona własnego kraju, a także swojej – nie zawsze dookreślonej – tożsamości. Swojego – nie zawsze ojczystego – języka.

Ale w końcu osiągnęliśmy wspólny mianownik. Zrozumieliśmy, że jesteśmy pokoleniem Ukraińców, którzy zjednoczyli się dla zwycięstwa. Kiedyś znów podzielimy się na pojedyncze atomy i każdy z nas będzie tworzył własną rzeczywistość w swojej głowie i bańce społecznej. Ale to kiedyś.

### Otacza nas wojna

W 2018 r. zacząłem pracować nad powieścią „Chto ty takyj?" („Kim jesteś?"). Jednym z jej bohaterów jest weteran wojny w Afganistanie z lat 1979-89. Mnie – weteranowi walk na wschodzie Ukrainy – wydawało się, że zrozumiałem naturę wojny i z łatwością nakreślę portret osoby z jawnymi objawami syndromu stresu pourazowego. Znałem wielu cierpiących na różne stadia PTSD, w dzieciństwie mieszkałem pod jednym dachem z prototypem powieściowej postaci, z bliska widziałem łzy tego człowieka, jego cierpienia, rozpacz, strach, przebłyski rozsądnego myślenia i przerażające majaczenia w delirium – wszystkie sytuacje granicznie. Dziś wstydzę się, że byłem tak zadufany.

Tak naprawdę żołnierzem poczułem się dopiero w marcu 2022 r., gdy po raz drugi założyłem mundur i wziąłem do ręki broń. W mojej pierwszej „kadencji" może i byłem wojskowym, ale moja służba miała raczej charakter przypadkowy, tymczasowy. Uratowanie kotka z płonącego budynku nie robi z nikogo zawodowego strażaka.

Gdy teraz po raz drugi wszedłem do tej samej rzeki, zrozumiałem, że zachowania bohatera mojej powieści należałoby opisać inaczej, zmienić punkt ciężkości tamtej opowieści. Bezpośredni uczestnik działań zbrojnych, który doświadczył tego uświęconego okropieństwa i całej przerażającej istoty wojny, widzi otoczenie w krzywym zwierciadle. I to jego wizja rzeczywistości jest zniekształcona, a nie cały świat.

ARCHIWUM PRYWATNE AUTORA

**ARTEM CZECH** to pseudonim literacki Artema Czerednyka (na zdjęciu), ukraińskiego pisarza urodzonego w 1985 r. w Czerkasach. Z wykształcenia socjolog, jest autorem licznych książek, w tym wydanych w Polsce „Dzielnica D" i „Punkt zerowy" (wyd. Warsztaty Kultury, przeł. Marek S. Zadura). Doświadczenia ze służby w armii z lat 2015-16, opisane w drugiej z tych książek, Czech uważa za kamień milowy w swoim życiu i twórczości.

**W LUTYM 2022 R.** – tuż przed rosyjską inwazją – opublikowaliśmy w „Tygodniku" jego tekst „Przetrwamy i to, synku" (**powszech.net/artem**). Po rozpoczęciu inwazji autor ponownie zaciągnął się do wojska. Nie porzucił jednak pisania – jego esej „I'm a Ukrainian Soldier, and I've Accepted My Death" opublikował „New York Times".

**KSIĄŻKI CZECHA** tłumaczono też na angielski, niemiecki i czeski. Jest laureatem Nagrody Gogola (2018), Nagrody Conrada (2019), Książki Roku BBC (2021). Na podstawie jego powieści „Chto ty takyj?" powstał film „Kamień. Papier. Granat" (2022, reż. Iryna Ciłyk).

**TEKST**, który dziś drukujemy, powstał w ramach programu stypendialnego Rozstaje. Projekt jest współfinansowany przez rządy Czech, Węgier, Polski i Słowacji w ramach Grantów Wyszehradzkich z Międzynarodowego Funduszu Wyszehradzkiego. Misją Funduszu jest rozwijanie pomysłów na zrównoważoną współpracę regionalną w Europie Środkowej. Śródtytuły od redakcji „TP".

Gdy pisałem tamtą powieść, nie potrafiłem jeszcze w klarowny sposób przedstawić tej myśli, bo moja służba w latach 2015-16 przypominała raczej turystykę wojenną. Co więcej, wtedy miałem pełne prawo myśleć, że jeśli przeżyję, będę miał dokąd wrócić. Teraz nie mam tej pewności. Otacza nas wojna, która zatruła całą Ukrainę, zainfekowała każdego jej mieszkańca, nawet tych, którzy nie są tego świadomi. Także mnie. Rozumiem, że obraz oglądany przez soczewki moich okularów jest zdeformowany, że świat – jeszcze niedawno tak zrozumiały i wygodny – stracił swoją zwykłą strukturę i zamienił się w chaotyczny zbiór elementów.

Kim dziś jestem? Dlaczego jestem tutaj? Czy naprawdę taki miał być mój los? Czy muszę żyć w ten sposób przez najbliższe tygodnie, miesiące i lata? Pozbawiony praw, jestem elementem ogromnej maszyny, która prowadzi nas do wspólnego celu.

## Z peryferii Europy

Często wspominam czasy, gdy miałem siedemnaście, osiemnaście lat. Ukraińska polityka w ogóle mnie nie interesowała. To było jeszcze przed pomarańczową rewolucją z lat 2004-2005, w którą zaangażowałem się już jako student. Właściwie całe moje świadome dzieciństwo i młodość minęły pod znakiem marazmu i biedy czasów prezydenta Kuczmy. Wydawało mi się, że tak będzie już zawsze, że nic się nie zmieni. Lata 90. kończyły się przy akompaniamencie nastoletnich pijanych wrzasków, z posmakiem szminki.

Wchodziliśmy w nowe życie w kraju bez perspektyw. To nas nie obchodziło, zajmowały nas inne tematy. Myśleliśmy o Ukrainie jako o peryferiach Europy – zaniedbanej, lecz spokojnej przystani. Nikim się nie interesowaliśmy, nikt nie interesował się nami, zdawało nam się, że wojna to ostatnia rzecz, która może się tutaj wydarzyć.

Chociaż, o dziwo, wówczas często o niej myślałem. Druga inwazja Rosji na Czeczenię, ogniste pasma nad Kosowem, Afganistan, Irak. Za granicami mojego świata, zdrowego rozsądku i cichej ukraińskiej zatoczki odbywały się straszne rzeczy. Ataki terrorystyczne mogły wydarzyć się w Rosji, Irlandii, Hiszpanii albo krajach muzułmańskich. Bomby spadały na gliniane domki gdzieś w oazach bliskowschodnich pustyń. Katownie powstawały – ale w głębi Afryki. Kulminacją naszych krajowych sporów była akcja „Ukraina bez Kuczmy", która minęła mi prawie niepostrzeżenie, bo, jak powtórzę, polityka mnie nie obchodziła.

A teraz siedzę w lesie w wacianych spodniach i kurtce z naszywką Gwardii Narodowej, słuchając histerycznego szczekania lisów. Mam 37 lat, za sobą stos napisanych książek, przekłady, pokaźne doświadczenie twórcze, depresję i pistolet ↦

↦ przy boku. W moim kraju toczy się wojna. Prawdziwa, wielka, krwawa i bezlitosna. Im bardziej się do tego przyzwyczajamy, tym bardziej przerażająco to brzmi – w moim kraju toczy się wojna. Jestem jej żołnierzem. Jednym z tych, co chwycili za broń, która może odbierać życie wrogom. Wszystko to jest proste, przyzwyczailiśmy się do tego, jakby taki stan trwał przez całe nasze życie. Jakbyśmy wszyscy i ja przede wszystkim – byli częścią wojny. Stanowili z nią całość.

### Jak potem żyć?

Pokolenie. Dorastaliśmy w postkolonialnym kraju, w niesprzyjających warunkach, a jako dorośli stajemy na progu nowego doświadczenia, strasznego i niezmywalnego. W jego cieniu giną wszystkie dotychczasowe wydarzenia, traci na znaczeniu status i rola społeczna, zmienia się optyka, rzeczywistość wykrzywia się, zjawiska dawniej normalne zdają się niezwykłymi, miłość jest nieodróżnialna od obojętności, spokój od zmęczenia, konieczność od marzenia.

Nie chciałem rezygnować ze spokojnego trybu mojego życia, było mi dobrze w świecie moich dziecięcych wspomnień, świetlistej przeszłości, ciepłego zacisza i znanego spokoju, gdy siedziałem w wygodnym fotelu z laptopem na kolanach. Kilka kieliszków wytrawnego wina po dziewiętnastej, siłownia ze śmieszną rudą recepcjonistką, moja kolekcja muzyki i klaser z monetami, mój rower, moje podróże, mój mocny regularny sen. Nie wspominając o mojej rodzinie i wszystkim, co z nią związane.

Nie utożsamiałem się z żadnym pokoleniem. Lubiłem życie, choć może nie cieszyłem się z niego zbyt często. Lubiłem ten czas, gdy nie spadały mi na głowę odłamki metalu, a co do rozkazów, musiałem słuchać tylko mojego sumienia.

Wszystko to się zmieniło, zostało utracone. Stałem się częścią pokolenia ludzi toczących wojnę, którzy kiedyś, po tym, jak odprowadzą wzrokiem za granicę swojego kraju ostatniego wrogiego żołdaka, wrócą do domu i nie będą wiedzieli, jak dalej żyć.

Bo jak żyć w świecie, który przestał działać?

© ARTEM CZECH

Przełożył Maciej Piotrowski

# Buty dla Bracławia

TEKST I ZDJĘCIA:
JACEK TARAN Z BRACŁAWIA
(CENTRALNA UKRAINA)

**Wojna przerwała ukraińską reformę opieki psychiatrycznej. Wciąż są tu duże szpitale i internaty, odpowiedniki naszych domów opieki. Gdy priorytet budżetu to obronność, ich sytuacja jest trudna.**

W TYM MIASTECZKU W OBWODZIE winnickim – dziś raptem kilkutysięcznym, ale mającym bogatą historię, podobnie jak ten region: wschodnie Podole – od blisko 70 lat funkcjonuje internat dla osób z chorobami psychicznymi i neurologicznymi. Założony w 1955 r. w murach carskiego więzienia z XVIII w., sprawia wrażenie, jakby czas biegł tu innym tempem. Ślady Związku Sowieckiego są wciąż widoczne, a wojna wydaje się wydarzeniem odległym. Jednak jej echa są szczególnie dotkliwe dla pacjentów, z których wielu w ogóle nie rozumie tego słowa.

**DO BRACŁAWIA** docieramy z transportem humanitarnym zorganizowanym przez Team Kraków dla Ukrainy. To grupa wolontariuszy i donatorów skupionych wokół idei pomocy dla mieszkańców sąsiedniego kraju. Wieziemy głównie buty: zimowe i sportowe. Niekończące się spacery w obrębie murów placówki to jedna z ulubionych rozrywek jej mieszkańców. Obuwie niszczy się szybko, zmieniają się pory roku, a boso czy w podartych gumowcach trudno o przyjemny spacer.

Przed inwazją zdrowsi pacjenci mogli wychodzić też nad rzekę – Boh, płynący do Morza Czarnego – czy pobliski targ. Jednak od ponad roku ich przestrzeń została ograniczona do starych murów carskiej tiurmy. Oprócz butów do bracławskiego internatu przyjeżdżają też żywność, środki czystości, lekarstwa oraz, co ważne w tym miejscu, karma dla psów.

Wojna przerwała ukraińską reformę systemu opieki psychiatrycznej. Wciąż funkcjonują duże, często zamknięte szpitale psychiatryczne oraz internaty, jak ten w Bracławiu. Umieszczani w nich są najczęściej pacjenci, dla których nie ma miejsca w szpitalach lub nad którymi rodzina nie może sprawować dalszej opieki. To nie tylko osoby chore, ale też często byli bezdomni, dawni narkomani i alkoholicy.

Część z nich pozostaje na zawsze przykuta do łóżek, pozbawiona kontaktu z otoczeniem. Wielu nie zdaje sobie sprawy z sytuacji w kraju, ale na nieznane im wcześniej syreny alarmów przeciwlotniczych reagują ciężkim stresem i napadami panicznego lęku. Sytuacja takich miejsc staje się coraz trudniejsza – wśród wydatków z budżetu państwa priorytet mają te związane z obronnością.

**OLEG KLIMENKO,** dyrektor bracławskiego ośrodka, mówi, że pisze prośby i podania o dotacje do różnych urzędów, ale wszędzie każą czekać: – Chciałem kupić dla pacjentów jednolite stroje sportowe;

*Po lewej: wyładunek darów zebranych przez Team Kraków dla Ukrainy w internacie dla osób chorych.*

*Po prawej: zabytkowy, ciężarowy gaz wymaga ciągłych napraw.*

*Bracław, Ukraina, 28 lutego 2023 r.*

nie ma. Dobrze, że chociaż buty będą teraz mieli.

Dyrektorem internatu w Bracławiu Klimenko jest od 2017 r. Z dumą pokazuje to, co udało mu się zrobić przez ten czas. Wyremontowane łazienki, stołówka, pomieszczenia medyczne i socjalne. Problemem, którego nie da się łatwo rozwiązać, jest przeludnienie. Ośrodek przewidziano na sto osób, a zamieszkuje go obecnie nieco ponad dwieście, mężczyzn i kobiet. W niektórych pokojach mieszka nawet po siedem osób.

Mieszkańcy nie mają wiele rozrywek. Oprócz spacerów pozostaje im opieka nad kotami i psami, które w bracławskim internacie są bardzo liczne. Na terenie ośrodka znajduje się też cerkiew – nabożeństwa to jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu pensjonariuszy.

– Robiliśmy wcześniej wieczory taneczne, puszczaliśmy muzykę nawet na dziedzińcu, było nas słychać w mieście, bo oni uwielbiają tańczyć – mówi Klimenko. – Teraz to wszystko wydaje się niestosowne. Moglibyśmy jeździć na wycieczki, ale nie mamy czym.

Dyrektor pokazuje nam garaże ośrodka: w jednym blisko pięćdziesięcioletni autobus, nad nim na zakurzonej ścianie wisi bogato haftowany sztandar z czasów sowieckich. Pali 40 litrów na sto kilometrów, mówi dyrektor, a skąd wziąć pieniądze na paliwo, gdy każdego dnia trzeba się martwić, żeby było za co kupić jedzenie, ubrania, opłacić rachunki? Jest jeszcze samochód ciężarowy, stary gaz, ale i ten ledwo jeździ i żre paliwo jak ruski czołg.

**PILNYCH POTRZEB** wymienianych przez Olega Klimenkę jest więcej: przydałby się bus na wycieczki, ale też karetka do wożenia pacjentów do lekarza, przecież w czasie transportu często potrzebna jest asysta pielęgniarki, opiekuna czy kogokolwiek zdrowego, kto może pomóc w drodze. ©℗

**TEAM KRAKÓW DLA UKRAINY** szykuje już kolejną zbiórkę darów dla Bracławia i innych podobnych ośrodków w Ukrainie. Niepsującą się żywność, karmę dla psów i kotów, buty (tylko nowe), środki higieniczne, baterie, latarki **można przynosić** lub **wysyłać na adres „Tygodnika Powszechnego"** (z dopiskiem „**Bracław**").

*Spacery po podwórku i dziedzińcu są ulubioną rozrywką mieszkańców ośrodka.*

DAVID W CERNY / REUTERS / FORUM

*Szwarccharakterem na tym proteście był premier Fiala. Praga, 11 marca 2023 r.*

# Szturm na muzeum

MARTYNA WASIUTA

**Demonstranci na ulicach Pragi protestują przeciw biedzie – i przeciw pomaganiu Ukrainie. Mimo wszystko poparcie Czechów dla NATO jest dziś najwyższe w historii.**

„Dzięki wam prawda znowu zwyciężyła" – mówił podczas inauguracji swojej prezydentury Petr Pavel, nawiązując do motta obecnego na sztandarze prezydenta Republiki Czeskiej i do słynnych słów Václava Havla, że prawda i miłość muszą zwyciężyć nad kłamstwem i nienawiścią.

Na zorganizowanej w czwartek 9 marca z rozmachem uroczystości – zapowiadającej nową erę w czeskiej polityce, a zwłaszcza koniec epoki byłego już prorosyjskiego prezydenta Miloša Zemana, który głową państwa pozostawał długie 10 lat – kładą się jednak cieniem wydarzenia kolejnych dni. Zwłaszcza kilkutysięczny protest przeciw rządowi Petra Fiali na praskim placu Wacława w sobotę 11 marca.

Przebiegał pod hasłem „Czechy przeciwko biedzie". Jednak zapamiętany zostanie nie jako społeczny wyraz niechęci wobec rządu – za jego nieudolność w przeciwdziałaniu ubożeniu społeczeństwa na skutek inflacji – lecz jako głos antysystemowców. Ludzi, którzy za swoje problemy winią NATO, Unię Europejską i zwolenników pomagania Ukrainie.

Z jednej strony można go interpretować jako wydarzenie zorganizowane przez grupkę oportunistycznych radykałów, którzy protestują od lat – niezależnie, kto akurat rządzi. Z drugiej jednak to ostrzeżenie dla rządu przed frustracją i polaryzacją społeczeństwa, która może stać się pożywką dla środowisk prorosyjskich. A z pewnością jest to efekt dezinformacji. Prawda musi więc nadal toczyć walkę z manipulatorami, karmiącymi się strachem przed wojną i ubóstwem.

### Antyszczepionkowcy i komuniści

Protest został zwołany przez założyciela pozaparlamentarnej partii PRO (Prawo, Respekt, Fachowość). Powstała w zeszłym roku i nie ma na koncie żadnych większych osiągnięć poza okresowymi wystąpieniami jej lidera Jindřicha Rajchla. To prawnik, którego czeskie portale factcheckingowe stanowczo oceniają jako prorosyjskiego.

Zanim założył PRO, Rajchl był członkiem antyunijnej i nacjonalistycznej partii Trikolora, założonej przez Václava Klausa młodszego, syna byłego prezydenta Václava Klausa, którego mało kto już w Czechach traktuje poważnie. W 2021 r. Rajchl był również jednym ze sponsorów Trikolory, na konto której przekazał 52 tys. koron (ponad 10 tys. zł). Zarówno PRO, jak i Trikolora stanowią margines czeskiej polityki. Nie są nawet brane pod uwagę przez poważne sondażownie w badaniach opinii publicznej. Sama Trikolora przeżywa regres po tym, jak odszedł z niej Klaus junior.

Co do Rajchla, występował on już wcześniej na innych protestach w okresie rządów mniejszościowej koalicji ANO i Czeskiej Partii Socjaldemokratycznej pod egidą Andreja Babiša. Wówczas przemawiał przeciwko restrykcjom pandemicznym na wiecach zwoływanych przez – równie mało znaczącą – partię Zdechł Pies (mało kto by o niej słyszał, gdyby nie pandemia).

Na ostatnim proteście w Pradze pojawili się również Jiří Beran i Miroslav Ševčík. Pierwszy jest znanym epidemiologiem, członkiem tzw. Inicjatywy 21, wzywającej rząd do rezygnacji z obowiązkowych szczepień przeciw covidowi dla pracowników służb publicznych. Drugi zaś to eurosceptyczny dziekan wydziału ekonomii w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Pradze; sama uczelnia ostro się od niego dystansuje. W zeszłym roku na innym proteście Ševčík zasłynął wypowiedzią na temat premiera Petra Fiali, nazywając go „durniem i lokajem unijnych biurokratów".

Ostatnia demonstracja nie jest zresztą jedyną, do której doszło w Pradze po objęciu rządów przez gabinet Fiali. Podczas jesiennej odsłony antyrządowego protestu o nazwie „Czechy na pierwszym miejscu" wystąpił jeszcze przedstawiciel pozaparlamentarnej Komunistycznej Partii Czech i Moraw.

Doszło wtedy również do spektakularnej odpowiedzi ze strony zwolenników pomocy Ukrainie, którzy zwołali mani-

festację pod hasłem „Czechy przeciwko strachowi". Własną demonstrację zwołał też jeden z ówczesnych kandydatów na prezydenta i szef konfederacji związków zawodowych Josef Středula. Jak na protest przeciwko rosnącym cenom żywności i energii, frekwencja okazała się jednak rozczarowująca. Organizatorzy mówili o dziesiątkach tysięcy, policja zaś o kilku tysiącach.

### Orbán wzorem prawdomówności

Marcowy protest został zdominowany przez narrację suwerennościową, antyunijną i antynatowską. Organizatorzy zakazali przynoszenia innych flag niż czeskie.

Rajchl ostro skrytykował gabinet Fiali, nazywając go rządem narodowej katastrofy i biedy. Zapowiedział, że jeśli do początku kwietnia nie przyjmie on wszystkich postulatów PRO lub nie poda się do dymisji, wówczas w niedzielę 16 kwietnia na placu Wacława zejdzie się znowu tłum, a protest przerodzi się w blokadę budynków rządowych do czasu, aż Fiala nie ustąpi.

Partia Rajchla wystosowała w zeszłym roku do rządu list, w którym zaapelowała m.in. o to, żeby uniemożliwił operatorom portali społecznościowych ograniczanie wolności słowa (na swój sposób pojętej) i wprowadził prawny obowiązek dostarczania przez media „obiektywnych i wyważonych informacji". Inaczej mówiąc, PRO chciałaby zniesienia cenzury w internecie, dzięki czemu jego użytkownicy mogliby nieskrępowanie komentować rzeczywistość.

Zdaniem lidera PRO wzorem polityka, który mówi prawdę, jest Viktor Orbán, a cenzura i liberalizm są jak niegdyś marksizm. Rajchl wyraża ubolewanie nad tym, że publiczna telewizja nie zaprasza go do debat. Wśród pomysłów PRO jest jeszcze przejęcie przez rząd stuprocentowej kontroli nad koncernem energetycznym ČEZ (obecnie państwo ma ok. 70 proc. jego udziałów) i rezygnacja Czech z udziału w systemie handlu uprawnieniami emisyjnymi. PRO chce też, aby rząd wyraźnie dążył do pokojowego rozwiązania wojny na Ukrainie, w tym ewentualnego zorganizowania konferencji pokojowej w Czechach. Według Rajchla Czechy powinny też zakończyć dostawy sprzętu wojskowego na Ukrainę.

### Praga murem za NATO

Podczas praskiej demonstracji nie obyło się też bez innych antyukraińskich incydentów. Jeden z uczestników został zatrzymany przez policję, ponieważ miał na sobie symbole poparcia dla rosyjskiej agresji – literę „Z" i naszywkę Grupy Wagnera. Z kolei po zakończeniu manifestacji kilkunastu jej uczestników chciało się dostać do budynku Muzeum Narodowego, żeby zdjąć wiszącą na jego fasadzie ukraińską flagę. Niektórzy czescy komentatorzy porównywali to zajście do szturmu na Kapitol, a Ševčíka – obecnego w grupie forsujących schody Muzeum – do Szamana QAnon, słynnej postaci uwiecznionej na zdjęciach z Kapitolu. Doszło też do potyczek z policją.

Mimo wszystko poparcie Czechów dla NATO jest dziś najwyższe w historii. A poczucie zagrożenia ze strony Rosji, szczególnie w kwestiach energetycznych, było wysokie jeszcze przed inwazją z 24 lutego 2022 r. Pomimo głębokiej polaryzacji politycznej czeskie społeczeństwo jest też dość odporne na prorosyjską propagandę. Sięgają po nią raczej niszowi politycy o nieudanych karierach, żerujący na antysystemowych nastrojach niewielkiej – w dalszym ciągu – części czeskiego społeczeństwa podatnej na manipulację.

Wprawdzie ostatni protest Rajchla zgromadził nieliczną grupę – w porównaniu do największego po 1989 r. protestu przeciwko rządowi Andreja Babiša w 2019 r., kiedy na błoniach Letnej zebrało się blisko 250 tys. ludzi – to i tak jest ciosem dla wizerunku pronatowskich Czech.

Niesprawiedliwe jednak byłoby tę rysę na szkle rozciągać na całe społeczeństwo, szczególnie po wygranej wyborów prezydenckich przez Petra Pavla – byłego szefa czeskiej armii i pierwszego wojskowego z byłych państw Układu Warszawskiego, który objął najwyższą funkcję wojskową w strukturach NATO.

Adekwatna była reakcja ministra spraw wewnętrznych, który wyraził zrozumienie dla obawiających się ubóstwa, ale skrytykował postulat wstrzymania pomocy Ukrainie. Zasugerował, że jeśli organizatorzy nie zdystansują się od antyukraińskich gestów, które padły pod koniec demonstracji, to protest przeciw biedzie zostanie potraktowany jako zasłona dymna dla prorosyjskiej prowokacji.

Premier Fiala nie chciał komentować protestu, mówiąc jedynie, że wystąpienia jego uczestników „mówią same za siebie".

### Krytyczni wobec rządu

Także skala niezadowolenia z polityki rządu nie jest jeszcze tak wysoka, jak mogłyby sugerować ostatnie protesty w Pradze. Po pierwsze, klimat stolicy jest specyficzny, bardziej aktywistyczny niż reszty kraju. Po drugie, ostatnie badania opinii publicznej pokazują, że tylko 33 proc. Czechów jest zadowolonych z obecnej sytuacji politycznej w swoim kraju, a większość (63 proc.) ocenia ją źle.

Wbrew pozorom nie jest to rekordowo niska ocena, a raczej standardowy odsetek od czasu, kiedy ośrodek Kantar CZ realizuje takie badanie. Nieco lepsze notowania rząd miał rok temu, na początku swojej kadencji i tuż po inwazji na Ukrainę. Rekordowo wysokie zaś odnotowano w okresie pierwszej fali epidemii wiosną 2020 r.

Warto również zaznaczyć, że opinie mocno różnią się w zależności od poglądów politycznych. Dobre oceny – powyżej 55 proc. badanych – przeważają u wyborców centroprawicy, a więc większości partii wchodzących w skład koalicji rządzącej (TOP 09, Obywatelskiej Partii Demokratycznej, chadeków i progresywnej Czeskiej Partii Piratów). Sytuację polityczną najgorzej oceniają zaś wyborcy ugrupowań opozycyjnych – ANO Andreja Babiša, ksenofobicznej Wolności i Demokracji Bezpośredniej Tomia Okamury (SPD) i pozaparlamentarnej partii komunistycznej (to ponad 60 proc., a w przypadku SPD nawet 99 proc.).

Trzeba też mieć na względzie fakt, że do protestu przeciw biedzie doszło kilka dni po tym, jak w parlamencie przeforsowano rządową ustawę obniżki waloryzacji emerytur (z zakładanych wcześniej 1170 koron do 760). Zdaniem opozycji przeszła ona z naruszeniem konstytucji, gdyż procedowano ją w trybie przyspieszonym. Nowy prezydent podpisał ją szybko, w środę 15 marca. To pierwsza ustawa podpisana przez Pavla. Dla niego „miesiąc miodowy" skończył się szybko. ©

*Dr Martyna Wasiuta jest redaktor naczelną portalu czeskapolityka.pl*

LEON NEAL / PA IMAGES / EAST NEWS

*Premier Rishi Sunak podczas konferencji prasowej na temat projektowanych przepisów ograniczających przekraczanie kanału La Manche. Londyn, 7 marca 2023 r.*

# „Oni tu idą!"

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

**Brytyjski rząd chce walczyć z nielegalną imigracją przez drakońskie prawo. Uderza ono także w ludzi autentycznie szukających schronienia.**

Nowy premier Rishi Sunak deklarował jasno: „Zatrzymamy łodzie". Podczas jego styczniowego wystąpienia było to jedno z pięciu priorytetów na ten rok – obok np. walki z inflacją oraz z kolejkami do lekarzy. Te „łodzie" to niewielkie łódki, czasem pontony, jakimi przeprawiają się nielegalnie przez kanał La Manche ludzie, wśród których są i uchodźcy, i ekonomiczni migranci. Problem istnieje od lat, ale ostatnio się nasila. W 2022 r. na Wyspy tą drogą dostało się rekordowych 46 tys. osób, gdy rok wcześniej było to 28 tysięcy.

Teraz, na początku marca, Sunak przedstawił projekt ustawy o nielegalnej migracji (Illegal Migration Bill). Zgodnie z nim osoby nielegalnie docierające na Wyspy nie będą mogły w ogóle ubiegać się o azyl. Umieszczane będą w ośrodkach detencyjnych i w ciągu 28 dni deportowane do kraju pochodzenia lub do państw uznanych za bezpieczne, z którymi Londyn będzie mieć stosowną umowę (na razie ma z Rwandą). Ludzie ci nie będą mogli nawet korzystać z ochrony przysługującej ofiarom współczesnego niewolnictwa. Nigdy też nie zostaną ponownie wpuszczeni na Wyspy – nie uzyskają wizy.

**PLANY RZĄDU** niepokoją UNHCR, agendę ONZ ds. uchodźców: zwraca uwagę, że ustawa oznacza zakaz ubiegania się o azyl i łamie konwencję dotyczącą statusu uchodźców. Brytyjski rząd wydaje się tym nie przejmować. Szefowa Home Office Suella Braverman przyznała wprawdzie, że jest ponad 50 proc. ryzyka, iż ustawa jest niezgodna z Europejską Konwencją Praw Człowieka. Jest jednak przekonana, że nie łamie ona prawa międzynarodowego. „Testujemy granice" – wyjaśniła.

Dla części opinii publicznej te granice już przekroczono. Symptomatyczny był tweet Gary'ego Linekera, kiedyś znanego piłkarza, dziś popularnego sportowego komentatora. Uznał on działania Home Office za okrutne i skierowane przeciw najbardziej bezbronnym ludziom, a używany język za przypominający ten z Niemiec lat 30. ubiegłego wieku. W reakcji na to stacja BBC, gdzie Lineker prowadzi program „Match of the Day", najpierw zawiesiła go, a potem przywróciła – po tym, jak solidarność z Linekerem zadeklarowało wielu komentatorów i dziennikarzy. On sam przepraszać nie zamierza.

**JĘZYK RZĄDU** o imigracji jest rzeczywiście specyficzny. Braverman mówiła wcześniej o „inwazji", a teraz roztacza przed Brytyjczykami perspektywę 100 mln ludzi na świecie, które spełniłoby wymagania azylowe na Wyspach. „Powiedzmy to jasno: idą tu!" – mówiła, twierdząc, że większość to młodzi mężczyźni, których stać na przemytników, i że potem brytyjski podatnik musi płacić za ich utrzymanie w hotelach (są tam kwaterowani, bo ośrodki detencyjne są pełne; ich lokatorzy nie mają prawa do pracy, by mogli się utrzymać).

Brytania rzeczywiście mierzy się z rosnącą nielegalną imigracją. Jednak konieczność długoterminowego lokowania osób wnioskujących o azyl w hotelach – koszt to aż 6 mln funtów dziennie – wynika nie tylko ze zwiększonej liczby wniosków, ale także z długiego czasu ich rozpatrywania. Trwa to zwykle ponad 15 miesięcy, prawie dwa razy dłużej niż we Francji. Na decyzję czeka dziś 160 tys. ludzi. Z tych, którzy przybyli w 2021 r., otrzymał ją do tej pory tylko co dwudziesty piąty.

**BREXIT SKOMPLIKOWAŁ** sytuację. Po wyjściu z Unii Londynowi nie udało się dotąd zawrzeć umów o relokacji z krajami UE. Zamiast tego rząd dokłada Francji pieniędzy, by zatrzymywała migrantów u siebie.

Usprawnienie rozpatrywania wniosków mogłoby polepszyć sprawę. A także, o czym mówią organizacje charytatywne, ale już nie politycy, stworzenie efektywniejszych legalnych ścieżek ubiegania się o azyl. Obecnie wniosek o azyl można złożyć jedynie na terytorium Wielkiej Brytanii – tyle że najpierw trzeba się do niej dostać.

Efektywność istniejących programów humanitarnych i przesiedleńczych, które politycy przywołują, jest w istocie niewielka. Przykładem Afganistan. Po przejęciu władzy przez talibów Brytyjczycy ewakuowali stamtąd kilkanaście tysięcy zagrożonych osób i zobowiązali się umożliwić osiedlenie się na Wyspach kolejnym dwudziestu tysiącom. W 2022 r., pierwszym roku funkcjonowania tego programu, miało ich być pięć tysięcy. Tymczasem według dziennika „Guardian" przesiedlono 22 osoby. W tym okresie przez La Manche nielegalnie przeprawiło się 8,6 tys. Afgańczyków.

**BRYTYJSCY POLITYCY** podkreślają, że nowa ustawa – jej projekt na razie gładko przeszedł drugie czytanie w Izbie Gmin – zniechęci do ryzykownej podróży przez La Manche i odbierze zyski gangom przemytników, którzy wykorzystują imigrantów. Problem jednak w tym, że ryzykowna droga morska nadal jest dla wielu uchodźców drogą jedyną. ©

# Estonia ma jej twarz

TOMASZ OTOCKI

**Tu kobiety nie są wolne od trosk, ale żyją w świecie lepszym niż przodkowie, a także sąsiedzi. Ich symbolem jest Kaja Kallas, która właśnie tworzy swój trzeci rząd.**

Pewien polski portal, na którym często znajdziemy teksty turystyczne, zaprasza nas na wyspę Kihnu, położoną w Zatoce Ryskiej, 12 km od stałego lądu. Wyspa jest mała – mieszka na niej ledwie 700 osób. Stworzyły one własny świat, odwołujący się do tradycji. „Przez wieki izolacji mieszkańcy Kihnu wykształcili system społeczny, w którym kobiety są naturalnymi liderami" – czytamy w materiale reklamowym Visit Estonia. Powód jest zwłaszcza jeden: tutejsi mężczyźni większość czasu spędzali na rybołówstwie i żegludze. „Od wieków kobiety rządzą i podejmują decyzje na Kihnu. To one bronią gospodarstw, pól, zwierząt, dzieci, ale także tradycji i rzemiosła" – podpowiada nam agencja promocji Estonii.

W 2003 r. przestrzeń kulturową wyspy wpisano na listę Arcydzieł Ustnego i Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości UNESCO. Za to dwa lata wcześniej parlament (Riigikogu) odrzucił inicjatywę oficjalnego świętowania w kraju Dnia Kobiet. Czy to sprzeczność?

### Nie chcemy kwot

Niekoniecznie. – Nie znoszę parytetów – mówiła mi w 2019 r. Kaja Kallas, prawniczka i była europosłanka, wtedy liderka liberalnej opozycji wobec populistycznego rządu Jüriego Ratasa (dziś jest on przewodniczącym parlamentu, choć jego partia przeszła w 2022 r. do opozycji). – Historia liberalnej Partii Reform pokazuje, że nie wprowadzając kwot, mamy wiele ciekawych kobiet w parlamencie – podkreślała pewna siebie Kallas (rocznik 1977).

Walka o ustawowe wspieranie karier politycznych kobiet w krajach bałtyckich jest chyba przegrana. Podobnie jak świętowanie 8 marca. W stolicy sąsiedniej Łotwy pod parlamentem zebrało się w ten dzień tylko kilka kobiet (w tym prawicowa minister sprawiedliwości Inese Lībiņa-Egnere). – To wszystko kojarzy mi się z przeszłością sowiecką, gdy był to ustawowo dzień wolny od pracy, a podpici mężczyźni wręczali kwiaty – mówi mi łotewska znajoma, która pamięta lata 80. XX w.

W Estonii Dzień Kobiet ostatni raz świętowano w 1990 r. – roku, gdy ogłoszono niepodległość. Tymczasem bez kwot i oficjalnego świętowania do kraju wchodzi równouprawnienie. „Według przeprowadzonego w ponad 30 krajach badania odsetka kobiet na stanowiskach kierowniczych, w Estonii jest on tylko nieco mniejszy niż w Szwecji i wynosi 41 proc." – podawała kilka lat temu tutejsza prasa.

Swoją historią dzieli się ze mną Pipi-Liis Siemann, świeżo upieczona – po wyborach, które odbyły się 5 marca – posłanka zwycięskiej Partii Reform Kai Kallas. – Gdy kierowałam samorządem, wśród dyrektorów wydziałów było więcej kobiet. Nie był to świadomy wybór płci, lecz wynik konkursów. Mężczyźni często nie aplikują na wiele stanowisk, uznając je za bardziej odpowiednie dla kobiet. I oczywiście odwrotnie – mówi Siemann, która dziewięć lat kierowała gminą Türi w centrum kraju. Także ona jest przeciwna kwotom dla kobiet. Uważa, że kluczowa jest zmiana mentalności.

– Społeczeństwo nie powinno oczekiwać, że kobiety zajmą się rodziną, rezygnując z zawodu albo z zadań, które wymagają nietradycyjnych godzin pracy. W całej tej sprawie dużą rolę odgrywają mężczyźni, bo tylko wspólnie możemy kształtować kulturę organizacyjną i podział ról w rodzinie – mówi posłanka, a ja zastanawiam się, czy to samo powiedziałaby Mariane Mikko, pierwsza polityczka, z którą rozmawiałem w Riigikogu, gdy po raz pierwszy odwiedziłem ten gmach w 2013 r.

### Luka płacowa

Mikko, posłanka socjaldemokratyczna, mówiła wtedy o kłodach, które są wciąż rzucane pod nogi kobietom. Z jednej strony kraj ma wizerunek postępowego, skandynawskiego, ale to pozory. W latach 90. przyjął się tu liberalny model gospodarczy, zaaplikowany przez polityków centroprawicy, który uderzył w kobiety – głównie te z prowincji, gorzej wykształcone (ponad 30 proc. mieszkańców Estonii stanowią rosyjskojęzyczni, ich starsze pokolenie wciąż nie włada wystarczająco estońskim).

Choć w 2021 r. polska prasa okrzyknęła, że „Estonia jest kobietą", bo funkcję prezydentki i premierki sprawują panie (wspomniana Kallas, która objęła wtedy funkcję szefowej swego pierwszego rządu, i Kersti Kaljulaid, w latach 2016-21 gospodyni pałacu prezydenckiego), kobiety długo nie mogły się przebić ↦

JOE KLAMAR / AFP / EAST NEWS

*Kaja Kallas, premierka Estonii. Praga, październik 2022 r.*

↦ w tutejszej polityce. Litwa swoją premier miała już w 1990 r., a Łotwa była w latach 1999-2007 rządzona przez prezydentkę. Zanim pojawiły się Kaljulaid i Kallas, w estońskiej polityce najwięcej osiągnęła Ene Ergma, profesorka astrofizyki i trzykrotna przewodnicząca Riigikogu.

– Po transformacji osiągnęliśmy postęp, dziś nawet słabo mówiąca po estońsku i niewiele zarabiająca Rosjanka, która jest najsłabszą częścią tego społeczeństwa, uświadamia sobie swoje prawa bardziej niż parę lat temu – twierdziła wówczas w rozmowie Mikko, podobnie jak Kallas mająca też staż europosłanki. – Z drugiej strony Estonia wciąż ma swoją lekcję do odrobienia: to *gender pay gap* [różnice w zarobkach między płciami – red.]. Paradoksem jest, że statystycznie kobiety są lepiej wykształcone, ale nie idzie za tym taka sama płaca.

Wg danych Eurostatu luka płacowa wynosi w tym obszarze obecnie 20,5 proc. i w UE jest najwyższa właśnie w Estonii. Dla porównania: na Litwie to 12 proc., a w Polsce 4,5 proc.

### Odporna jak Kallas

Dziś socjaldemokraci, którzy 5 marca uzyskali 9 proc. głosów i 9 mandatów, a także centrowa partia „Estonia 200" (13 proc. i 14 mandatów), na czele której przez długi czas stała Kristina Kallas, była rektorka koledżu w Narwie (nie jest spokrewniona z Kają), prowadzą negocjacje koalicyjne ze zwycięzcami, czyli Partią Reform (31 proc. i 37 mandatów). Łączne 60 mandatów trzech partii starczy, by zaprzysiąc trzeci rząd Kai Kallas. Premier jest popularna w mediach światowych zwłaszcza od rosyjskiej inwazji na Ukrainę, wymienia się ją wśród pretendentów do funkcji sekretarza generalnego NATO.

„Kallas zyskała popularność ze względu na jednoznaczne stanowisko wobec wojny, a także krytyczną postawę wobec Rosji. Jest dosyć popularna na Zachodzie i uważana przez Estończyków jako godny reprezentant za granicą. Ma doświadczenie na szczeblu europejskim i międzynarodowym. Potrafi porozumiewać się kodami politycznymi z zachodnimi politykami" – mówił w 2022 r. w podkaście „Układ otwarty" Bartosz Chmielewski, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich.

**Kaja Kallas jest popularna także poza Estonią,** wymienia się ją wśród pretendentów do funkcji sekretarza generalnego NATO.

Jednak przyczyn jej popularności jest więcej. Wielu Estończyków zawiodło się na poprzednim premierze Ratasie, który w 2019 r. stworzył rząd z nacjonalistami z EKRE oraz konserwatywną Ojczyzną (teraz te trzy partie zapewne pozostaną w opozycji). Do Kai Kallas przylgnęła zaś etykietka „teflonowej premier", tu w znaczeniu pozytywnym – jako do kogoś, do kogo nie przyklejają się afery i kto radzi sobie z sytuacjami kryzysowymi.

### Mniejszy wpływ religii?

Do 101-osobowego parlamentu wybrano właśnie 30 kobiet – najwięcej w historii. Z kolei Kallas zdobyła najwięcej głosów w dziejach estońskich wyborów: 32 tys. (były premier Ratas dostał 8 tys., a lider nacjonalistycznej EKRE Martin Helme – 6 tys. głosów).

– Pozycja kobiet w polityce się wzmocniła, odkąd zyskaliśmy prezydentkę i premierkę. Estonia jest krajem stosunkowo niereligijnym w porównaniu z większością Europy. Stąd wpływ Kościołów na pozycję kobiet jest mniejszy niż w społeczeństwach wysokoreligijnych – mówi „Tygodnikowi" pani prof. Piret Ehin z Tartu. Jednak z wnioskami lepiej być ostrożnym. Teza Ehin może być wytłumaczeniem faktu, iż w 2014 r. Estonia jako pierwszy kraj postsowiecki przyjęła ustawę o związkach partnerskich, także dla homoseksualistów. „Za" głosowała partia Kallas i socjaldemokraci, a kampanię przeciw rozkręciło EKRE, które na fali straszenia LGBT i uchodźcami dostało się rok później do parlamentu.

Jeśli zaś patrzeć na sprawy *stricte* kobiece, to w katolickiej Litwie płeć żeńska ma też sporo do powiedzenia. „Gdybyśmy oceniali ministrów na podstawie ich możliwości, w rządzie byłoby więcej kobiet" – mówiła w 2020 r. Ingrida Šimonytė, prezentując swój nowy rząd, w którym kobiety objęły jednak aż sześć tek, w tym gospodarkę, sprawiedliwość i finanse. W drugim rządzie Kallas polityczki kierowały taką samą liczbą ministerstw.

Są jednak dwa aspekty, które odróżniają Estonię od Litwy. Po 1990 r. w Riigikogu nie rozważano na poważnie zakazu przerywania ciąży, inaczej niż miało to miejsce w Litwie. W 2017 r. Estonia ratyfikowała też konwencję stambulską, jako jedyny z krajów bałtyckich.

### W trudnych czasach

O ile w polskim Kościele ewangelicko-augsburskim kobiety od niedawna mogą być duchownymi, estońscy luteranie, tradycyjnie dominujący w tym kraju, zezwolili na to już w 1967 r. Pierwszą pastorką została Laine Villenthal. Jej życie wpisane jest w XX-wieczne dzieje Estonii: przedwojenną państwowość, podwójną okupację, represje sowieckie i wreszcie radość z niepodległości w 1991 r. Dziś jedna czwarta duchownych tego Kościoła to kobiety.

Ponad rok temu funkcję sekretarz generalnej Światowej Federacji Luterańskiej objęła, jako pierwsza w historii, kobieta – teolożka Anna Burghardt, wychowana w estońskiej republice sowieckiej. W jej portrecie na stronie federacji przypomniano, że jeden z kościołów, w których odprawiała nabożeństwa, by zastąpić koleżankę na urlopie macierzyńskim, był w Paldiski nad Bałtykiem, niegdyś centrum szkolenia załóg sowieckich atomowych okrętów podwodnych. „My kobiety wiemy, jak sobie radzić w trudnych czasach" – komentowała ten fakt Kadri Põder, członkini Konsystorza ds. stosunków międzynarodowych i ekumenicznych.

„Największym problemem dziś jest to, że nowe pokolenia prawie nic nie wiedzą o chrześcijaństwie, Kościele czy religiach świata" – skarżył się arcybiskup Urmas Viilma. Zmiana tej sytuacji to także zadanie dla estońskich pastorek. Nie załatwią tego politycy. Choć nacjonalistyczna EKRE kreuje się na obrończynię wartości, Kościół trzyma do niej dystans. Gdy przed wyborami w 2019 r. dawał rekomendacje, jak głosować, nie wskazał na konkretne partie. Charakterystyczne jednak, że socjaldemokratom przyznał wtedy 19 „luterańskich punktów", a nacjonalistom 14. To był zimny prysznic dla politycznej rodziny Helmego.

© TOMASZ OTOCKI

# Cel: renesans ojczyzny

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

**Xi Jinping chce wyprowadzić Chiny z izolacji po pandemii. Ale w międzyczasie świat się zmienił: w USA, Europie i Azji Wschodniej powszechne są dziś antychińskie nastroje.**

Zaskoczenia nie było. Narodowy Kongres Ludowy, czyli chiński parlament, obradujący między 5 a 13 marca, wyłonił nowe władze wykonawcze kraju. Ponieważ decyzje personalne zapadły dużo wcześniej, głosowania tego blisko trzytysięcznego gremium miały czysto dekoratywny charakter. Nie zaskakuje więc ani trzecia kadencja prezydencka i perspektywa dożywotnich rządów dla Xi Jinpinga, ani to, że po wycięciu konkurencji skupił on w swoich rękach całą władzę.

**NOWYM PREMIEREM** został 63-letni Li Qiang, dotąd sekretarz partii w Szanghaju. To zaufany człowiek Xi Jinpinga od dwóch dekad – od czasu, gdy był podwładnym obecnego prezydenta w prowincji Zhejiang. Li uchodzi za pragmatyka przychylnego prywatnej inicjatywie. Jego nominacji nie zaszkodziły nawet wolnościowe demonstracje w Szanghaju zeszłej jesieni, wywołane lockdownem. Także czterech nowych wicepremierów uchodzi za ludzi oddanych przywódcy. Czymś nieoczekiwanym mogą być tylko niewielkie zmiany wśród ministrów i utrzymanie szefa banku centralnego, który powinien przejść na emeryturę. Zapewne ma to gwarantować stabilność w niepewnych czasach.

Uwagę obserwatorów Kongresu przykuł zwłaszcza język wystąpień. Xi wytknął wprost Stanom Zjednoczonym wrogą postawę, co chińskim przywódcom nie zdarzyło się od dekad. W wystąpieniach wracał motyw zewnętrznej presji na Chiny, chęci ich „otoczenia" i „powstrzymywania". Po części służy to zrzuceniu winy za problemy gospodarcze na „obcych": to oni, a nie uporczywe trwanie przy polityce „zero covid" czy duszenie prywatnej przedsiębiorczości, mają stać za słabym wzrostem gospodarczym, bezrobociem wśród młodych i inflacją. Faktem jest jednak, że Chiny, wychodzące z izolacji po trzech latach pandemii, konfrontują się z dużo bardziej złożonym otoczeniem międzynarodowym.

JADE GAO / AFP / EAST NEWS

*Transmisja przemówienia prezydenta Chin Xi Jinpinga podczas sesji zamykającej Narodowy Kongres Ludowy. Pekin, 13 marca 2023 r.*

**STOSUNKI Z USA** są na równi pochyłej. Mimo wciąż wysokiej wymiany handlowej, postępuje proces rozdzielania obu gospodarek. Dotyka to zwłaszcza – za sprawą sankcji – wysokich technologii. Antychińskie nastroje dominują dziś także w wielu krajach Azji Wschodniej. Odejście Japonii od pacyfizmu, jej historyczne pojednanie z Koreą Południową, nowe bazy USA na Filipinach, zakup atomowych łodzi podwodnych przez Australię – wszystkie te decyzje, które Chiny nazywają „osaczaniem", mają za cel równoważenie militarnych wpływów Pekinu w regionie.

Xi Jinping zatwierdził właśnie zwiększenie wydatków na armię o 7,2 proc., czyli ponad szacowany na 5 proc. wzrost PKB w 2023 r. Chińczycy już dziś dysponują największą flotą na świecie, a w planach mają też kilkukrotne zwiększenie arsenału nuklearnego.

Choć reakcją na pogarszający się klimat międzynarodowy ma być większa samowystarczalność Chin – żywnościowa, a zwłaszcza technologiczna – to jednocześnie władze zapowiadają nowe otwarcie na świat i aktywną dyplomację swojego kraju jako supermocarstwa. W tym świetle czytać należy mediację Pekinu przy zawartym właśnie porozumieniu Arabii Saudyjskiej z Iranem (oba kraje nawiązały na nowo dyplomatyczne relacje, zerwane w 2016 r.).

**XI JINPING WYBIERA SIĘ** wkrótce do Moskwy. Ma też dojść do jego rozmowy telefonicznej z prezydentem Ukrainy – pierwszej od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji. Jeśli Xi zdecyduje się nakłaniać Putina do zakończenia czy choćby zamrożenia wojny, to głównie dlatego, że psuje mu ona relacje z Europą. Większość państw Starego Kontynentu stanęła po stronie Ukrainy i zbliżyła się do USA. Pekin tymczasem chciałby zacieśnienia kontaktów z UE – z powodów gospodarczych, ale też po to, aby wbić klin w relacje transatlantyckie.

Jednak po ostatnich sankcjach Holandii na Chiny w dziedzinie półprzewodników i po zapowiedzi porzucenia przez Niemcy współpracy z firmą Huawei przy rozwoju sieci 5G, wydaje się to niełatwe. Mimo to Chińczycy wciąż liczą na odwojowanie dobrych relacji z Europą. Przykładem zbliżające się wizyty przywódców Francji i Włoch w Państwie Środka czy planowane przez niemiecki przemysł miliardowe inwestycje w Chinach.

▪▪▪

Nawet jeśli podczas Kongresu dominował nastrój niepewności w polityce wewnętrznej i zagranicznej, to uroczystość jego zakończenia przybrała już sztampowy charakter. Dziękując delegatom za kolejny wybór (jednogłośny), Xi Jinping stwierdził, że po stuleciu zmagań udało się zatrzeć upokorzenie, jakiego Chiny doznały z rąk „obcych", a droga ku renesansowi ojczyzny ma nieodwracalny charakter. Dla urzeczywistnienia tego celu nastąpić musi jednak „ponowne zjednoczenie narodu".

Fragment ten przykuł zwłaszcza uwagę mieszkańców Tajwanu. ©

# HISTORIA MIGANA

Najbardziej żałuje, że nie ma ich wspomnień czy listów. Bo ich historia dopiero się tworzy. Także za sprawą takich jak on – Tomasz Świderski, głuchy historyk, badający dzieje głuchych.

ANNA GOC

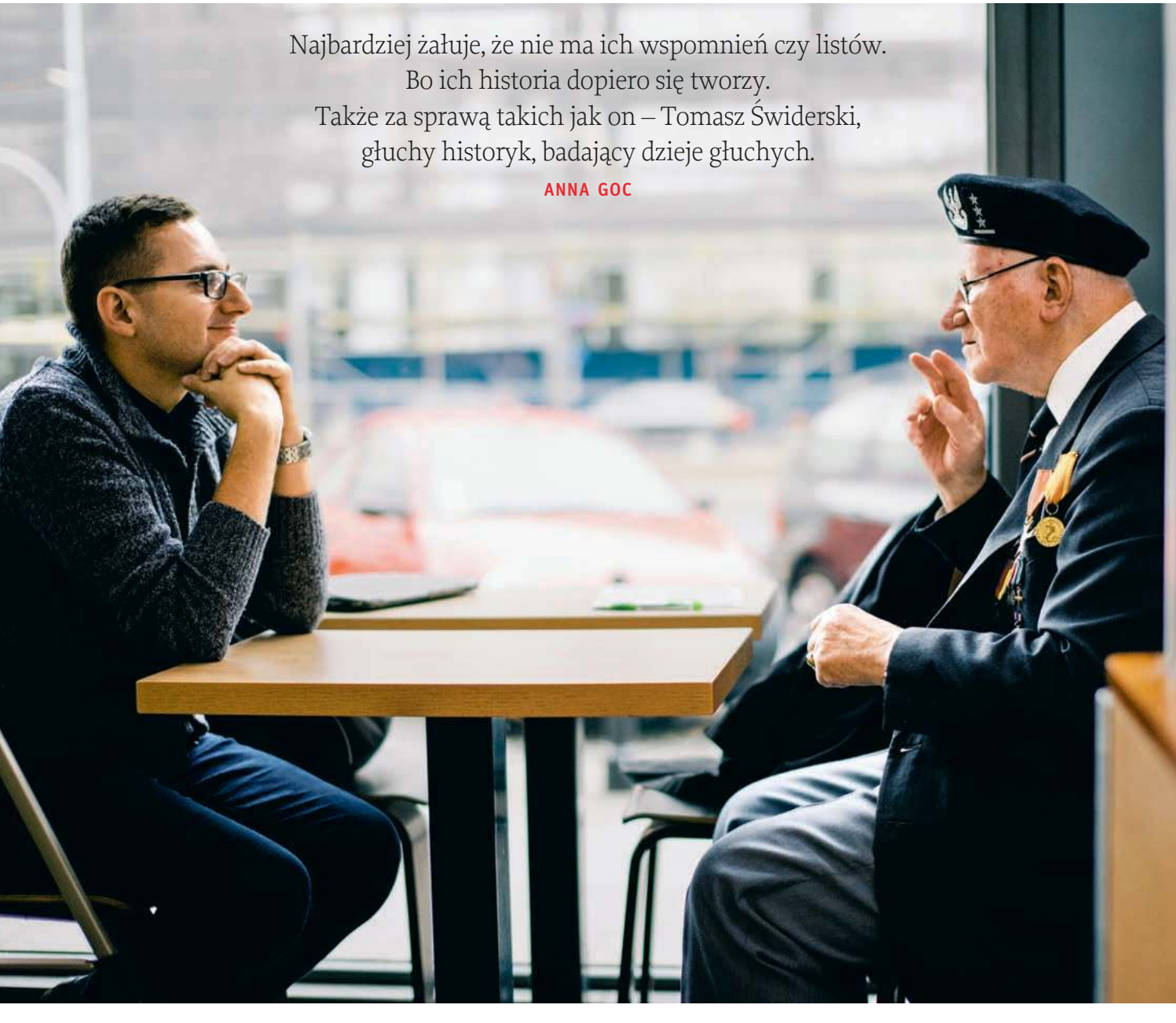

Przez całą noc wypaliliśmy dwie świece, by można było porozmawiać, dzieląc się wrażeniami i przypuszczeniami. Postój godzinny w niewiadomej miejscowości. Po całodziennej podróży przejechaliśmy Poznań w nocy, oraz Frankfurt nad Odrą rano. Dalej pojechaliśmy w stronę północną i tam pod wieczór zatrzymaliśmy się w stacji »Küstrin«. Dali nam na kolację zupę".

Ten fragment pamiętnika Kazimierza Włostowskiego, głuchego powstańca warszawskiego, przesyła mi Tomasz Świderski, historyk i nauczyciel historii, głuchy od urodzenia. Zapis pochodzi z 8 października 1944 r. – Zwróć uwagę na dwie świece. Dzięki nim głusi powstańcy widzieli swoje dłonie w ciemności, mogli rozmawiać – zaznacza Świderski.

### Zabytki języka

Pamięta tamte wieczory, gdy jego mama brała książki i migając opowiadała mu bajki, a czasem opowieści o królach i upadających dynastiach, wielkich bitwach i ich uczestnikach. Tomasz wolał te prawdziwe historie, bo w nich było więcej zagadek, także tych nigdy nierozwiązanych.

Siadamy we troje: Tomasz Świderski po jednej stronie, po drugiej ja i Irena Piecha, tłumaczka polskiego języka migowego (PJM). Świderski opowiada o tej części historii Polski, o której zwykle się nie mówi. Tworzyli ją Polacy posługujący się na co dzień polskim językiem migowym. Dla wielu z nich język polski był językiem obcym – w różnym stopniu potrafili czytać i pisać.

– Najbardziej brakuje mi pamiętników, listów, wspomnień. Wszystkiego tego, z czego historycy dowiadują się o mentalności ludzi żyjących w innych epokach. Jak myśleli? Jak oceniali to, co działo się wokół nich? O co walczyli? Tego się nie dowiemy – miga Świderski.

I wyjaśnia, dlaczego takich materiałów jest w środowisku głuchych tak mało.

Polski język migowy – podobnie jak 157 innych języków migowych, wymienionych w bazie Ethnologue. Languages of the World – ma gramatykę wizualno-przestrzenną i nie ma wersji tekstowej. Przez stulecia istniał tylko tu i teraz, a głusi mogli porozmawiać tylko wtedy, gdy się spotkali. Dlatego opowieści głuchych przez dekady były przekazywane z pokolenia na pokolenie, tylko nieliczni zapisali swoje wspomnienia.

*Tomasz Świderski podczas rozmowy z nieżyjącym już najmłodszym powstańcem Plutonu Głuchoniemych AK, Karolem Stefaniakiem. Październik, 2016 r.*

### I uczeń, i tłumacz

Gdy nieco ponad 20 lat temu Tomasz kończył podstawówkę dla głuchych w Lublinie, a potem szkołę zawodową i technikum dla głuchych (specjalność kreślarstwo) w Wejherowie, edukacja głuchych oparta była na metodzie oralnej: dzieci mają nauczyć się mówić i odczytywać słowa z ruchu warg słyszących. Miganie było zakazywane w czasie lekcji. Nie migała też większość nauczycieli.

– W Lublinie nauczyciele głównie mówili, czasem dodawali jakieś znaki migowe, które przypominały raczej gesty, a nawet pantomimę – opowiada Tomasz. – W moim domu rodzinnym wszyscy są głusi i migają, wiedziałem, że znaki, których używają nauczyciele, nijak mają się do naszego języka.

Wspomina: – Miałem to szczęście, że dobrze znałem język polski i nauczyłem się odczytywać słowa z ruchu warg. Wystarczyło jednak, że nauczyciel się odwrócił albo mówił za szybko, zasłonił usta dłonią, a już był kłopot. Moje dwie głuche koleżanki, które nie czytały z ruchu warg, siedziały przez kilka lat na lekcjach i potakiwały. Nie wynosiły z nich nic. Często prosiły mnie o tłumaczenie. Byłem więc i uczniem, i tłumaczem. Teraz zastanawiam się, jak to możliwe, że słyszący nauczyciele pozwalali, aby uczeń był tłumaczem, bo sami nie nauczyli się migać.

W szkole podstawowej – miga dalej Świderski – wiedza z historii powszechnej była na niskim poziomie. Za to w Wejherowie trafił na nauczyciela, który pomagał mu nadgonić materiał, przygotowywał do olimpiady historycznej. Gdy Tomasz podchodził do matury, wciąż niewielu głuchych studiowało. On zdał maturę i dostał się na Wydział Historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Był jedynym głuchym studentem na tym wydziale.

Znów czuł, że ma zaległości. – W szkole dla głuchych nauczyciele nie mówili prawie nic o historii powszechnej. Musiałem pracować dwa razy więcej niż słyszący studenci, żeby skończyć studia – miga.

### Migana przysięga

Pierwszą pracę po studiach dostał jako archiwista w Polskim Związku Głuchych, do dziś największej w kraju organizacji, która reprezentuje interesy osób głuchych.

– Przeglądałem archiwa i się dziwiłem, ile mamy materiałów, głównie powojennych, i fotografii. Wtedy zacząłem się zastanawiać, dlaczego dotąd nikt nam nie powiedział choćby o głuchych żołnierzach. Nie było o nich ani słowa w szkolnej podstawie programowej, nie wspominali o nich nauczyciele historii – miga. – To się zresztą nie zmieniło. Nawet dzisiaj w szkołach dla głuchych nauczyciele, którzy opowiadają o historii głuchych, są raczej wyjątkami.

Gdy teraz z uczniami z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Głuchych w Warszawie przerabia historię, zawsze wspomina 34 głuchych, którzy walczyli w powstaniu warszawskim: 29 z nich w Plutonie Głuchoniemych, a pięciu w innych oddziałach, razem ze słyszącymi.

Opowiada o nieformalnym dowódcy plutonu, Kazimierzu Włostowskim pseudonim „Igo": znał i język polski, i PJM, mógł więc pośredniczyć w kontaktach między żołnierzami a formalnymi dowódcami jednostki, słyszącymi: Wiesławem Jabłońskim (ps. „Łuszczyc", nauczycielem wuefu z Instytutu Głuchoniemych), a potem Edmundem Malinowskim (ps. „Mundek"). Opowiada o przysiędze, którą Włostowski złożył w PJM, i o tym, że była to jedna z ważniejszych postaci Głuchej Warszawy: dzięki niemu przed II wojną światową powstał Warszawski Klub Sportowy Głuchych. Włostowski uczestniczył też w I oraz II Światowych Igrzyskach Głuchych (mają swoje igrzyska, bo nie mogą uczestniczyć w ogólnych ani w paraolimpiadzie).

### W obronie Lwowa

– Kiedyś myślano o głuchych wyłącznie jak o ludziach niepełnosprawnych, niezaradnych życiowo. Historia pokazuje, że walczyli na równi ze słyszącymi. Gdy opowiadam o tym moim głuchym uczniom, widzę, jakie to robi na nich wrażenie, jak ich to inspiruje, bo dotyczy także ich samych – miga Tomasz.

Gdy w 2008 r. przeprowadził się do Warszawy, żyło jeszcze trzech głuchych powstańców. Wspomina: – Jeden z powstańców był bardzo chory, ↦

INSTYTUT HISTORII GŁUCHYCH „SURDUS HISTORICUS"

*Bal Głuchych zorganizowany przez Lwowski Klub Sportowy Głuchoniemych „Świt". Lwów 1936 r.*

↦ nie mogliśmy się spotkać. Drugiej, Jadwidze Steć-Smoczkiewicz, pamięć nie pozwoliła wrócić do wydarzeń wojennych. Najmłodszy z całego plutonu, Karol Stefaniak ps. „Kajtek", opowiedział mi historię Żydówki, którą ukrywano wcześniej w Instytucie Głuchoniemych. Podobno pewnego dnia wyszła i zaginęła. Nie udało mi się jednak znaleźć żadnych materiałów na jej temat, mam tylko relację ustną Stefaniaka.

Równolegle pracuje nad książkami, w których opisuje udział głuchych żołnierzy w wojnie polsko-ukraińskiej 1918-19 (11 ochotników walczyło w szeregach Straży Obywatelskiej) i polsko-bolszewickiej (14 głuchych w dwóch różnych oddziałach).

„W przedwojennej Polsce środowisko głuchych okazywało ogromny szacunek wobec osób, które brały udział w obronie Lwowa. (...) Na lekcjach podawano postawę głuchych obrońców jako bardzo dobry przykład patriotyzmu. W 1939 roku grupa głuchych absolwentów Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie, pisząc list do generała Berbeckiego, zadeklarowała gotowość do obrony Ojczyzny w razie potrzeby. Jako przykład podawali właśnie niesłyszących lwowiaków" – pisze Świderski w książce „Olgierd Białynia Chołodecki. Głuchy żołnierz, technik dentystyczny i działacz".

### A co z nami?

W 2009 r. Tomasz Świderski wyjeżdża na Międzynarodową Konferencję Historii Głuchych w Sztokholmie, którą organizuje Deaf History International – organizacja zrzeszająca głuchych historyków. Właśnie w Szwecji zobaczył po raz pierwszy głuchych wykładowców i badaczy. I zaczął sobie zadawać pytanie: co z naszą historią, z historią głuchych w Polsce? Dlaczego się tym nie zajmujemy?

Trzy lata później zakłada Instytut Historii Głuchych „Surdus Historicus". Przekonuje jednak, że nie jest pierwszą w Polsce osobą zainteresowaną historią głuchych, choć pierwszym głuchym z dyplomem uniwersyteckim z historii. Wcześniej historię głuchych opisywał m.in. prof. Bogdan Szczepankowski, a wśród historyków amatorów Ludwik Kamiński, sybirak.

– Z panem Ludwikiem spotkaliśmy się kilka lat przed jego śmiercią. To on po raz pierwszy opowiedział mi o przymusowej sterylizacji głuchych w czasie wojny. Kamiński dotarł do osób, które poddano sterylizacji. Temat jest trudny do zbadania, bo ci ludzie już nie żyją i na razie nie znalazłem materiałów źródłowych na ten temat. Kamiński opowiadał mi, że przymusowym sterylizacjom byli poddawani głusi, którzy pochodzili z wielopokoleniowych głuchych rodzin – miga Świderski.

I opisuje historię ok. 30 osób z Bytomia i Chorzowa, do których świadectw dotarł Ludwik Kamiński. Wynika z nich, że w roku 1940 lub 1941 cała grupa została odesłana przez Niemców na przymusową sterylizację do Wrocławia.

Temat podejmuje też Verena Krausneker z Uniwersytetu Wiedeńskiego: opisuje przymusowe sterylizacje głuchych dokonywane w Austrii w 1938 r. Krausneker twierdzi, że to dlatego dziś w Austrii jest mniej głuchych w drugim i trzecim pokoleniu.

### Pocztówka

Członkowie Instytutu Historii Głuchych „Surdus Historicus" organizują międzynarodowe konferencje, w tym – po raz

pierwszy w Polsce – poświęconą głuchym Żydom, nazwaną „Zapomniani z zapomnianych". W 2016 r., w setną rocznicę założenia Stowarzyszenia Głuchoniemych Żydów „Spójnia", do Warszawy zjechało ponad 80 osób m.in. z Węgier, Niemiec i Norwegii. Odwiedzili warszawskie groby głuchych Żydów: Dawida Szejnmana, Samuela Ajzenberga, Samuela Gutfelda i Dawida Haftera. Włączają się też w odnawianie grobów głuchych.

Świderski przeszukuje archiwa, gromadzi materiały, odwiedza ludzi, by zebrać ich relacje. – Dotarliśmy do rzeczy unikalnych dla naszej historii, jak pocztówka promująca fabrykę Snyceropol, której właścicielem był Jakub Wajcblum, głuchy warszawski Żyd – opowiada. – Pocztówkę dostałem od starszego głuchego warszawiaka, a jemu z kolei podarował ją głuchy pracownik tej fabryki.

Jakub z żoną Rywką mieszkali przy ul. Miłej 38. Cała rodzina, wraz z trzema słyszącymi córkami, w maju 1943 r. trafiła z Umschlagplatzu do obozu na Majdanku i tam została rozdzielona. Rodzice zginęli. Przed wojną Jakub był współzałożycielem Stowarzyszenia Głuchoniemych Żydów „Spójnia". Jedna z ich córek, Estera, została stracona w Auschwitz-Birkenau za udział w buncie Sonderkommando. Wojnę przeżyły pozostałe córki, Sabina i Chana.

– Pytałem o materiały dotyczące głuchych Żydów w Muzeum POLIN, ale odpisali, że nic nie mają. A przecież to środowisko było w przedwojennej Polsce bardzo duże, m.in. w Krakowie, Łodzi, Lublinie, Białymstoku, Wilnie czy Lwowie – miga.

W jednym z artykułów Świderski opisuje zjawisko antysemityzmu głuchych przeciw głuchym Żydom. Rozłam zaczął się w 1925 r., gdy na zebraniu Polskiego Związku Towarzystw Głuchoniemych ktoś, nie wiadomo kto, wysunął postulat, by ze Związku wykluczyć Żydów. Członkowie zagłosowali „za", głusi Żydzi odeszli z Towarzystwa. To spowodowało kolejny rozłam: w środowisku głuchych sportowców. „Na znak protestu Głusi sportowcy wyłączyli się z działalności na rzecz PZTG i założyli Polski Związek Sportowy Głuchoniemych (1927 r.), którego członkami były też żydowskie kluby sportowe głuchych" – pisze.

MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH

*Tomasz Świderski wykonujący kwerendę archiwalną dla wystawy „Głusza" w Katowicach. Luty, 2019 r.*

### Poza Polską

W 2016 r. Świderski zakłada „Surdus Historicus. Kwartalnik o Historii Głuchych", który ukazuje się do 2020 r. Jest jego redaktorem naczelnym. W piśmie podejmują tematy społeczne, także związane z dyskryminacją. Opisują historię głuchych Żydów i głuchych przedstawicieli mniejszości seksualnych. Portretują środowisko artystyczne, piszą o osiągnięciach głuchych sportowców. Wśród sylwetek są też głuche kobiety – jak Maria z Łopieńskich Rogowska, która w 1931 r. została prezeską Polskiego Związku Towarzystw Głuchoniemych, czy Irena Walulewicz, która wspólnie z matką ukrywała Gołdę Buszkaniec (w 2007 r. została Sprawiedliwą wśród Narodów Świata).

Świderski nawiązuje współpracę z autorami, którzy – jak on – opisują historie głuchych w innych krajach. To np. Outi Ahonen, która przypomina Mikka Paksujalka – głuchego żołnierza, legendę fińskiej wojny domowej.

Z kolei Malin Büttner opisała historię głuchych, którzy byli włączeni do Hitlerjugend, organizacji młodzieżowej NSDAP. „Niesłyszące uczennice i niesłyszący uczniowie (...) mieli obowiązek ćwiczyć szczególnie dużo, aby uzyskać »stalowe«, wyjątkowo krzepkie ciało. Nauczyciel głuchych nazwiskiem Nowack mówił: »W sporcie chcemy dorównać dzieciom słyszącym. (...) Zaciśnijcie zęby. Ćwiczcie wciąż i wciąż. (...) Słyszący nie powinni z nas szydzić. (...) Mają mówić: zobaczcie, (...) to są prawdziwi chłopcy i prawdziwe dziewczyny Hitlera«" – pisze Buttner.

Junhai Yang przedstawia historię pierwszego głuchego obywatela Chin, Ziao Fong Hsia, który wyjechał do Nowego Jorku, by tam rozpocząć naukę. Autorka jest głucha, urodziła się w Pekinie, a doktorat z Deaf Education uzyskała na Gallaudet University – jedynej na świecie uczelni, na której wszystkie wykłady są prowadzone w amerykańskim języku migowym (ASL). Wzmiankę o Ziao Fong Hsia znalazła w archiwach Szkoły dla Głuchych w Rochester w stanie Nowy Jork.

■ ■ ■

– Czasami jedna informacja może być początkiem historii – miga Świderski i jako przykład podaje pochodzącą z 1908 r. wzmiankę o próbach założenia schroniska dla głuchych starców, którego pomysłodawcą był Józef Jerzy Rogowski.

Żeby zrozumieć, dlaczego ono mogło być ważne, trzeba pamiętać, że w tamtym czasie na ziemiach polskich były zaledwie cztery szkoły dla głuchych: w Poznaniu, Warszawie i dwie we Lwowie, w tym jedna dla głuchych żydowskich dzieci.

– Liczba miejsc w nich była ograniczona, a edukacja nie była powszechna nawet wśród słyszących. Szkoły dla głuchych były płatne, co dodatkowo utrudniało dostęp. Dlatego wówczas było dużo analfabetów wśród głuchych – mówi Świderski. I dodaje: – W środowisku zachowały się relacje z początku XX w., jak rodzina wywoziła głuchych i zostawiała gdzieś daleko. Nie byli w stanie wrócić, bo nie potrafili ani mówić, ani pisać. Między innymi dlatego było potrzebne schronisko – opowiada Świderski.

– Z tych historii wyłania się jeszcze jedna opowieść: jak ludziom głuchym żyje się w różnych krajach i jak te kraje dopasowują prawo do potrzeb głuchych obywateli. A tak poza wszystkim – dobrze, by słyszący widzieli, że głusi są pełnoprawnymi obywatelami, a głusi – by znali własną historię.

©℗ ANNA GOC

Korzystałam z numerów „Surdus Historicus. Kwartalnika o Historii Głuchych", a także z książki Tomasza Świderskiego „Olgierd Białynia Chołodecki. Głuchych żołnierz, technik dentystyczny i działacz" oraz „Przewodnika po Głuchej Warszawie", również jego autorstwa. Jeśli mają Państwo materiały dotyczące historii głuchych, można się skontaktować z Tomaszem Świderskim pod adresem: **t.swiderski@surdushistory.org.pl**

JACEK

# Podsiadło:
## *Brat bohatera*

Przez ostatni rok zdążyłem zrobić kilka specjalizacji, w zależności od tego, co tam akurat Putin Ukrainie zafundował. Znam się już trochę na kamizelkach kuloodpornych, transporcie paliwa, dronach, generatorach prądu i zasilaczach awaryjnych... Przemijalność wojennych „mód" również świadczy o tym, jak dobrze sobie Ukraina radzi. Nigdy wcześniej świat nie widział tak szybkich wyjść z kryzysu paliwowego czy energetycznego.

Kiedy jedna z Ukrainek poznanych przy okazji wywożenia ich ze Lwowa chciała sprowadzić swoją dalszą rodzinę do Czech, gdzie osiadła, zrobiłem też wąską specjalizację w zakresie ucieczek z Rosji szlakiem estońskim z psem. O ile wielu Ukraińców bez większych przeszkód wyjechało z Rosji, przekraczając granicę z Estonią, o tyle pies to na tej trasie duży kłopot, jeśli się nie ma własnego samochodu. I wcale nie Putin ten kłopot powoduje. Tallinn nie ma połączenia kolejowego z Warszawą, trzeba by wędrować lokalnymi pociągami z tysiącem przesiadek. Są dobre połączenia autobusowe, ale regulaminy linii autobusowych zabraniają przewożenia zwierząt, a przypadku odysei wojennej w ogóle nie uwzględniają, to właśnie mam gruntownie przerobione. Kiedy więc Stas zaskoczył mnie telefonem i pytaniem, jak to jest z tymi psami, bo chce sprowadzić rodzinę z czworonogiem do Warszawy, szybko się dogadaliśmy, że najprościej będzie, jeśli po prostu zrobię kurs na północ moim czołgiem, w którym niejeden już pies wył z nudów.

Ucieszyłem się, że Stas znowu będzie mieszkał w Polsce. Nie widzieliśmy się, odkąd zamieszkał w Petersburgu, a znamy się od trzydziestu lat, odkąd z bratem Andrzejem, dziś niezłomnym więźniem Łukaszenki, przysłali mi do radia, w którym pracowałem, list z Białorusi. List i kasetę z muzyką białoruskiego, ukraińskiego i rosyjskiego undergroundu. Sam Stas jest liderem hardkorowej kapeli. Nie przepadam za muzyką tego rodzaju, ale bardzo mi się podobają teksty jego protest songów. Bardzo liryczne, trochę filozoficzne. Co drugie słowo w nich to nazwisko lub przezwisko bardzo znanego dyktatora, a co drugie to nazwa bardzo znanego, choć rzadko noszonego na wierzchu, członka ciała ludzkiego – filozofia nie zawsze musi być skomplikowana.

Po drodze na przejście graniczne w Narwie miał pod dostatkiem czasu, żeby mi opowiedzieć o wszystkim. Nastię, rosyjską aktywistkę i streetworkerkę (sam mówi o niej: miłość mojego życia), zna od dawna. Parenaście lat temu odwiedził ją w Pitrze, wpadł na chwilę, tak jak zawsze lubił wpadać do rozsianych po świecie znajomych. Miał zaraz jechać dalej, ale skoro urodziła mu bliźniaki, to został.

Stas ma dar opowiadania. Nawet kiedy opowiada o buncie hipisów w Mińsku w 1973 r., kiedy nie było go jeszcze na świecie, to opowiada tak, że słucha się tego jak wiadomości z pierwszej ręki. W zasadzie wszystkie jego opowiadania to opowieści o buntach.

I to, jak z chłopakami na wsi „wypożyczali" sobie konie sąsiadów, żeby galopować na oklep i na oślep. I to o pracy w Memoriale. I o strasznym losie przybyszów z Kaukazu w rosyjskich miastach. I jak nie mógł się doliczyć (może 50, może 80?) ilości śladów po paralizatorze na ciele torturowanego w śledztwie anarchisty z Penzy w głośnej, choć nie za długo, sprawie działaczy Antify oskarżonych o faszyzm z inspiracji Prawego Sektora.

Dzisiaj, co zrozumiałe, Stas musi występować w roli brata bohatera. Narzeka, że każdy dziennikarz, który z nim rozmawiał, pytał: „A jaki był Andrzej za młodu? Czy wyróżniał się wśród rówieśników?".

Mnie najbardziej podoba się opowiadanie Stasa o ojcu. O tym, jak w 1956 r. zwiał jako wyrostek z domu. Pojechał sobie pociągiem do Odessy i wrócił dopiero po 15 latach.

Stasowi opowiadał, że zwiał pod wpływem przygód Hucka i Tomka Sawyera. Podejrzewamy, że to inspiracja drugorzędna, najgłębsze przyczyny takich gestów zazwyczaj człowiek skrywa sam przed sobą. Aczkolwiek z inspiracji twainowskiej mógł się wziąć sposób zniknięcia. Obaj ze Stasem pamiętamy, że najpiękniejszym po patrzeniu w oczy Becky Thatcher doświadczeniem w życiu Tomka było leżenie pod łóżkiem i podsłuchiwanie, jak go opłakują po rzekomej jego śmierci przez utonięcie. A 12-letni Stanisław Poczobut, trochę nawet Odlanicki, przyszły ojciec Andrzeja i Stanisława juniora, zanim zwiał do Odessy, zostawił na brzegu jeziora pod Wielką Borzestowicą swoje ubranie.

W drodze powrotnej Stas mniej już gada ze mną, a więcej z rodziną. Stęsknił się. Po oczach bliźniaków widać, że planują wyprawę do Odessy przy pierwszej okazji, ale w ogóle się do tego nie przyznają. Mówią, że chcą w Polsce chodzić do szkoły i pilnie się uczyć.

– No dobra, Stas, a powiedz jeszcze, jaki Andrzej był za młodu. Wyróżniał się? Można było z nim konie kraść? – Nie. Jest starszy o trzy lata, więc jak myśmy kradli te konie, to on się już oglądał za dziewczynami. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
+
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP" 13/2023

Bartosz Sadulski
*Jak nie zostałem mężczyzną*

Dominika Gracz-Moskwa
*Komiksy nie tylko dla smutnych chłopaków*

Grzegorz Jankowicz
*Robert Walser: płynny pisarz*

# Męska skóra
## i inne historie

# Jak nie zostałem mężczyzną

BARTOSZ SADULSKI

**Najważniejszym zadaniem było nie stać się nim – zasępionym facetem bez zainteresowań, chowającym się z piwem w garażu, wiecznie cierpiącym na syndrom oblężonej twierdzy, nieobecnym. Jego złość zrozumiałem za późno.**

Męskość interesowała mnie w życiu tak samo, jak religia i samochody, czyli sprawy na tyle wszechobecne, że w pewien sposób oczywiste. Lenistwo i brak pociągu do spraw duchowych łatwo wykluczyły mnie z grona kierowców i wierzących, jednak opuścić grono mężczyzn nie jest już tak łatwo.

Męskość jawiła mi się jako coś immanentnie przypisanego do płci, coś dziedzicznego, jak kształt nosa i podły charakter, otrzymane w szczodrym darze po góralskim ojcu. Nie był to temat dociekań i roztrząsań, męskość rozumiała się sama przez się, definiowała się na piłkarskich boiskach. One od zawsze oddzielały ziarno od plew, mężczyzn od „niemężczyzn", którzy zamiast grać w nogę mogli na ławce rysować albo odrabiać zadania domowe, które następnie ci pierwsi, spoceni i pobudzeni 45-minutowym manifestowaniem swojej męskości przy pomocy piłki, odpisywali na parapetach. Męskość to coś, co się robi, a nie coś, o czym się gada, jak zauważyła Liz Plank w książce „Samiec alfa musi odejść".

Podział na sprawy męskie i „niemęskie" był podtrzymywany nie tylko przez kulturę, ale też relacje w domu. Jego utrzymaniem zajmował się nieobecny i niedostępny ojciec alkoholik prowadzący firmę budowlaną, a deficyty ciepła uzupełniała troskliwa i serdeczna matka. Wszyscy to znamy: bez powtarzania magicznego słowa, dom, razem ze szkołą i wszystkimi istniejącymi instytucjami, reprodukował schematy patriarchatu, który bell hooks zdefiniowała jako „system polityczno-społeczny oparty na niekwestionowanym przekonaniu, że mężczyźni są z natury dominujący, lepsi od wszystkich i wszystkiego, co »słabe«, przede wszystkim od kobiet".

*bell hooks* **GOTOWI NA ZMIANĘ. O MĘŻCZYZNACH, MĘSKOŚCI I MIŁOŚCI** *tłum. Magdalena Kunz, wyd. Krytyki Politycznej, Warszawa 2022*

*Liz Plank* **SAMIEC ALFA MUSI ODEJŚĆ. DLACZEGO PATRIARCHAT SZKODZI WSZYSTKIM** *tłum. Martyna Tomczak, wyd. Czarne, Wołowiec 2022*

Szkolna męskość opierała się nie tylko na poczuciu wyższości wobec słabszych, mniejszych, słabiej podciągających się na drążku kolegów, ale też na lęku przed dziewczyńskością: tylko ostentacyjnie różniąc się od tych delikatnych, wrażliwych i zawsze-przygotowanych-do-lekcji istot mogliśmy być prawdziwymi chłopcami. Ta odrębność, utajony, ale olbrzymi rozziew, mógł się w mgnieniu oka przemienić w gynofobię, od której już tylko krok do mizoginii.

To łatwa i często uczęszczana trasa, jak zauważa w swojej książce „Mizoginia" David D. Gilmore: „właściwie każda kultura przedindustrialna ma taki ostrzegawczy mit czy legendę, która opowiada o strasznej pannie posiadającej nadprzyrodzoną moc, z premedytacją tępiącej mężczyzn". Mogła to być Hydra, Chimera, Baba Jaga, a może ponadnaturalnie wyrośnięta dziewczyna z tylnej ławki, pisząca śmiałe liściki. Thomas Bernhard niemal we wszystkich powieściach oskarżał kobiety o męską niedolę, i sam nie wiem, jak do tego doszło, że w zachwycie nad jego prozą nie zostałem incelem.

Szkolne lektury promowały śmiertelny heroizm, więc jako dziecko wrażliwe i z bogatą wyobraźnią, nim dobrze zrozumiałem, za co, wiedziałem, że będę musiał umrzeć za ojczyznę. W pozostałych książkach chłopięcy świat obfitował w niesamowite przygody, z których dzielni bohaterowie, nieodmiennie radośni posiadacze siusiaków, zawsze wychodzili zwycięsko, a życie zdawało się nieustającą awanturą, wyprawą po złote runo i kryształową arkę, a nie żmudnym kolekcjonowaniem niepowodzeń i zusowskich składek.

Jak zwróciły uwagę autorki raportu o męskości i kobiecości w lekturach szkolnych, Ewelina Seklecka i Anna Walicka, niektóre z lektur „prezentują świat chłopców z wpisaną w niego niejako naturalnie agresją, niechęcią do nauki czy niezwykłą zaradnością, w tym zdolnością zdobywania pieniędzy i odnoszenia sukcesów finansowych. Bohaterowie są aktywni i buntujący się, co jest szczególnie widoczne w kontraście do biernych i »zdobywanych« bohaterek". Wizję prostego, nieprzesadnie zniuansowanego i gotowego do zdobywania świata podtrzymywali chociażby marvelowsko hipertroficzni bohaterowie Sienkiewicza

czy rzewny starzec Santiago z opowiadania Hemingwaya „Stary człowiek i morze”, powtarzający kluczowe mantry samca: „ból to głupstwo dla mężczyzny” i „umiej cierpieć jak mężczyzna”. Taką męskość poetka i eseistka Mary Kerr określiła jako „ograniczającą i męczącą”, pozostawiając w domyśle, że męczącą dla wszystkich.

Hasło „mężczyźni nie płaczą” wyrządziło wiele szkód, ale nie musiało zostać wypowiedziane wprost, żeby ranić. Wystarczyło latami obserwować skulonego nad puszką z piwem „Żywiec” zafrasowanego ojca, żeby zrozumieć, że przeznaczeniem mężczyzny jest cierpieć po cichu. Rebecca Solnit pisała, że „w patriarchacie milczenie obecne jest wszędzie, chociaż od mężczyzn wymaga się innych rodzajów milczenia niż od kobiet”, i dostrzegała istnienie całych połaci problemów, które mężczyźni przemilczają nie tylko przed innymi, ale także, a może przede wszystkim, przed sobą.

To milczenie jest nie tylko dziedziczne, ale też łatwe, niemniej to właśnie ono niszczy najbardziej: ojców, synów, ich związki i relacje. Świetnie to widać we wznowionym niedawno po polsku „Stonerze” Johna Williamsa, gdzie główny bohater, syn rolników, zostaje akademikiem i pomimo klasowej ucieczki w górę dziedziczy małomówność i emocjonalne wycofanie po ojcu, co uniemożliwia mu zbudowanie zdrowej relacji z żoną i córką. Zobaczyłem w nim siebie sprzed kilku lat, zanim nie zdałem sobie sprawy, jak milczenie niszczy mi życie.

Razem ze starszym o dziesięć lat bratem urodziliśmy się z wiedzą, że trzeba milczeć, została nam ona przekazana razem z językiem i słabymi zębami, co przypłaciliśmy podobną emocjonalną cofką, przy czym ja do perfekcji opanowałem wyrażanie domyślnej męskiej emocji, czyli złości. Wszyscy faceci, jakich obserwowałem, byli nieustannie rozeźleni, wymachiwali pięściami za kierownicami pojazdów, z byle powodu ryczeli, siali mniej lub bardziej jawny terror. Nie rozumiałem wtedy, na kogo i na co się złoszczą, nie wiedziałem jeszcze, że najbardziej są wściekli na siebie, ale zmyślnie powiązałem gniew z byciem mężczyzną, co doprowadziło mnie w znaną i akceptowalną przestrzeń alienacji, antyspołecznych zachowań i nieustannej złości. Nie wiedziałem, jakie jest jej źródło: badanie własnej tożsamości zdawało się conradowskim rejsem rzeką Kongo, u źródeł której cierpliwie czeka Praojciec w przebraniu Kurtza, obojętnie rozwiązujący krzyżówki, gotowy, żeby zlecić synowi „bojowe zadanie”, które zniszczy misternie zaplanowany słoneczny weekend.

Tymczasem najważniejszym bojowym zadaniem było nie stać się nim, zasępionym facetem bez zainteresowań, chowającym się z piwem w kotłowni i garażu, wiecznie cierpiącym na syndrom oblężonej twierdzy, szukającym dziury w całym, przeważnie nieobecnym. Jego złość zrozumiałem za późno, dopiero gdy po śmierci mamy po raz pierwszy zobaczyłem swojego dziadka ze strony ojca, i zdziwiony, że przez całe lata nie znałem jego twarzy, powiedziałem do ojca: „podobny, jednakowo źle wam z oczu patrzy”.

Mój ojciec był ofiarą jeszcze bardziej skrajnego, wiejskiego, powojennego i PGR-owskiego patriarchatu, w ramach którego wobec dzieci stosowało się zimny chów, traktowało się je jak element gospodarstwa, chociaż z większą czułością opowiadano o kozie, która odprowadzała babcię na przystanek i czekała na jej powrót, niż o harcach dziatwy. To było odkrycie, za późne i ostatecznie niewiele znaczące, ale w swojej naiwności wierzę nie tylko w to, że był dla nas lepszym ojcem niż jego ojciec dla niego, ale też że gdzieś na końcu tego ojcowsko-synowskiego łańcucha znajdzie się szczęśliwy chłopiec, który musi się zmagać tylko ze sobą, a nie z całym bagażem rodzinnych traum i przeskalowanej, archaicznej męskości. Że nie jest obciążony męskim milczeniem, że umie nie tylko słuchać, ale też słyszeć i mówić.

Świetnie rozumiałem zarzut Kafki wyrażony wobec jego ojca Hermanna w „Liście do ojca”: „niemożność nawiązania normalnego kontaktu miała jeszcze jedno, właściwie bardzo naturalne następstwo: oduczyłem się mówić”. Ja też wolałem milczeć, milczenie było męskie, rozgadanie kobiece, dzisiaj najbardziej komfortową formą komunikacji jest dla mnie spotkanie autorskie, kiedy wiem, że moim obowiązkiem jest mówić. Thoreau nazywał ten stan w „Walden” „cichą desperacją”, ja na swoje potrzeby przez lata – „pogodną rezygnacją”. Niepozbawioną jednak zupełnie nadziei – skoro bohater fundamentalnej dla mnie powieści „Świat ↦

Historia męskości T. 1
Od starożytności do oświecenia.
Wymyślanie męskości

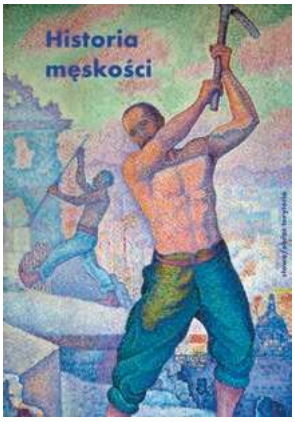


Historia męskości T. 2
XIX wiek.
Tryumf męskości

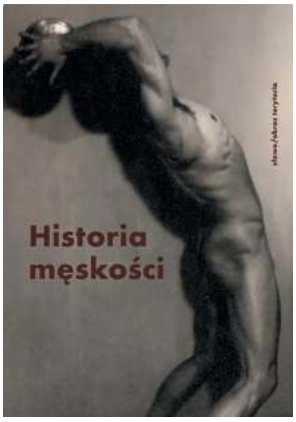


Historia męskości T. 3
XX–XXI wiek.
Męskość w kryzysie?

REKLAMA

słowo/obraz terytoria
www.terytoria.com.pl

według Garpa" Johna Irvinga wyszedł na ludzi, chociaż wychował się bez ojca, to i ja chciałem wierzyć, że są dla mnie szanse. Jeśli nie na napisanie powieści w Wiedniu, to na bycie znośnym, świadomym mężczyzną.

Do dzisiaj podziwiam tych, którzy gmach swojej męskości wznieśli na powieściach Londona, Dumasa czy Szklarskiego – często wydają się ludźmi z innego materiału, surowymi, lecz sprawiedliwymi jak bohaterowie książek, które zawczasu przeczytali. Dobrze wiedzą, czym jest męskość, nigdy nie mają wątpliwości, ich moralny kompas zawsze wskazuje północ, a za pazuchą noszą zaostrzony nóż. Surową lekcję literackiej męskości, czy raczej lekcję surowej literackiej męskości odrobiłem później, nie wiem, dlaczego ominęła mnie fala przygodowych klasyków – pamiętam za to lato, które z kuzynkami znad morza spędziłem na bawieniu się lalkami, co wydawało mi się czynnością o wiele bardziej kreatywną niż strzelanie. Różnica była taka, że po strzelaninie, nawet najkrwawszej, nie odczuwa się wstydu, a przecież „milczenie i wstyd są zaraźliwe", jak zauważała Solnit.

Lekcję męskości w zachodnim stylu odrabiałem nieświadomy tego, co robię, z Cormakiem McCarthym: jego wyrzutkowie byli dla mnie zbyt egzystencjalnie ulokowani, gdzieś na samym przecięciu życia i śmierci, realizmu i baśniowości, żeby traktować ich jak drogowskazy, zdawali mi się antywzorami, podobnie jak mój ojciec: za moim buntem nie szła kompletna utrata rozumu, więc stopniowo, chociaż niezupełnie świadomie, swoją męskość przestałem konstruować w oparciu o najbardziej dostępny wzorzec ojca, ale przeciwko niemu. Dostrzegłszy raz, jakim mężczyzną nie chcę się stać, robiłem wszystko na odwrót: kompulsywne czytanie i kupowanie książek miało być odpowiedzią na jego nieczytanie, ale może po prostu wdałem się w swoją matkę, która na wyczekaną książkę byłaby skłonna wydać ostatnie pieniądze, a następnie i tak by jej nie przeczytała.

McCarthy w „Krwawym południku" krytykuje oficjalną, zmitologizowaną historię amerykańskiej męskości i jej toksyczną narrację o dzikim Zachodzie, kwestionuje rozwój amerykańskiej tożsamości narodowej opartej na histerycznym i bezwzględnym podboju. Wtedy tego nie rozumiałem, ale dzisiaj mam poczucie, że on jako pierwszy dał mi do zrozumienia, że nietoksyczna męskość jest nie tylko możliwa, ale to jedyna męskość, która jest trwała. Wymaga jednak intensywnej pracy, która nigdy się nie kończy.

Dopiero całkiem niedawno zrozumiałem, dlaczego do dzisiaj nie zrobiłem prawa jazdy: wcale nie chodzi o to, że jestem leniwy, boję się automobili, nie umiem cofać czy jako wieloletni kawaler pracujący w kulturze nie mogę sobie pozwolić na jakże zbędną fanaberię własnych czterech kółek. Chodzi o coś zupełnie innego, podświadomy lęk, że może kiedyś zdarzyć się konieczność podwózki ojca, a dobrze pamiętam, co musiał przechodzić mój brat wiozący nas z wczasów w Chorwacji powodziowym latem 1997 roku, i jakie komentarze znosił, zanim zatrzymał auto w Nysie, wysiadł i poszedł przed siebie. A mama pobiegła za nim. Mój brat wyparł to wspomnienie, we mnie przez lata pozostawało mocno, podejrzanie wręcz żywe.

„Bardzo popularne jest przekonanie, że istnieje pewien ideał męskości, którego młodzi mężczyźni nie potrafią osiągnąć – świadomość tego niszczy ich poczucie własnej wartości" – komentuje życie chłopaków wspominana wcześniej bell hooks w kanonicznej książce „Gotowi

## Powrót klasyka i nowa Pine

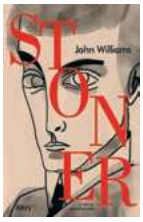


**WYDANEGO W NOWYM** przekładzie Macieja Stroińskiego „Stonera" Johna Williamsa (wyd. Filtry 2023) nazwano przez wzgląd na długą drogę do sławy „największą amerykańską powieścią, o której nigdy nie słyszeliście". Opublikowana w 1965 r. trzecia książka Williamsa o akademiku Williamie Stonerze mimo przychylnych recenzji sprzedała się marnie, ale zaliczyła spektakularny comeback niemal pół wieku później, po sukcesie francuskiego przekładu. Nic dziwnego: ta rozkosznie niedzisiejsza powieść o życiu „prostego profesora" amerykańskiej uczelni jest równie uniwersalna, co największe powieści XIX w., z którymi się ją zestawia. Niepozorny, chociaż niepozbawiony zrywów chłopskiego serca żywot akademika jest dla zmarłego w 1994 r. pisarza okazją do podjęcia fundamentalnych tematów. Z dystansu przygląda się, jak Stoner walczy o awans klasowy, miłość, pozycję zawodową, przekonania i sens własnego życia. A są te zmagania tak intensywne i niedzisiejsze, że aż piękne – za Stonerem przez całe życie, nawet kiedy nas irytuje, podążamy ze ściśniętym sercem.

**PROZATORSKI DEBIUT** Emilie Pine (tłum. Olga Dziedzic, wyd. Cyranka 2023) nie ma żadnych atutów jej progresywnego i wzruszającego zbioru esejów „O tym się nie mówi". Opowieść o nieoczekiwanym przecięciu się dróg tytułowych bohaterek, czterdziestotrzyletniej rozwodzącej się psychoterapeutki Ruth oraz będącej w spektrum szesnastoletniej Pen, zakochanej w koleżance Alice, zawężona do jednego dnia w Dublinie, jest ckliwym składem życiowych banałów, po których bohaterowie poruszają się ze słoniową gracją, w przeciwieństwie do równie zwykłych protagonistów powieści Sally Rooney, również włóczącej się z nimi po stolicy Irlandii. Pine ładuje w tę historię wszystkie najmodniejsze tematy sezonu i jednocześnie zdaje się wierzyć, że technika strumienia świadomości pozostaje idealnym narzędziem do pochwycenia wielogłosowej współczesności. W powieści pohukuje echo „Pani Dalloway", jednak tam, gdzie Woolf bezkompromisowo uderzała w największe natężenie społecznego systemu opresji, Pine poprzestaje na półśrodkach. Jest wrażliwa i empatyczna, ale ostatecznie jej koniunkturalna książka ma temperaturę ckliwego serialu nadawanego na kanale, o którego istnieniu dawno zapomnieliśmy.

© BARTOSZ SADULSKI

na zmianę” i dodaje: „lęk, że nie będzie umiało się osiągnąć odpowiedniego poziomu męskości, często wyraża się w formie gniewu”, podobnie zresztą jak bezowocne poszukiwanie więzi z ojcem. Gdybym przeczytał książkę hooks odpowiednio wcześniej, szybciej poluzowałbym sobie śrubę i zrozumiałbym lepiej własne usytuowanie i lęki. Może miałbym dla siebie więcej wyrozumiałości, może nie uznawałbym gniewu za coś oczywistego.

Na szczęście moja złość nie szukała towarzystwa, była raczej rozczarowana sobą, dlatego nigdy nie uwiodły mnie wykwity toksycznej męskości Henry’ego Millera i Charlesa Bukowskiego, który do dzisiaj pozostaje podstawą skryptów męskości odrzucających wszystko, co kobiece. Ta męskość wydawała mi się zbyt płytka i jednowymiarowa, zupełnie niepociągająca, do końca życia będę wspominał zawstydzenie, jakie mnie dotknęło, gdy nieznajoma dziewczyna na czwartym roku studiów podeszła do mnie i z onieśmielającą pewnością siebie obwieściła mi, że jestem samcem alfa. Nic o tym nie wiedziałem, ale mogłem się przecież domyślać: nawet najbliżsi koledzy nieustannie odczuwali potrzebę rywalizowania ze mną, chociaż mój gen rywalizacji pozostawał wygaszony niczym czarnobylski reaktor. Jednak w nieświadomy sposób nadal reprodukowałem toksyczne schematy, a za każdym razem, gdy widziałem w sobie ojca, wpadałem w jeszcze większą złość. O tej samonakręcającej się maszynie samopogardy pisał Kafka we wspomnianym już „Liście do ojca”: „Straciłem zaufanie do własnego działania. Byłem niestały, niepewny. Im byłem starszy, tym większy był materiał obciążający, który mogłeś mi przedstawić na dowód mojej bezwartościowości; stopniowo zacząłeś w pewnym sensie mieć naprawdę rację”.

Swoją męskość zbudowałem najpierw wychodząc ze strefy komfortu i robiąc rzeczy, których się bałem, albo z którymi wydawało mi się, że sobie nie poradzę. A na koniec pozwoliłem ojcu je podziwiać. Na pewien czas pomogło, ale nadal czegoś brakowało, ta sprytnie sklecona męskość wydawała się naskórkowa: zdecydowanie zbyt późno zdałem sobie sprawę, że mój lekturowy świat jest zbudowany przez mężczyzn. Zapytany o ulubionych pisarzy, mógłbym wymienić kilku na literę B, ale wśród nich nie znalazłaby się kobieta, może z przekory dodałbym Bowles albo Bachmann – w pewnym momencie, szalenie niekorzystnym dla mojej męskości, zdałem sobie sprawę, że nawet najbardziej empatyczna i subtelna męskość będzie niekompletna bez świadomego wglądu w to, jak wygląda życie kobiety.

Od zawsze moją nieufność budzili pisarze, którzy mieli osiągnąć mistrzostwo w portretowaniu kobiet, te wszystkie „henryjamesy”, które nie dawały żadnych kluczy do współczesności. Zacząłem czytać kobiety, masowo, zwłaszcza coraz popularniejsze eseistki, jak wspominane Solnit i hooks, Emilie Pine czy Maggie Nelson, zachwyciłem się cyklem Ali Smith i mistrzowskimi czytadłami Sally Rooney, i zdałem sobie sprawę, że prawdziwa męskość, taka, która jest mi w naturalny sposób najbliższa, jest czymś skierowanym do wewnątrz: nie jest nastawiona na podziw i uznanie, ale pozostaje świadomym byciem w świecie przepełnionym nierównością, niesprawiedliwością i przemocą wobec kobiet. Tylko wsłuchując się w ich głos i bez strachu rezygnując z własnego nadrzędnego prawa do wielopłaszczyznowej dominacji jest się najbardziej męskim.

W zasadzie nigdy nie lubiłem niczego, co wpisywało się w dominujący schemat męskości, a mężczyzn bałem się jeszcze bardziej niż kobiet. Zawaliłem jednak w życiu zbyt wiele, żeby nazwać się feministą, i widziałem zbyt wielu feministów poniżających swoje partnerki, żeby to miało dla mnie znaczenie: Liz Plank w przywołanej już książce „Samiec alfa musi odejść” przytacza historię feministy, który spanikował, gdy zobaczył, że jego pięcioletni synek trzyma bukiet dla dziadków. Ja codziennie staram się zasłużyć na to, żeby moja dziewczyna uważała mnie za męskiego feministę, który nie boi się bliskości, miłości, wzruszenia, może nawet ZUS-u. A prawo jazdy kiedyś zrobię, żeby zobaczyć dom Bernharda, tego kochanego mizogina. © BARTOSZ SADULSKI

Autor jest pisarzem i redaktorem, za debiutancką powieść „Rzeszot” otrzymał w 2022 roku Nagrodę im. Kościelskich. Sekretarz redakcji kwartalnika „Herito”, mieszka w Nowej Hucie.

REKLAMA

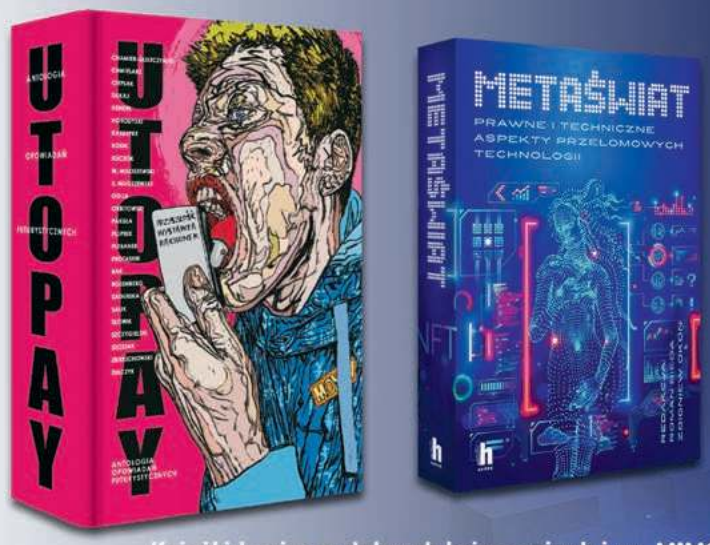


HARDE

Dla tych, co patrzą w przyszłość.

Książki kupisz w dobrych księgarniach i na VIVELO.pl lub 22 590 55 00. Dostępne również jako EBOOK

REKLAMA

# targi książki i mediów

18-21 maja

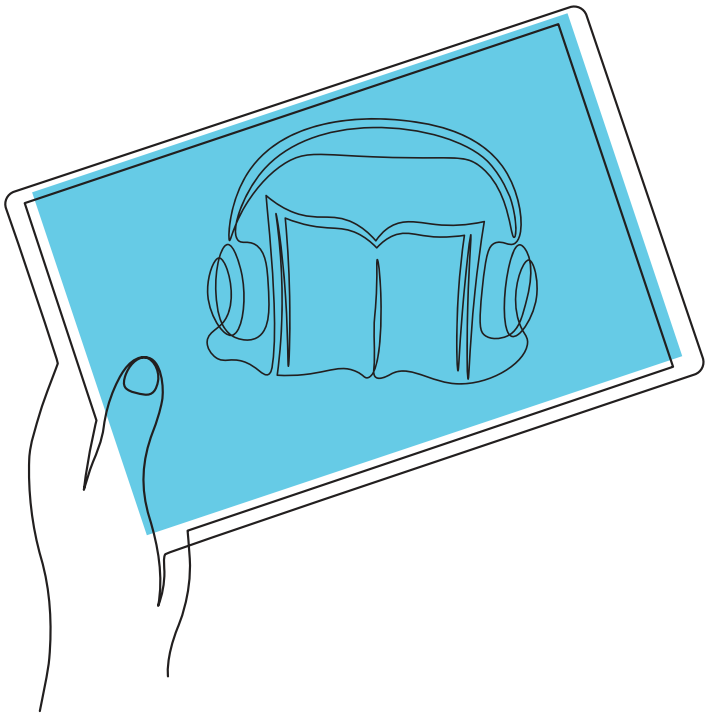

vivelo 2023

PGE NARODOWY

**Kup bilet na www.targivivelo.pl**

**#ŁączyNasKsiążka**

**Spotkajmy się na targach**

**Zapraszamy**

# Komiksy nie tylko dla smutnych chłopaków

DOMINIKA GRACZ-MOSKWA

**Najnowsze komiksy diagnozują źródła męskiego gniewu, pojawiającego się wraz z utratą przywilejów. Ale gniew nie jest jedynym sposobem opłakiwania kruszejącego patriarchatu.**

Młoda, bogata szlachcianka z włoskiego miasteczka wychodzi za mąż za człowieka, którego wybrał dla niej ojciec. Giovanni jest przystojny i pochodzi z szanowanego rodu. Biancę co nieco niepokoi nieznajomość przyszłego małżonka, ale znajduje na to sposób – głęboko skrywany, rodzinny sekret, jakim jest w pełni funkcjonalna... męska skóra.

Brzmi to dość tajemniczo, ale jest dokładnie tym, czym się wydaje – ludzką skórą, która pozwala na natychmiastową zmianę wyglądu. Przekazywana w rodzinie bohaterki z pokolenia na pokolenie, umożliwia kobietom podszywanie się pod przedstawicieli płci przeciwnej.

Bohaterka komiksu „Męska skóra" przywdziewa przebranie i jako Lorenzo poznaje nie tylko Giovanniego, także cały ukryty dotąd przed jej oczyma świat władzy i przywileju, ale też wygórowanych oczekiwań i wzorców. Oczyma Lorenza dziewczyna dostrzega nie tylko patriarchalne standardy – te zresztą znała doskonale z własnego doświadczenia oraz relacji bliskich jej kobiet – ale i szereg obwarowań, jakimi mężczyzna jest obarczany. Przed Giovannim stawia się szereg wymagań – musi być silny i sprawny, a przy tym odważny i skory do przemocy. Twardy i nieustępliwy, ale też prawy i, przynajmniej publicznie, wystarczająco bogobojny. A przede wszystkim – musi pożądać żony, aby spłodzić potomka, ale też innych kobiet, by uwidocznić temperament i instynkt zdobywcy.

Giovanni i inni mężczyźni, których Bianca poznaje w nowym dla niej świecie, są jednak niejednoznaczni. Bywają bojaźliwi i próżni, lubią niezobowiązujące zabawy, szukają prawdziwej miłości i co jakiś czas zdają się pytać samych siebie – kim właściwie jestem i czemu nie potrafię być takim, jakim chciałaby rodzina i społeczeństwo? Obok emancypacyjnego wątku Bianki autorzy tej opowieści, Hubert i Zanzim, prowadzą drugą historię – Giovanniego, a szerzej ujmując: historię męskości jako sztywnego gorsetu, który niesie ze sobą przywileje, ale potrafi też uwierać. ↦

MATERIAŁY PRASOWE

Strona z komiksu Huberta i Zanzima „Męska skóra"

MATERIAŁY PRASOWE

Kadry z komiksu Huberta i Zanzima „Męska skóra”

↦ Bohaterowie „Męskiej skóry” nie znikają pod warstwą tożsamościowych i społecznie zaangażowanych narracji – to raczej ich osobiste, autentyczne problemy stają się katalizatorami dla opowieści. W połączeniu z lekkim charakterem historii oraz sprawną, prostą kreską i płynnym prowadzeniem narracji otrzymujemy komiks zdecydowanie... przyjemny w odbiorze. I może tym większa szkoda, że tak duży potencjał nie został ostatecznie przekuty w coś ciekawszego.

Choć opowieść bazuje na zakwestionowaniu przez Biancę patriarchalnego porządku, to ostatecznie sama bohaterka staje się beneficjentką krytykowanego systemu. Dokonuje symbolicznej transformacji, przejmując kontrolę nad swoim życiem w sferze seksualnej, ekonomicznej, obyczajowej, ale wyłącznie w obrębie życia prywatnego. Publicznie zmuszona jest nieustannie nosić maskę przykładnej żony i obywatelki. W mieście co prawda dokonuje się swego rodzaju rewolucja, bo po silnej fali konserwatywnych, purytańskich zmian wyrzucony zostaje z niego religijny fanatyk, a zarazem brat bohaterki, wraz z gronem swych popleczników. A jednak ostatecznie wszystko wraca do punktu wyjścia. Mieszkańcy niewpisujący się w tradycyjne podziały płciowe oraz osoby wymykające się stereotypowym wizjom męskości nadal muszą żyć w ukryciu.

Mimo że Bianca przez cały czas trafia na przykłady niesprawiedliwości, dotykającej nie tylko ją, ale też innych (np. homoseksualnych mężczyzn), to ostatecznie zadowala się zmianą wyłącznie własnej pozycji. W finale pozostaje bogatą szlachcianką, której udało się rozszerzyć zakres swoich przywilejów o te, które do tej pory zarezerwowane były dla mężczyzn. Czy uznamy to za *happy end*?

Można powiedzieć, że taka rewolucyjna zmiana w świecie wykreowanym przez twórców komiksu wydawałaby się mało wiarygodna (czas i miejsce akcji przywodzą na myśl renesansowe Włochy). Można by także uznać, że rozbudowane dywagacje o potrzebie systemowych zmian nie pasują do charakteru samego komiksu, który jest w tym przypadku frywolną komedią, a nie socjologicznym studium. O ile jednak pierwszy argument zbić można łatwo – ostatecznie to baśń, w której możliwa do zaistnienia jest choćby tytułowa „męska skóra” – o tyle drugi argument otwiera pole do dyskusji.

Owszem, nie ma tu miejsca na dyskusję o pozycji kobiety w społeczeństwie czy o ewolucji męskości. Nie ma też miejsca na dywagacje o tym, jak emancypowanie się jednej grupy społecznej wytwarza lęki i agresywne zachowania innej, która, przynajmniej na pierwszy rzut oka, traci dotychczasowe przywileje. Ale jednocześnie – cała historia o tych właśnie problemach opowiada, tyle że w romantyczno-komediowym anturażu. To, czego autorzy nie potrafili zrobić, to zaprojektować finału w sposób wykraczający poza znane, bezpieczne schematy fabularne.

Komiks trafnie diagnozuje gniew pojawiający się u mężczyzn wraz z utratą przywilejów uznawanych przez nich za niezbywalne. Choć trudno twierdzić, że „Męska skóra” opowiada historię końca męskości, jaką znamy, to zawiera momenty, które wpisują się w dzisiejsze dyskusje o kresie jej tradycyjnej formy. Gniew i zaprzeczenie oraz idące za nimi często agresja i przemoc są jednymi z rozwiązań, po które sięgają mężczyźni w obliczu kryzysu.

■■■

Dokładnie taki sam kierunek mają działania bohaterów komiksu Jana Mazura „Incel”. Bohaterów, którzy w ramach zemsty na kobietach postanawiają nie tylko wysadzić budynek ośrodka adopcyjnego, ale także upozorować winę feministek. Z dialogów między postaciami wyłania się ogromny strach przed zmianą. Zmiana oznacza bowiem zniewieścienie („zacząłem zachowywać się jak baba”) oraz utratę „męskiej siły”. Czym ona jest? Z rozmów, jakie prowadzą bohaterowie, wnioskować można, że prawdziwa męskość to przede wszystkim... niebycie kobietą.

Ale gniew nie jest jedynym sposobem opłakiwania tradycyjnej męskości. Innymi emocjami, jakie towarzyszą mężczyznom mającym trudność w odnalezieniu się w nowej rzeczywistości, są smutek, rozgoryczenie i poczucie wyobcowania. A przynajmniej takie emocje znajdziemy w komiksach Macieja Pałki. Opublikowane w antologii „To nie jest czas na relaks” prace opatrzone są dopiskiem „komiksy dla smutnych chłopaków”. Jak sam Pałka pisze we wstępie, jego „protagonista to zwichrowany i cierpiący wrażliwiec, pod płaszczykiem absurdu i cynizmu przeżywający niezrozumiałe dramaty. Postaci kobiece zredukowane najwyżej do romantycznego pretekstu. Paradoksalnie, maskulinistyczny w każdym calu – chociaż anachronicznie trafniej pasuje określenie »incelski«”.

Tak jest w komiksie „Trolejbus do szczęścia”, w którym bohater żyje w systemie alienującym jednostki, zakazując im kontaktów między sobą, co ostatecznie doprowadza bohatera do stanu odrętwienia. Podobnie w komiksie „Brak”, w którym bohater próbuje odnaleźć dziewczynę poznaną na czacie –

*Hubert, Zanzim,* **MĘSKA SKÓRA,** *tłum. Olga Mysłowska, wyd. Kultura Gniewu, 2022*

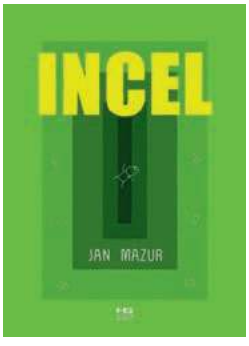


*Jan Mazur,* **INCEL,** *wyd. Kultura Gniewu, 2022*

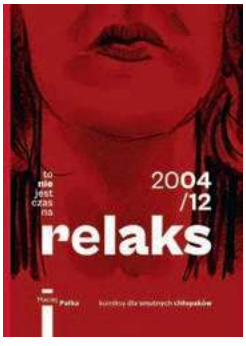


*Maciej Pałka,* **TO NIE JEST CZAS NA RELAKS,** *wyd. Granda, 2022*

ich spotkanie od samego początku nie ma prawa się odbyć. Najbardziej dramatyczny – i pełen brutalności – jest jednak „Toasterhead". Mimo absurdalnego zdawałoby się pomysłu (mężczyzna budzi się pewnego dnia z tosterem zamiast głowy), komiks opowiada o problemach jak najbardziej realnych: poczuciu odrzucenia i niezrozumienia, także przez najbliższych, braku pracy, niemożności zabrania głosu – albo poczuciu, że nie jest się słuchanym – i w końcu wybuchającej agresji i przemocy.

Gniewu jest w komiksach Pałki sporo – gniewu wyrastającego przede wszystkim na gruncie konkretnych oczekiwań kierowanych do „prawdziwego mężczyzny". Przykładem otwierający antologię komiks „Paronomazja", w którym główny bohater mierzy się z ogromnym pragnieniem zemsty, ale nie potrafi zdobyć się na żadne działanie wobec swojego oprawcy. Sporo tu także postaci stereotypowo wiązanych z siłą, jak chociażby detektyw rodem z filmu *noir*.

Ponieważ komiksy dotykają dziś ważnych społecznie tematów, także tych związanych z przemodelowaniem męskości i emocjami, jakie temu towarzyszą, będzie ich zapewne więcej. Czekamy.

© DOMINIKA GRACZ-MOSKWA

Autorka jest redaktorką magazynu „Zeszyty Komiksowe", regularnie recenzuje komiksy dla „Czasu Kultury". Jurorka konkursu na Najlepszy Polski Album Komiksowy podczas 32. i 33. Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi.

REKLAMA

JAK TO JEST ŻYĆ
W OBCYM CIELE?

KSIĄŻKA, KTÓRA PRZEŁAMUJE BARIERĘ NIEAKCEPTACJI I NIEZROZUMIENIA

PREMIERA 22.03

To nie tylko ważny temat, ale również świetnie napisana książka. To opowieść o ludziach, którzy chcą żyć w zgodzie ze sobą. Oraz o ich bliskich, którzy próbują odnaleźć się w nowej sytuacji. Wreszcie to obraz transfobii w naszym społeczeństwie i dyskryminacji tylko dlatego, że ktoś nie pasuje do ogólnie przyjętego wzorca. Wzruszająca i mocna lektura.

**Sylwia Chutnik**

Niezwykła siła książki Pauli Szewczyk tkwi nie tylko w jej świetnym warsztacie reporterskim, ale i w potencjale transformowania świadomości. Peleryny niewidki, które zarzucamy na osoby transpłciowe, w trakcie lektury spadają z prędkością światła.

**Przemek Staroń**

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

REKLAMA

# Opowieść o Jezusie, jakiej jeszcze nie było.

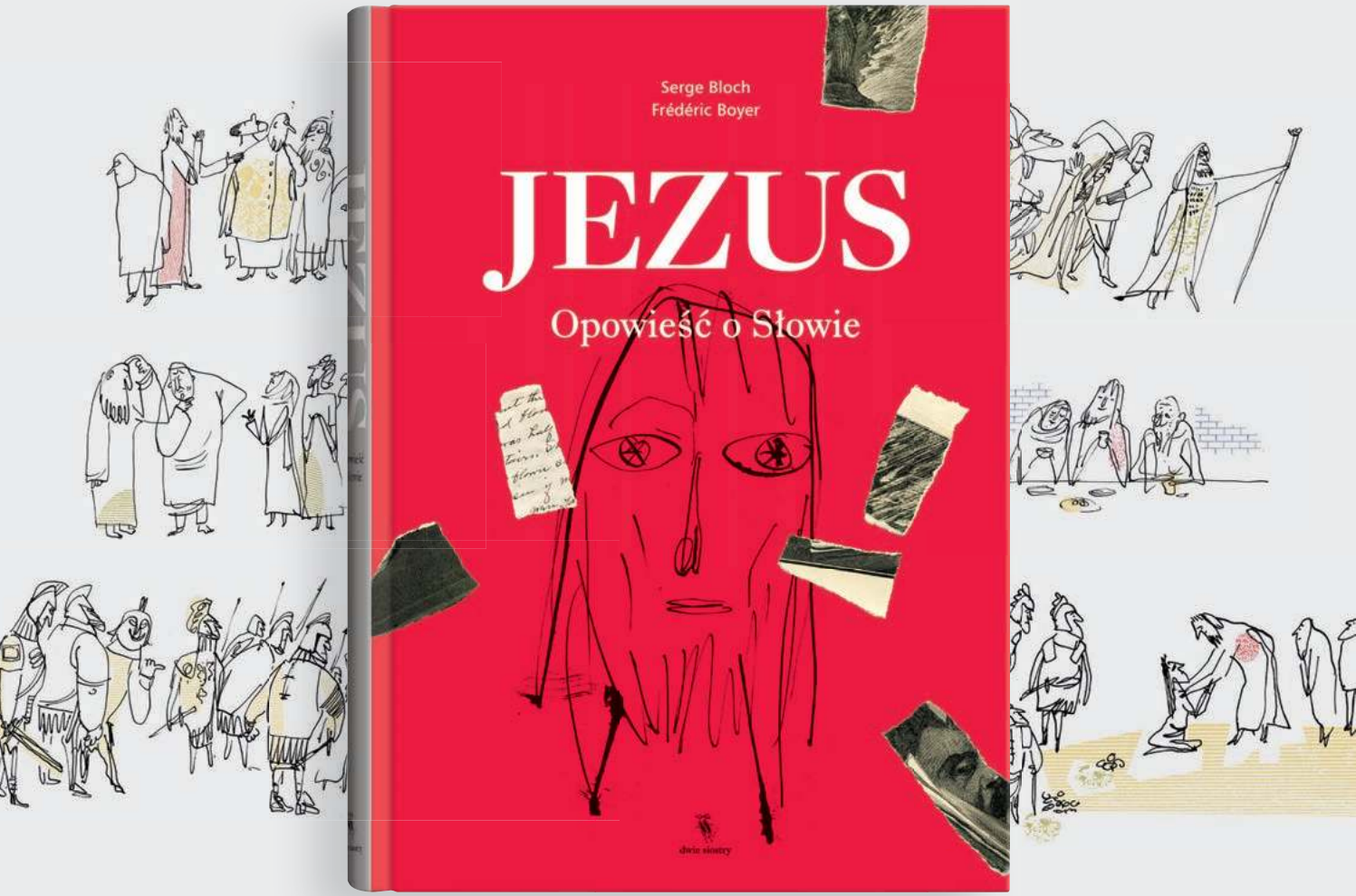


Wielka biblijna historia w nowatorskiej, literacko-graficznej formie.
Książka dla starszych i młodszych, laików i znawców Biblii.
W książce *Biblia. Wielkie opowieści Starego Testamentu* Frédéric Boyer i Serge Bloch opowiedzieli za pomocą słów i obrazów 35 starotestamentowych historii. Teraz sięgają do Nowego Testamentu.

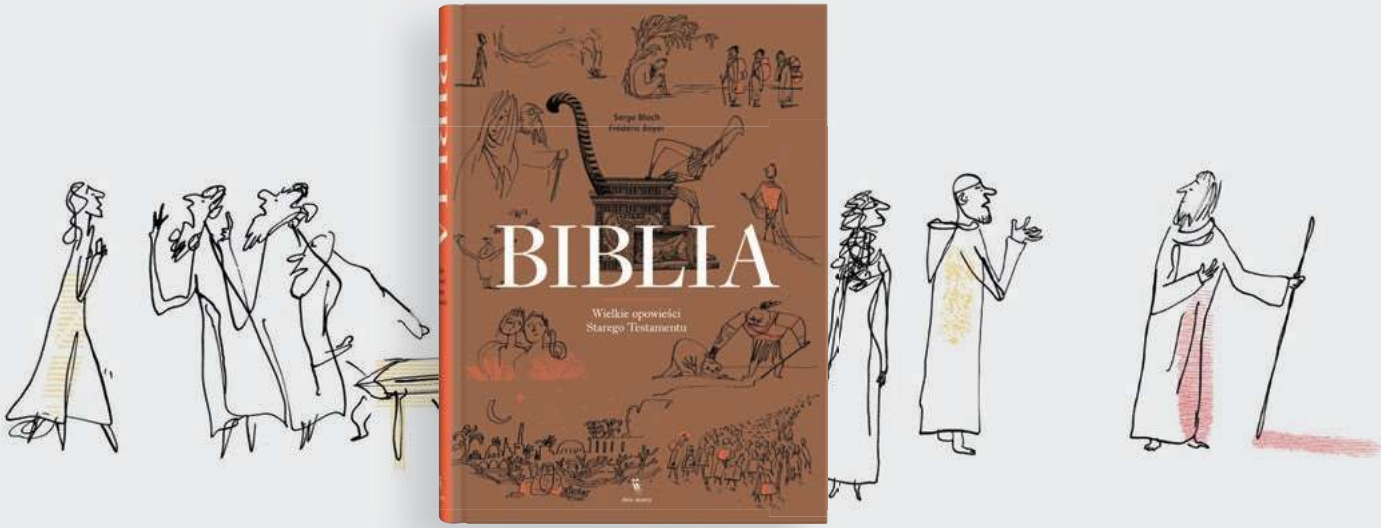


wydawnictwodwiesiostry.pl

# W zbliżeniu

MONIKA OCHĘDOWSKA

**To jedna z bardziej poruszających opowieści o miłości dwojga dojrzałych ludzi. Historia jej narodzin i przemian, upadków i wzlotów, a wreszcie nieuchronnego rozpadu, który przynosi śmierć.**

To są zawsze historie o cierpieniu. I mimo że już na okładce, w tytule albo pierwszych zdaniach zdradzają zakończenie, do końca lektury wierzymy – razem z narratorem lub narratorką – że odwleczemy ostateczne. Niełatwo przerwać czytanie, choć te historie zawsze stawiają jakiś opór i prowokują pytanie o to, gdzie leży granica intymności: w opisie scen uporczywych wymiotów, procedur związanych z wypróżnianiem, gdy w jelitach chorego tworzą się kamienie kałowe, obcowania ze stygnącym ciałem?

Maciej Jakubowiak, pisząc na łamach „Dwutygodnika" esej po śmierci swojej mamy, bez ogródek nazwał ten rodzaj, także własnych zapisków – szantażem. Podobne książki – dzienniki odchodzenia najbliższych – wydali niedawno Marek Bieńczyk, Mira Marcinów, Mateusz Pakuła, Marcin Wicha, Aleksandra Zbroja.

Zapiski dziennikarza „Wyborczej" Wojciecha Czuchnowskiego zebrane w książce pod tytułem „Dzbanek rozbity. Sceny z życia, choroby, śmierci i żałoby" otwiera informacja o chorobie żony Agnieszki. Fatalna diagnoza („czterocentymetrowy guz w piersi z przerzutami do

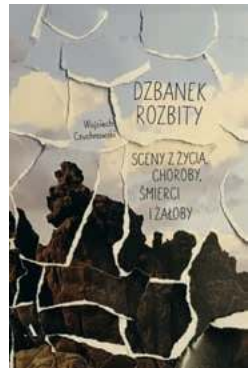


*Wojciech Czuchnowski* **DZBANEK ROZBITY. SCENY Z ŻYCIA, CHOROBY, ŚMIERCI I ŻAŁOBY** *Agora, Warszawa 2023*

węzłów chłonnych") uruchamia potrzebę zapisywania zdarzeń dzień po dniu, przywoływania wspólnej przeszłości, odtwarzania i opisywania tysięcy zdjęć i nagrań, relacjonowania powziętych planów, bliższych i dalszych wycieczek, spacerów po Krakowie i Warszawie, wreszcie ostatnich – a więc najważniejszych – lektur, urodzin i świąt.

Dlaczego razem z wdzieraniem się nagle w nasze życie śmierci uruchamia się tak kompulsywna potrzeba opowieści? Nie wiem, Elias Canetti próbie odpowiedzi na to pytanie poświęcił całe życie, do ostatnich dni układając „Księgę przeciwko śmierci". „Pisanie pomogło mi przeżyć", przyznaje Czuchnowski, który na stronach dziennika rozważa także plan odejścia razem z żoną. Ale na czym właściwie polega ten narracyjny ratunek?

Dzieląc się z czytelniczkami i czytelnikami wspomnieniem o umieraniu swojej mamy Jakubowiak zastosował chwyt, który ujawnił, a jednocześnie w pewien sposób wyczerpał konwencję dzienników żałobnych – poszczególne fazy towarzyszenia chorej, a potem żałoby po jej śmierci, opowiadał prawie wyłącznie za pomocą innych tekstów, korzystając z cytatów zaczerpniętych z książek tych mężczyzn, którzy zapisywali odchodzenie swoich bliskich dawno temu albo tuż przed nim. Niedowierzanie, nadzieję, rozpacz, gniew, wyparcie, zwątpienie, ale też nieporadność, zniecierpliwienie, nudę – czy nam się to podoba, czy nie – wszystko to znaleźć można w setkach innych książek, które dokładnie oddadzą to właśnie, co czujemy w związku ze śmiertelną chorobą bliskich. Ale – paradoksalnie – być może ta stereotypowość, powtarzalność i wtórność są pocieszające, dają trwały ↦

TP

Podkast Tygodnika Powszechnego

WOJCIECH BONOWICZ • KRYSTYNA DĄBROWSKA • SABINA JAKUBOWSKA • ŁUKASZ ORBITOWSKI
PIOTR SIEMION • WIT SZOSTAK, a także inni pisarze i pisarki odwiedzili nasze studio podkastowe.

Posłuchaj rozmów na tygodnikpowszechny.pl/podkast
albo w swojej ulubionej aplikacji

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ i pewny punkt oparcia, układają rzeczywistość. Sklejają rozbite życie w „coś”.

W co? No właśnie, konwencjonalna jest tu nawet forma – krótkie wpisy, małe rozdzialiki, rytm pisania wyznaczany przez rytm choroby (remisja, nawrót, diagnostyka, karmienie, wożenie, smarowanie, przewijanie, szpital, dom). Inny będzie jedynie kadr, w którym widzimy siebie i cierpiącego. U Czuchnowskiego ten kadr jest zaskakująco bliski, nie przedzierają się do tej opowieści właściwie żadne historie i emocje osób trzecich. Są oczywiście krewni, lekarze, przyjaciele – ale pozostają w tle. Wszystko, co najważniejsze, dzieje się w duecie z Agnieszką. W tym sensie „Dzbanek rozbity” to bardzo poruszająca opowieść o bliskiej, romantycznej relacji dwojga dojrzałych ludzi. Opowieść o narodzinach i rozkwicie miłości, nieodłącznych kryzysach czy nawet epizodach zdrady i odchodzenia od siebie, ale też wiernym i czułym towarzyszeniu w najbardziej intymnych, trudnych chwilach choroby. Wreszcie – o nieuchronnym końcu.

Nie bez powodu odwołuje się Czuchnowski w swojej książce do „Tataraku” Andrzeja Wajdy, w którym Krystyna Janda – odtwórczyni głównej roli – opowiada, jak podczas zdjęć do filmu umierał na raka jej mąż, Edward Kłosiński. Wyznanie autora „Dzbanka...” ma podobną wagę. Przejmująca jest opowieść o ostatnich dniach życia Agnieszki, podczas których on wiezie ją, leżącą już, bardzo słabą, camperem do Włoch, by ostatnim widokiem żony były sycylijskie plaże. Auto prawie wjeżdża do morza, widzimy otwarte na oścież tylne drzwi. Wierzymy, że Agnieszka czuje ulubiony zapach wakacji.

Świat oczywiście uparcie się broni przed umieraniem, nie chce się kończyć, zawsze jest jakieś po – upały, jedzenie lodów, telefony, formalności, wybieranie garderoby na stypę, porządkowanie rzeczy, a wreszcie – czytane w gazetach recenzje tego, co napisaliśmy, choć wiemy przecież, że opowieść o umieraniu żony to szantaż. „Po” jest po prostu cała ta historia – historia o cierpieniu.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNEREM WYDANIA JEST STOWARZYSZENIE AUTORÓW ZAIKS

zaiks sprzyjamy wyobraźni

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 13/2023
REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron
SKŁAD: Andrzej Leśniak
OKŁADKA: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / Do Lasu

Dołącz do naszej grupy na Facebooku i Instagramie @ksiazkiwtygodniku

REKLAMA

WYDAWNICTWO ALBATROS empik salony / online / aplikacja

# Płynny pisarz

GRZEGORZ JANKOWICZ

**Bohaterowie Roberta Walsera fantazjują o byciu kimś innym, raz zbliżając się do bieguna męskości, innym razem do bieguna żeńskości, ostatecznie nie znajdując dla siebie miejsca po żadnej ze stron.**

Robert Walser jest najruchliwszym spośród europejskich pisarzy pierwszej połowy XX wieku. Nie tylko dlatego, że tak bardzo lubił spacerować po szlakach rodzinnej Szwajcarii (niektórzy dopatrywali się w jego skłonności do wędrowania oznak poriomanii, czyli chorobliwego popędu do włóczęgi), ale także dlatego, że jego teksty – wiersze, opowiadania, powieści i felietony – opowiadają o ruchu. Więcej: czytając je, mamy wrażenie, że słowa pędzą po kartce, skaczą z jednego zdania do drugiego, znikają nam z oczu, by po chwili powrócić w towarzystwie wyrazów, z którymi nigdy nie powinny się spotkać.

Największym marzeniem Walsera – tak egzystencjalnym, jak i pisarskim – było połączenie się wszystkimi zmysłami (do których osobliwie zaliczał również umysł) z teraźniejszą chwilą. Niezwykle trudne zadanie, gdyż często z różnych powodów odrywamy się od teraźniejszości po to, by albo roztrząsać przeszłe zdarzenia, albo antycypować przyszłość. Wspaniale pisał o tym Kierkegaard w krótkim eseju pt. „Jak wioślarz w łodzi". Filozof zaleca w nim, by wyrzec się wszelkiej myśli, która nie jest związana z obecnym dniem, i przyjąć postawę wioślarza całkowicie skoncentrowanego na wiosłowaniu. Walser doceniłby metaforę Kierkegaarda, niemniej uznałby, że w realizacji wspomnianego postulatu wiara – tak ważna dla Duńczyka – nie może nam pomóc. W każdym razie jemu do niczego nie mogła się przydać, gdyż momentalność przeżycia, które staje się naszym udziałem, gdy zanurzamy się w „teraz", postrzegał jako coś pożądanego. Nie odczuwał przygnębienia z powodu skończoności ludzkiej egzystencji, dla której – jak uważał – religijna obietnica wieczności ma być pokrzepiającą (ale przecież bałamutną) przeciwwagą. Walser chciał wieść życie, które prędzej czy później znajdzie swój kres, gdyż dzięki nieuchronności śmierci doświadczenie chwili stawało się dla niego upojniejsze. Nie zwracał się w stronę przeszłości, nie wybiegał też w przyszłość, rozgaszczał się w chwili. Siebie wypełniał teraźniejszością, teraźniejszość zaś sobą. Chłonął zdarzenia, dźwięki, odczucia, kolory, ludzi, zapachy, słowa... A następnie próbował – błyskawicznym gestem pisarskim – oddać to, co zyskał. Tekst był rodzajem daru poświadczającego wzajemność doświadczenia. Był to ze strony Walsera akt tyleż artystyczny, ile etyczny, dlatego w jego przeświadczeniu skończona proza nie podlegała ocenie literackiej.

Ciekawie pisze o tym Łukasz Musiał w książce „Rojber. Występki Walsera". Poznański germanista zwraca uwagę na fakt, że osobliwy styl Walsera i fragmentaryczna struktura jego tekstów nie były atakiem na ideę dzieła jako takiego, chyba że przez to ostatnie będziemy rozumieć modelowy twór literatury modernistycznej z jego formalnym wyrafinowaniem. Nie jest

*Łukasz Musiał*
**ROJBER. WYSTĘPKI WALSERA**
*officyna, Łódź 2023*

to jedyna koncepcja, którą dysponujemy. Musiał porównuje strukturę krótkich tekstów Walsera do fugi, argumentując, że dzięki niej pisarz mógł zawalczyć o „wyższy porządek harmoniczny" i „równowagę świata tekstowego w jego nieograniczonej ekspansji". Cała ta oszałamiająca różnorodność tonacji, którą słychać w języku Walsera, wszystkie przebiegi myśli, obfitość wrażeń i wątków – wszystko to łączy się ze sobą na wyższym poziomie, na który nie wstąpimy, póki będziemy do literatury szwajcarskiego pisarza przykładać tradycyjne kategorie. Zgadzam się z Musiałem, że trzeba analizować i interpretować twórczość Walsera za pomocą nowych instrumentów i pojęć, ale uważam, że nigdy nie szukał on „wyższego porządku harmonicznego". Nie szukał, gdyż to, co działo się wokół niego, było wystarczająco zajmujące. Mówiąc jeszcze inaczej: Walser nie próbował wyskoczyć z rzeczywistości w stronę jakkolwiek rozumianej transcendencji, tak jak nie starał się opuścić teraźniejszości. Jeśli się tak działo, to nie na skutek jego celowych starań, lecz dlatego, że coś przeszkodziło mu w radosnym dryfowaniu, coś go zatrzymało i zmusiło do postawienia kropki.

Twórczość Walsera nie jest wyrazem ukrytej a nadrzędnej harmonii, gdyż w świecie, z którym próbuje się ona pojednać, takiej harmonii po prostu nie ma. I jakkolwiek wydaje się to absurdalne, pisarz wcale się tym nie przejmuje. Martwi go raczej to, że zbyt często podejmujemy próby uporządkowania rzeczywistości, że wtłaczamy ją w granice, których nie uznaje żadna cząsteczka składająca się na materię świata. Nie wiem, czy ktoś próbował już zestawić teksty Walsera z „De rerum natura" Lukrecjusza, ale wydaje mi się, że tych dwóch ucieszyłoby się ze swojego towarzystwa i zbieżności epikurejskich poglądów. U obu czytamy o chaotycznym ruchu i połączeniach między rzeczami (a także słowami, które są tu bytami materialnymi, ↦

↦ a nie intelektualnymi), o ciągłej fluktuacji życia, której nie należy powstrzymywać, o nieokreślonym charakterze przyszłości, której nie da się przewidzieć, dlatego lepiej skoncentrować się na teraźniejszości, o nieobecności wielkiego planu stworzenia, które rozwija się w nieskończoność bez żadnej kontroli, o radości, której źródłem może być najzwyklejsze doznanie, o przechodniości cierpienia, o równości wszystkich istnień, o błahości śmierci i wadze byle cząsteczki, która może trwać dłużej niż my. Uczestnictwo w tym przepływie atomów nie jest kwestią wyboru, lecz wynika – o czym permanentnie zapominamy – z naszej ziemskiej kondycji.

Pewne dzieła powstają z takiego właśnie zapomnienia. Inne – do tej grupy należy zaliczyć teksty Walsera – są świadectwem współuczestnictwa w procesach rozmaicie rozumianej natury (pisarza interesowało wszystko: zarówno śpiew ptaków, jak i fizjologia człowieka, emocje przeżywane przez zazdrośnika, jak i pęd wiatru, który podrywa liście przyszpilone jesiennym deszczem do ławek w parku). Jak wspomniałem, nie zawsze udaje się żyć i tworzyć w ten sposób. Według Walsera najbardziej przeszkadzają w tym procesy cywilizacyjne, a zwłaszcza jeden postulat, który jest fundamentem filozofii postępu: postulat synchronizacji. W czasach, w których Walser tworzył najwięcej, czyli na początku XX w., największym propagatorem tej idei był austriacki filozof architektury i architekt Adolf Loos. W słynnym manifeście „Ornament i zbrodnia" wezwał współczesnych do odrzucenia wszelkiej ornamentyki, która jest emanacją regresywnych popędów odciągających ludzkość od tego, co ważne: prawdy, czystości i moralnego rozwoju. Według Loosa największy problem, z jakim musi zmierzyć się ludzkość, to współwystępowanie obok siebie form życia pochodzących z różnych okresów historycznych. Niektórzy – przekonywał architekt – żyją tak, jakby urodzili się w wieku XVIII, a nawet wcześniej. Osiągnięcia nowoczesności w ogóle do nich nie docierają. Nieświadomie powstrzymują zmiany, które są niezbędne, by nowoczesne społeczeństwa przezwyciężyły trapiące je problemy. Dlatego wszyscy powinni się zsynchronizować z teraźniejszością rozumianą jako określony moment cywilizacyjnego procesu, w którym człowiek osiąga najwyższy punkt intelektualnego i społecznego zaawansowania.

Po raz pierwszy Loos zaprezentował swój manifest w 1909 r. w berlińskiej galerii Paula Cassirera, w której dwa lata wcześniej pracował Robert Walser. Książki tego ostatniego ukazywały się podówczas w wydawnictwie Bruno Cassirera, kuzyna Paula. W 1909 r. wyszła powieść „Jakob von Gunten". Robert był wtedy w Berlinie, więc mógł wysłuchać wykładu Loosa. Jeśli rzeczywiście stawił się w galerii, to jego pierwsza myśl mogła być następująca: oto postęp gorszy niż regres. Walser nie miał duszy aktywisty, nie był zdolny do prowadzenia politycznej walki, ale z uwagą przesłanianą teatralnym rozkojarzeniem przyglądał się temu, co działo się na scenie społecznej jego czasów. Marzenie o życiu w czasie teraźniejszym nie miało nic wspólnego z postulatem syn-

REKLAMA

chronizacji, gdyż nastawione było na celebrację wielu różnych form życia, a nie tylko jednego – „czystego" – modelu egzystencji. W tekstach Walsera aż roi się od ornamentów, gdyż arabeskowy styl doskonale współgrał z wielokształtnym światem wokół niego i w nim. Tak jak płynna jest materia rzeczywistości, jak płynny jest język, który uczestniczy wraz z nią w procesie przemiany, tak płynna jest również tożsamość człowieka, o której Walser nigdy nie chciał mówić w liczbie pojedynczej. Właśnie dlatego Simon Tanner z powieści „Rodzeństwo Tanner" tak często zmienia posady, dlatego tajemniczy bohater ostatniej (wydanej pośmiertnie) powieści Walsera pt. „Zbój" fantazjuje o byciu kimś innym, raz zbliżając się do bieguna męskości, innym razem do bieguna żeńskości, ostatecznie nie znajdując dla siebie miejsca po żadnej ze stron. Przykłady można by mnożyć, a każdy z nich potwierdzałby rozpoznanie, że płynność jest dla Walsera stanem pierwotnym. Niestety, społeczeństwo stawia na binarne struktury, za pomocą których pozbywa się wszystkiego, co jawi się jako inne.

Walserowi było dane wielokrotnie się o tym przekonać. Pod wpływem przykrych doświadczeń doszedł do wniosku, że musi to napięcie, te społeczne antynomie wprowadzić do swojej twórczości. Dlatego wspomniany „Zbój" jest m.in. opowieścią o społecznych przygodach istnienia, które tak długo wymyka się z wnyków maszyny służącej do synchronizacji, jak długo starcza mu sił.

Walser zapisał „Zbója" ołówkiem, stawiając na kartce mikroskopijne litery. O tej jego metodzie pisarskiej powiedziano już wiele, także to, że była potrzebna człowiekowi, który od pewnego momentu nie chciał z nikim dzielić się swoimi myślami. Nie udało mu się. Teksty mikrogramiczne zostały odcyfrowane i wydane. Kilka lat temu na Festiwalu Conrada zorganizowałem wystawę poświęconą Walserowi. Jej częścią były puzzle przedstawiające powiększony mikrogram. Firmę, która przygotowywała na tę ekspozycję obiekty wizualne, poprosiłem o naniesienie na powierzchnię mikrogramu zdania „*Noli me tangere*" („Nie dotykaj mnie") – to słowa, które według Ewangelii Jana wypowiedział zmartwychwstały Chrystus do Marii Magdaleny, ale także nazwa rośliny – niecierpka pospolitego (gdy dotknie się jego dojrzałych owoców, pękają i na wszystkie strony wyrzucają nasionka). Zależało mi na tym, by osoby, które będą układać puzzle, zrozumiały, że czytanie niektórych tekstów Walsera odbywa się wbrew jego woli, że przekraczamy w ten sposób pewną granicę, a zarazem – jako ludzie kochający literaturę – nie możemy inaczej, podając jej nasiona dalej. Wspaniała publiczność Conrada przejrzała moją grę: ktoś zabrał dwa elementy puzzli, dzięki czemu układanka nie została dopełniona, proces nie został zakończony.

Jestem pewien, że te dwie szczeliny wystarczyłyby pisarzowi, by wymknąć się nam niepostrzeżenie.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

REKLAMA

Wojciech Czuchnowski napisał tę ważną i odważną opowieść dla wielu z nas i za wielu z nas.

MAREK BIEŃCZYK

„Dzbanek rozbity" – ale zostawia nas z nową wiarą w przyjaźń i dobroć ludzi. Po prostu, ludzi.

EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA

Nie wiem, czy kiedykolwiek czytałem tak przejmujące, poruszające i osobiste zwierzenie.

BOGDAN DE BARBARO

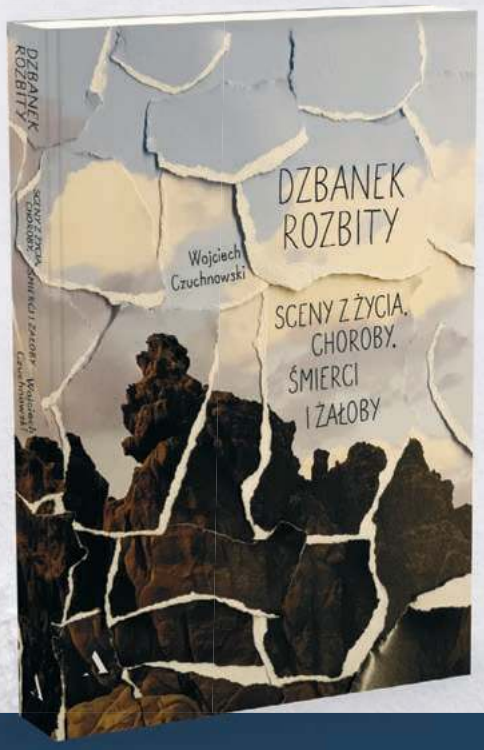


Wydawnictwo Agora

Znany dziennikarz i publicysta w intymnym pamiętniku o odchodzeniu swojej żony prowadzi nas przez stadia miłości, kryzysów związku, choroby i śmierci z wnikliwą precyzją i bez znieczulenia. Ta przejmująca opowieść jest w równym stopniu bolesna, co niosąca nadzieję.

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

# Prawda nie obroni się sama. Przekaż wsparcie naprawdę

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

**Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".**

**» KRS 0000 125 605**

OGŁOSZENIE OPP

# NAGRODA TRANSLATORSKA IM. T. BOYA-ŻELEŃSKIEGO

EDYCJA 2023

ODNALEZIONE W TŁUMACZENIU

GDAŃSKIE SPOTKANIA LITERACKIE

20—22.04. 2023

NOMINACJE W KATEGORII:
**PRZEKŁAD KSIĄŻKI WYDANEJ W LATACH 2021–2022**

**René Koelblen i Stanisław Waszak**
za przekład z jęz. francuskiego książki
***Zniknięcia* Georges'a Pereca**
(Lokator 2022)

**Krzysztof Majer**
za przekład z jęz. angielskiego książki
***Kochanka Wittgensteina***
**Davida Marksona**
(Państwowy Instytut Wydawniczy 2022)

**Kamil Pecela**
za przekład z jęz. litewskiego książki
***Silva rerum IV***
**Kristiny Sabaliauskaitė**
(Wydawnictwo Literackie 2022)

**Sebastian Musielak**
za przekład z jęz. fińskiego książki
***Polowanie na małego szczupaka***
**Juhaniego Karili**
(Marpress 2021)

**Anna Sawicka**
za przekład z jęz. katalońskiego książki
***Diamentowy plac***
**Mercè Rodoredy**
(Marginesy 2022)

**Tomasz Swoboda**
za przekład z jęz. francuskiego książki
***Sodoma i Gomora***
**Marcela Prousta**
(Officyna 2022)

**Aga Zano**
za przekład z jęz. angielskiego książki
***Dziewczyna, kobieta, inna***
**Bernardine Evaristo**
(Wydawnictwo Poznańskie 2021)

Laureata lub laureatkę Nagrody poznamy 21 kwietnia 2023 r. podczas Gdańskich Spotkań Literackich Odnalezione w tłumaczeniu.

Organizatorzy

GDAŃSK

NAGRODA PREZYDENTA MIASTA GDAŃSKA ZA TWÓRCZOŚĆ TRANSLATORSKĄ im. TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO

instytut kultury miejskiej

Partnerzy

GDAŃSK MIASTO LITERATURY

Ambasáid na hÉireann | An Pholainn
Embassy of Ireland | Poland
Ambasada Irlandii | Polska

Centrum Mieroszewskiego

VERSOPOLIS

With the support of the Creative Europe Programme of the European Union

ECS europejskie centrum solidarności

CZESKIE CENTRUM WARSZAWA

STOWARZYSZENIE TŁUMACZY LITERATURY

Nadbałtyckie Centrum Kultury Gdańsk

Instytucja Kultury Samorządu Województwa Pomorskiego

AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH W GDAŃSKU

REKLAMA

NAUKA

# ODWAŻNY JAK MUCHA

Pojęcie osobowości zwierząt na dobre zadomowiło się już w nauce. I dotyczy ono nie tylko gatunków najbardziej do nas podobnych albo tych żyjących z nami pod jednym dachem.

KATARZYNA DZIADOWICZ

Kawałki niebieskiej gumy rozrzucone po arenie są zwykle interesujące – ale część kowali bezskrzydłych, niewielkich pluskwiaków, raczej trzyma się od nich z daleka.

Bassy niebieskie to ryby, które mogą żyć na otwartej wodzie, jak i w płytszej, lepiej oświetlonej strefie przybrzeżnej o mniej regularnym kształcie podłoża – ale większość jest konsekwentna w wyborze jednego siedliska.

Spośród szczurów umieszczonych w częściowo otwartym, a częściowo zakrytym labiryncie niektóre będą eksplorowały potencjalnie bardziej niebezpieczny teren, a inne zawsze będą bardziej skłonne do pozostawania w ukryciu.

Kiedy do kojca świń trafi obcy osobnik, to nie wszystkie od razu będą próbowały z nim walczyć – będą i takie, które spokojnie poczekają na rozwój wydarzeń.

Ludzie różnią się osobowością – to wiemy. Znamy też zwierzęta domowe strachliwe albo śmiałe, towarzyskie i samotnicze. Ale czy osobowość jest ogólną cechą zwierząt, potencjalnie wszystkich?

### Zawsze to samo

Zdaniem wielu naukowców z perspektywy teorii ewolucji najkorzystniej byłoby, gdyby każdy osobnik potrafił zachowywać się w jak najbardziej różnorodny sposób, np. czasem odważnie, a czasem ostrożnie. Posiadanie osobowości to ograniczenie! Jeżeli lew jest odważny niezależnie od stopnia ryzyka, to może nie mieć wielu okazji, by się popisać, zanim brawura go zgubi. Jeżeli zaś ma tendencję do siedzenia w ukryciu – nie podejmie eksploracji także wtedy, gdy miałby szanse na zdobycie zasobów. Mogłoby się więc wydawać, że najmądrzej byłoby panować nad swoimi skłonnościami.

W ciągu ostatnich lat coraz więcej badań pokazuje jednak, że zwierzęta rozmaitych gatunków, od owadów i pajęczaków, aż po ptaki i ssaki, mają tendencję do zachowywania się w pewien określony sposób – względnie stały w dłuższej perspektywie czasu i w różnych kontekstach środowiskowych. Na tej podstawie definiuje się w nauce zwierzęce osobowości.

Jako podstawowe wymiary osobowości u zwierząt innych niż ludzie najczęściej wymienia się: śmiałość, towarzyskość, agresję, ruchliwość i skłonność do eksploracji. Aby móc przypisać poszczególnym osobnikom jakąś cechę, badacze wymyślają różne testy – uznają np., że to, czy owady podchodzą do nietypowego obiektu, jest przejawem ich odwagi albo skłonności do eksploracji.

O tym, jaką dane zwierzę ma osobowość, przynajmniej po części powinny decydować geny. Można by więc przypuszczać, że w populacjach ostoją się tylko te osobowości, które są najbardziej praktyczne w danym środowisku – a wszystkie inne zostaną z czasem wyeliminowane. Skoro jednak obserwujemy u zwierząt duże zróżnicowanie w zachowaniu, to znaczy, że w środowisku musi być miejsce dla wielu typów osobowości.

TUI DE ROY / BE&W

*Walka legwanów morskich na wyspach Galapagos*

Wyobraźmy sobie, że w pewnej grupie, np. ludzi, kotów albo pająków, tylko dwa typy osobników. Pierwszy nazwijmy „gołębiami", drugi – „jastrzębiami". „Jastrzębie" zawsze raźno stają do walki – prawdopodobnie są też są większe niż „gołębie", więc zawsze z nimi wygrywają, ale kiedy walczą między sobą, mają tylko połowiczne szanse na zysk – równie prawdopodobne jest to, że przegrają i ucierpią w starciu. Gołębie natomiast, kiedy tylko mogą, unikają potyczek. Nigdy nie wygrywają, ale też nie ryzykują ciężkich ran. Dzięki czemu długofalowo ich strategia także może prowadzić do nagrody, mierzonej liczbą spłodzonego potomstwa.

### Historia mojego życia

To rozumowanie zaczerpnięte z teorii gier, dziedziny skupiającej się na tworzeniu matematycznych modeli interakcji pomiędzy racjonalnymi podmiotami. Max Wolf – jeden z pionierów badań nad osobowością zwierząt – i jego współpracownicy wykorzystali podobny model zachowania, aby sprawdzić, czy w jakimś fikcyjnym gatunku pozostaną przy życiu tylko osobniki o jednym typie osobowości. Przyjęli założenie, że odważne osobniki będą śmielej eksplorować otoczenie i szybko zgromadzą zasoby niezbędne do reprodukcji, ale jednocześnie ich ryzyko śmierci będzie wyższe. Nieśmiali będą tymczasem spokojnie przeszukiwać teren: na początku ich szanse na reprodukcje będą niskie, ale z czasem będą czerpać korzyści z unikania walki.

Okazało się, że w kolejnych krokach symulacji za każdym razem pojawiali się i tchórze, i agresorzy. Nawet gdy badacze dopuścili możliwość zmiany strategii ↦

↦ z „gołębiej” na „jastrzębią”, co w przyrodzie wcale nie jest oczywiste.

To bardzo prosty model, ale pozwala nam uzmysłowić sobie, że zachowania jednego osobnika nie powinniśmy oceniać w oderwaniu od kontekstu. Osobowość, oglądana przez okulary tego typu symulacji, to wynik przetargu pomiędzy potencjalnymi korzyściami a możliwymi stratami. W mikroskali to decyzja o tym, czy oddalić się od siedliska, by szukać zasobów, albo czy podjąć walkę o partnerkę. Konsekwencją serii takich wyborów może być np. odroczenie spłodzenia potomstwa, co też samo w sobie jest ryzykowne – bo zwiększa ryzyko śmierci przed przekazaniem swoich genów kolejnym pokoleniom.

Zgodnie z tzw. teorią historii życiowych zwierzęta kierowane mechanizmami doboru naturalnego i innych sił ewolucyjnych podejmują decyzje w taki sposób, by zoptymalizować reprodukcję i przetrwanie. Ma to ważne konsekwencje. Przykładowo, jeżeli zwierzęta żyją krótko, to powinny szybko osiągać dojrzałość płciową i płodzić potomstwo, nawet za cenę zachowań ryzykownych. Zegar tyka! Jeżeli żyją dłużej – mogą pozwolić sobie na reprodukcję później, ale jednocześnie powinny minimalizować ryzyko. Co ciekawe, na ich zachowania wpływają nie tylko czynniki genetyczne (każdy gatunek starzeje się w swoim tempie), ale też środowiskowe (im więcej drapieżników, tym krótsza długość życia – i tym szybsze tempo wchodzenia w reprodukcję).

Ornitolog Robert Ricklefs i badacz zwierzęcych migracji Martin Wikelski na początku wieku zasugerowali, że cechy historii życiowych gatunków (np. ich tempo starzenia się, reprodukcji czy okres między kolejnymi cyklami rozrodczymi) powinny mieć odbicie w fizjologii. Np. pewne wzorce funkcjonowania układu hormonalnego czy metabolizmu powinny być obecne u gatunków zwierząt stosujących ostrożną strategię, a inne – u tych, które żyją szybko.

### Strach w laboratorium

Denis Réale z Uniwersytetu w Montrealu z zespołem podchwycili ten pomysł, ale spróbowali wyjaśnić podobnym mechanizmem różnice pomiędzy osobnikami tego samego gatunku. Spodziewali się, że dla bardziej śmiałych, bardziej agresywnych, aktywnie eksplorujących otoczenie osobników charakterystyczne będą inne wzorce aktywności fizjologicznej niż dla osobników z drugiego końca spektrum osobowości. Jednak przełożenie tej teorii z różnic międzygatunkowych na różnice wewnątrzgatunkowe nie jest oczywiste. Rzeczywiste zwierzęta nie zawsze zachowują się tak, jak by to przewidywały wzory matematyczne. Przykładowo u pstrągów zaobserwowano odwrotny kierunek zależności – to te, które szybko rosły, były bardziej nieśmiałe.

Skonfundowani takimi doniesieniami członkowie zespołu Raphaëla Royauté podjęli się próby podsumowania danych z ponad 40 publikacji, które dotyczyły opisanego związku. Wzięli pod uwagę m.in. wskaźniki hormonalne, odpornościowe, długość życia czy agresywność – i nie znaleźli przewidywanego związku pomiędzy zachowaniem i fizjologią albo historią życiową. Innymi słowy, zebrane przez nich dane nie potwierdziły, by na podstawie cech osobowości dało się np. przewidzieć, jakie „decyzje” dotyczące reprodukcji podejmować będzie dane zwierzę albo przypisać mu jakiś zakres różnych wskaźników fizjologicznych. Przy czym sam poziom hormonów i tempa wzrostu był jednak związany z zachowaniem silniej niż pozostałe czynniki. Udało się też zaobserwować, że takie przewidywane przez teorię związki miedzy osobowością a fizjologią czy cechami historii życiowych częściej występują u bezkręgowców niż u kręgowców. Ta kwestia wciąż potrzebuje więc bardziej szczegółowych badań. Być może teoria jest poprawna, ale tylko dla pewnej grupy zwierząt.

Ale i ten ostrożny wniosek może być ostatecznie trudno obronić. Zespół Marii Moiron z niemieckiego Instytutu Badania Ptaków w Wilhelmshaven w 2020 r. przeanalizował wiele przeprowadzonych badań i doszedł do wniosku, że w przyrodzie dłuższego wieku dożywają te osobniki, które... są odważne (jest tak wśród zwierząt żyjących na wolności – w laboratorium, gdzie wyzwania środowiskowe są na ogół mniejsze, ta różnica znika). W zwierzęcych osobowościach jest więc więcej głębi, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać.

### Słońce dodaje odwagi

Osobowości mogą się kształtować w zaskakujący sposób.

W opisanym w ubiegłym roku badaniu Francisca Ruiz-Raya i Alberta Velanda z Uniwersytetu w Vigo podzielili zapłodnione jaja mew romańskich na dwie grupy. Jedne zostały umieszczone w kontenerach termicznych, które zapewniały embrionom dostęp do dużej ilości światła imitującego naturalne warunki nasłonecznienia, a pozostałe do takich, gdzie skorupki były wystawione na nie w znacznie mniejszym stopniu. Na tym etapie, w ostatnich stadiach rozwoju, receptory wzrokowe zarodków są już w pełni wrażliwe na światło. Dzień po wykluciu badacze sprawdzali, jak pisklaki mew reagują na zagrożenie. Okazało się, że te, których skorupki były bardziej wyeksponowane na światło, były odważniejsze niż ich rówieśnicy wzrastający na tym ostatnim etapie przy ograniczonej dostępności światła.

Po części może im to kompensować utrudnienia, które spadają na nie w naturalny sposób. Z innych badań wiadomo bowiem, że przyjmowane przez te ptaki strategie konkurowania o pożywienie można przewidywać na podstawie kolejności wykluwania się rodzeństwa z jaj (samice składają zwykle trzy jaja). Najmłodsze pisklęta to te, które wykluwają się z najmniejszych jaj, wyprodukowanych przez matkę na końcu. I to te pisklęta okazują się najodważniejsze z całej grupy, tak jakby wiedziały, że muszą grać o wyższą stawkę, by nadrobić dystans do swoich braci i sióstr.

Oba te opisane mechanizmy powstawania osobowości mogą zaś być powiązane, ponieważ gdy wyklują się już pierwsze pisklęta, rodzice mniej czasu poświęcają wysiadywaniu pozostałych jaj. I te najmłodsze zarodki, które wyklują się dopiero w ciągu kolejnych trzech dni, otrzymają dzięki temu w ostatniej fazie rozwoju więcej światła.

Na osobowość mogą wpływać również pasożyty. Jeszcze w latach 90. David Wilson i jego zespół ustalili, że u niektórych ryb pasożyty występują nawet dwukrotnie częściej u osobników zidentyfikowanych jako odważne. Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest takie, że pewne typy osobowości prowadzą do zachowań zwiększających prawdopodobieństwo zakażenia pasożytem. Ale kierunek tej zależności nie zawsze jest taki oczywisty.

*Toxoplasma gondii* to pierwotniak zdolny do wywoływania toksoplazmozy

– choroby, która może prowadzić do śmiertelnego zapalenia mózgu i niebezpiecznych komplikacji w czasie ciąży. Ten pasożyt występuje u wielu gatunków ptaków i ssaków. W tkankach niektórych zwierząt wytwarza cysty mogące pozostawać w nich nawet przez długi czas. Okazuje się, że ich długotrwała obecność doprowadza do podwyższenia poziomu dopaminy i testosteronu. Po zakażeniu toksoplazmą gryzonie nie stronią od kocich odchodów, przez co zwiększa się ich ryzyko padnięcia ofiarą drapieżnika. Dla pasożyta to korzystne, bo dzięki temu będzie mógł trafić do organizmu kota i tam się rozmnożyć, dla gryzonia – znacznie mniej!

Toxoplasma może wpływać na zachowanie także u wilków. Liderami stada u nich zostają na ogół te osobniki, które poruszają się po znacznie większym terenie niż ich konkurenci i które nie wycofują się z walki. Wiele lat badań i obserwacji wilków w Narodowym Parku Yellowstone pozwoliło zespołowi Connora Meyera ustalić, że szanse na zostanie liderem stada są o 46 proc. większe u osobników zarażonych *Toxoplasma gondii*. Są one także właśnie bardziej skłonne do poruszania się po nieznanych terenach – a ten czynnik można traktować jako wskaźnik skłonności do eksploracji, która zwykle jest powiązana z ogólną śmiałością.

Pozornie zmiany zachodzące u wilków w wyniku zakażenia są korzystne – w końcu zwiększają ich szanse na zostanie liderem. Najprawdopodobniej pod wpływem patogenu dochodzi u wilków do zmian hormonalnych, które przekładają się na to, że zakażone osobniki są bardziej skore do walki, więc mają większe szanse na zdobycie wysokiej pozycji w stadzie, oraz że jeszcze śmielej eksplorują nowe tereny. Jedno i drugie może im przynieść korzyść, ale zwiększa też ryzyko śmierci.

### Nieśmiały czy niewierny?

Na początku tego tekstu była mowa o zwierzętach domowych, którym chętnie przypisujemy osobowość – czy jednak przetrwa to próbę badań statystycznych? W zeszłym roku na łamach „Science" ukazało się duże badanie poświęcone osobowości psów. Z badań Kathleen Morrill i jej współpracowników wynikło m.in., że rasa psa mało nam powie o jego osobowości. Najsilniejszy, choć niezbyt silny związek z rasą miała posłuszność. Brak silnych związków nie oznacza jednak, że cechy osobowości zupełnie nie są zależne od genów – bo to geny po części wyjaśniają, dlaczego osobniki należące do tej samej rasy różnią się osobowością. Rozróżnienie na rasy może mieć po prostu zbyt krótką historię, by zdążyły się z nimi „sprzęgnąć" cechy osobowości. Poza tym w rzeczywistości brakuje dowodów na to, że dobór psów odbywa się pod kątem ich zachowania. W hodowlach uwzględnia się przede wszystkim wygląd.

Nie zawsze też oczywiste są skutki różnego typu osobowości. Ot, takie pytanie: czy do „rozwodu" skłonniejsze będą osoby śmiałe czy nieśmiałe? Albatrosy z reguły tworzą wieloletnie, monogamiczne związki, jednak nikt ich nie pilnuje i ostatecznie dobierają się tak, jak im się podoba. W populacji obserwowanej przez zespół Ruijiao Sun „rozwód" miał za sobą mniej więcej co ósmy osobnik. Prawdopodobieństwo rozstania u tych ptaków wodnych zdaje się wzrastać wraz z niepowodzeniami w spłodzeniu potomstwa albo podczas niekorzystnych warunków środowiskowych.

CHRIS & MONIQUE FALLOWS / BE&W

**Nieśmiałe albatrosy** zostawały rozwodnikami znacznie częściej niż ich bardziej odważni konkurenci. Te pierwsze mniej chętnie broniły swoich partnerek, więc pojawienie się konkuretów częściej rozbijało związek.

Ale, co ciekawe, wpływ na trwałość związku miała osobowość samców – nieśmiałe albatrosy zostawały rozwodnikami znacznie częściej niż ich bardziej odważni konkurenci. Według badaczy różnice wynikają stąd, że nieśmiałe samce mniej zaciekle bronią swoich partnerek. Unikają agresji, więc pojawienie się konkurentów z łatwością rozbija ich związek.

Badacze brali też pod uwagę, że różnice w liczbie „rozwodów" mogą być konsekwencją rozbieżności w interesach partnerów. Nawiązywali do wspominanej już teorii, zgodnie z którą nieśmiałe albatrosy są ogólnie bardziej zachowawcze – ich organizmy miałyby być nastawione na wolniejsze tempo pracy i wydłużenie okresu reprodukcji. Wtedy można byłoby sobie wyobrazić, że rozstają się częściej, bo rzadziej „stać ich" na wychowanie potomstwa, co w tym gatunku wymaga wielu poświęceń. Jednocześnie badacze przyznają, że po uwzględnieniu zwyczajów samic takie uzasadnienie jest mało przekonujące – bo samicom zdarza się płodzić potomstwo z przygodnymi osobnikami, gdy organizm ich partnerów nie jest na to przygotowany, ale nie jest to tożsame z „rozwodem" – ptaki po prostu wracają do siebie w kolejnym sezonie godowym. Biorąc pod uwagę te wszystkie czynniki, jest mało prawdopodobne, by samce zyskiwały na rozstaniu. W badanej populacji było ich więcej, więc trudniej im było znaleźć nową partnerkę. Musieli na to poświęcać nawet cztery lata.

Tak czy inaczej, to kolejny dowód na to, że osobowość (lub te zachowania, które w ten sposób określamy) ma realne przełożenie na kształtowanie się relacji społecznych – nawet u dzikich zwierząt.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

# NASZ CI ON

**KONRAD NIEMIRA, HISTORYK SZTUKI:**

Szukano ojca założyciela polskiej szkoły malarskiej, protoplasty polskiej nowoczesności. Norblin nadawał się doskonale. Z Francuza zrobiono polskiego patriotę.

**MONIKA OCHĘDOWSKA: Przenieśmy się w czasie. Schyłek XVIII wieku, wiosna, spacerujemy przy Pałacu na Wyspie w Łazienkach. Musimy się wtopić w elitarne towarzystwo, więc najlepiej, żebyś uchodził za wziętego artystę. I teraz zadanie: musisz sobie wybrać stylówkę.**

**KONRAD NIEMIRA:** (*przeglądając zdjęcia w telefonie*) Mogę ci ją od razu pokazać! Najlepiej byłoby się przebrać za kogoś takiego jak Hubert Robert, francuski malarz, znany nie tylko z tego, że wiedział, jak kłaść farbę, ale przede wszystkim ze swojego sposobu bycia. Doskonale potrafił odnaleźć się w towarzystwie i salonowej konwersacji. Miał niebywałe poczucie humoru, szeroki uśmiech i cha-

rakterystyczny błysk w oku – to zawsze pomaga w karierze. Na portretach jest elegancko ubrany, nosi stroje uszyte z prostych, szlachetnych materiałów. W XVIII w. było kilku takich malujących panów, którzy uchodzili w towarzystwie za brylanty. Potrafili ubrać się skromnie, ale szykownie, zabłysnąć wykształceniem i znajomością literatury. Problem ze stylówką Roberta polega na tym, że miał fatalną fryzurę... Spójrz, był właściwie łysy, a z reszek włosów próbował formować coś na kształt boków peruki.

**Jeśli masz być modnym artystą, łysina nie przejdzie?**

Praca w warsztacie zajmuje artyście, powiedzmy, cztery godziny dziennie, a poza tym życie toczy się gdzie indziej. Klienta pozyskuje się z polecenia znajomych, z którymi odwiedza się te same salony – przy czym dla samego artysty najlepiej byłoby, żeby to były salony, gdzie gospodarz serwuje ciepły posiłek... Jeśli już uda nam się zwabić potencjalnego nabywcę do studia, lepiej nie pokazywać się w fartuchu i z brudnymi palcami. Powinniśmy być ubrani tak, żeby z kolekcjonerem rozmawiać jak równy z równym. Pierwsze wrażenie, jakie zrobimy w takiej sytuacji, jest niesamowicie istotne.

**To jak się je robi?**

Bez względu na to, czy znajdziemy się w XVIII-wiecznym Paryżu, Petersburgu czy Warszawie, kolor naszego ubrania i nakrycie głowy prędko staną się czytelnym *political statement* – nie tylko wyrazem przynależności do określonej grupy społecznej, ale i zaangażowania w życie publiczne. To dlatego w czasie rewolucji francuskiej kobiety wpinały sobie we włosy kokardki w konkretnych kolorach albo małe stateczki nawiązujące do triumfów francuskich fregat. Mężczyźni z kolei potrafili „przebierać się" za rojalistów i republikanów. Z tej samej przyczyny sami artyści – choć *de facto* byli tylko rzemieślnikami – chętnie nosili fraki i wkładali peruki. Pozorowali swoją przynależność do śmietanki towarzyskiej, przebierali się za ludzi światowych.

**Ale spoglądając na Jana Piotra Norblina, dla którego przenieśliśmy się dziś do XVIII-wiecznych Łazienek, widzimy raczej lichy fryz.**

Rzeczywiście, powinien być bardziej odświętny i „zrobiony", żebyśmy nie mieli wątpliwości, że podejmuje gości. Ale Norblin – który w oczach historyków sztuki uchodzi za wielkiego artystę i założyciela polskiej szkoły w malarstwie – na żadnym z autoportretów nie wygląda jak osoba światowa. Czasem ubiera się wręcz w sposób niestosowny: na jednym z domowych autoportretów pokazuje się w wyjściowym kapeluszu. Na innym siedzi prawie po ciemku. Przypomina raczej lokaja, dworaka, szeregowego guwernera.

**Guwernera?**

Życie Norblina to żadne *success story*. Wyrzucono go ze szkoły w Paryżu, potem przez parę lat bezskutecznie próbował znaleźć pracę we Francji i Anglii. Ostatecznie wylądował w Polsce, gdzie żył pod opieką księcia Czartoryskiego i nie musiał się martwić o dach nad głową. Trzeba jednak pamiętać, że inaczej żyje się wtedy w Paryżu, gdzie spektakle operowe dawano codziennie, a inaczej w Warszawie, gdzie opera jest ledwie raz na tydzień, a jej jakość nie musi być najwyższa.

Dla artysty z ambicjami zainstalowanie się w Warszawie, nawet pod skrzydłami księcia, nie musiało być wcale spełnieniem marzeń. ↦

*Jan Piotr Norblin, Łazienki, widok od strony południowej, 1794 r.*

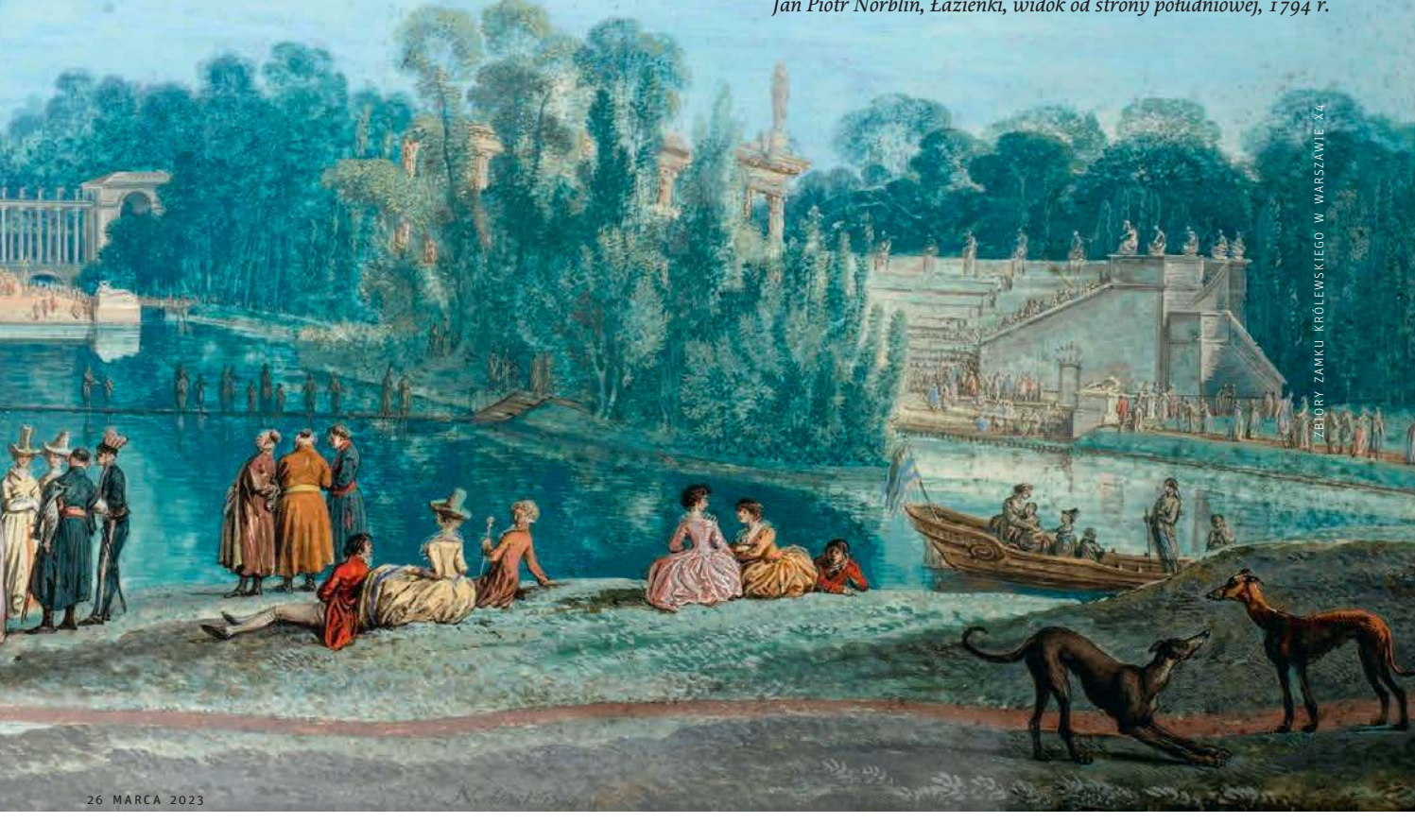

ZBIORY ZAMKU KRÓLEWSKIEGO W WARSZAWIE/X4

*Towarzystwo na wycieczce nad jeziorem, ok. 1777-1780 r.*

↦ **Zarabiał dobrze?**

Zarobki też nie były takie, na jakie liczył w młodości. U Czartoryskich był po prostu jednym z kilkunastu guwernerów. Codziennie przez godzinę uczył ich dzieci rysunku, czasem razem z księżną rysował rozmaite pejzażyki i amorki w koszykach róż. Podobnie jego życie wyglądało, kiedy przeszedł na służbę do Radziwiłłów. Ich guwernantka (swoją drogą bardzo ciekawa postać – kobieta, która zostawiła we Francji męża i w Polsce prowadziła samodzielne życie) pisała w listach o Norblinie po prostu jako „panu od rysunków".

**To z powodu tych listów zainteresowałeś się Norblinem?**

Pochodzę ze wsi nieopodal parku w Arkadii, gdzie zachował się jedyny fresk Norblina. Dorastałem z Norblinem, tak jak w Krakowie dorasta się z Wyspiańskim, a w Łodzi ze Strzemińskim. Kiedy zawodowo zajmowałem się już wiekiem XVIII, to gdy w archiwach nagle trafiałem na to znajome nazwisko, czułem się, jakbym spotkał sąsiada. Miałem dla niego przeznaczony osobny zeszycik, w którym z upływem czasu nazbierało się sporo nieznanych dotąd informacji, przede wszystkim takich, które nie pasowały do tego, co pamiętałem z lat studiów.

Bo jakkolwiek na tego Norblina spojrzymy, jego postać nie pasuje do historii z podręczników. A pisałem o nim głównie przed trzydziestką, w takim formacyjnym okresie, w którym człowiek mierzy się z autorytetami i zaczyna dostrzegać, że nie wszystko musi być tak, jak na studiach powiedział pan profesor, czy jak napisała pani kustosz z muzeum. Czasem projektujemy na artystów rozmaite klisze.

**Co z nim zrobiliśmy?**

Na przełomie XIX i XX w. historycy sztuki rozpoczęli polowanie na artystę, z którego dałoby się uformować kogoś na kształt ojca założyciela polskiej szkoły malarskiej, protoplastę polskiej nowoczesności. Problem polegał na tym, że większość kandydatów na to stanowisko była skompromitowana. Bacciarelli się nie nadawał, bo był malarzem króla, za którego Polska upadła. Bellotto – ta sama historia. Tymczasem Norblin sympatyzował z Kościuszką, rysował uchwalenie Konstytucji, rozmaite bitwy, scenki z historii Polski. Do tego chętnie prezentował warszawską ulicę, miał żyłkę reporterską. Na jego pracach jest wszystko: Żydzi, pijana szlachta, zabiegani mieszczanie, żebracy, wędrowni aktorzy, chłopki – całe bogactwo postaci i szczegółów.

**Nasz ci on?**

Właśnie! W Norblinie, który był w gruncie rzeczy nauczycielem magnackich dzieci, a po pędzel sięgał rzadko, zobaczono etnografa zafascynowanego naszym krajem, wręcz gorącego patriotę. Fakt, że był Francuzem, dodawał mu tylko uroku, a nam dumy, wiadomo – „kamień odrzucony przez budujących stał się kamieniem węgielnym". Już na początku XX w. Norblina ujęto w poczet patriotycznie nastawionych polskich artystów, co w ówczesnym świecie oznaczało po prostu największych.

**Gwóźdź do trumny.**

*Taniec piesków, ok. 1815 r.*

Pamiętam taką sytuację: jestem w Muzeum Narodowym, w sali, w której wiszą dwa wielkie i naprawdę pierwszorzędne Norbliny. Obok widzę pary na randkach, które przechodzą niezainteresowane – rzucają okiem i idą dalej, a ja już wiem, co na tych wszystkich obrazach Norblina jest, i nie potrafię zrozumieć, czemu nikogo to nie rusza.

Mamy tendencję do obojętnienia wobec sztuki dawnej, szczególnie takiej, którą już przejął narodowy kanon, albo której tematy wydają się banalne. Spoglądamy znudzeni: o, tu goła baba, tam drzewa, ludzie w parku... Tymczasem w XVIII w. na te same płótna patrzono inaczej – dłużej i uważniej. I dostrzegano na nich rzeczy, których my już nie zauważamy.

**Bardzo proszę: drzewa, ludzie, piesek i łabędzie, czyli „Łazienki, widok od strony południowej", rok 1794. Spróbujmy spojrzeć uważniej.**

Zawsze wydawało mi się, że Łazienki są tu namalowane strasznie wysoko, że artysta patrzy na nie z lojkktu ptaka. A potem dotarło do mnie, że przecież widzimy na tej pracy taras widokowy pałacu, z którego król może oglądać świat w ten sam sposób – zatem my również, choć patrzymy na Łazienki z innego miejsca niż król, to patrzymy na nie z wyniesienia, z królewskiej, bardzo elitarnej perspektywy. Norblin gra sobie z widzem, dając mu chwilowe poczucie kontroli i wsadzając go w buty władcy.

**U Norblina jest wiele prób zaczepienia widza.** Polegają na narysowaniu czegoś prowokacyjnego, na przykład kogoś sikającego albo wypróżniającego się. Zadziałają na widza, czy jesteśmy Izabelą Czartoryską czy Konradem Niemirą.

**A park zamienia się w teatr.**

Skądinąd teatr w Łazienkach ma właśnie scenę zbudowaną spadziście, pod kątem. Widz oglądający spektakl, bez względu na miejsce, na którym siedzi, może mieć wrażenie bycia troszeczkę wyżej, niż jest naprawdę. Zresztą w XVIII w. na imprezach wydawanych w ogrodach organizowano osobne, grodzone tarasy, na których wybrana grupka osób mogła podglądać to, co się dzieje na dole. Takie ekskluzywne punkty widokowe dawały uczestnikom zabaw niesamowitą przyjemność – patrzenie z góry było rozrywką elit... Kolejna rzecz: jak obrazy Norblina są według ciebie namalowane?

**Hm. Szybko, nonszalancko. Jakby od niechcenia.**

No właśnie, takie sprawiają wrażenie. Tymczasem wiemy, że technika, którą malował Norblin, jest bardzo czasochłonna. To wszystko musi wyschnąć, farba twardnieje... Ten brawurowy dukt pędzla to pozór i trik stanowiący konkretny komunikat – wykonanie zostało dostosowane do przedmiotu obrazu. Otóż elity, które Norblin na swoich obrazach pokazywał, ↦

↦ celebrowały nonszalanckie zachowania, dobre maniery, gesty równocześnie wystudiowane i „naturalne". Malarzowi z kolei zależało, by elitarny widz nie tylko zobaczył w sztuce swoje odbicie, ale też odnalazł swój etos. Ta brawura, nonszalancja, a zarazem lekkość pędzla Norblina to tak naprawdę lata praktyki. Niby pospieszny szkic, a jednak performans – niewiele różniący się od wystudiowanych, wyuczonych gestów i manier elit.

**Wystudiowana hipsterska bylejakość. Oglądajmy dalej.**

Norblin w fakturze swoich obrazów często ukrywa przeróżne zgrzyty. Spójrz na te rozdwajające się twarze „Towarzystwa na wycieczce nad jeziorem". Nie sposób stwierdzić, czy one zostały tak zrobione umyślnie, czy z upływem czasu warstwy farby powychodziły przez siebie. Ja sądzę, że Norblin malował ludzi z dwiema twarzami rozmyślnie. Chciał pokazać, że pracując, namyślał się, głowił, zmieniał zdanie. Mamy z tego wszystkiego wywnioskować, że autor „Towarzystwa..." nie jest po prostu rzemieślnikiem, raczej filozofem, intelektualistą, który w każdym namalowanym detalu widzi jakiś powód i sens. W sztuce rokoka ma znaczenie, kto gdzie patrzy, albo jak wysokie i rozbujałe są drzewa namalowane w tle sceny.

**W zeszłym roku była wystawa Norblina na Zamku Królewskim w Warszawie.**

I pierwszy raz od wielu lat zrobiono badania tych płócien, poprześwietlano obrazy. Okazało się, że mamy na nich często podrysowania, a Norblin bardzo dużo w trakcie pracy zmieniał. Zauważ, że jego obrazy są często naprawdę maleńkie, osiemnaście centymetrów na dwadzieścia parę, niewiele większe od dłoni, a widać na nich trzy czy cztery fazy powstawania – Norblin coś upraszcza, potem ubogaca, dodaje pieska, odejmuje dziecko, potrafi się jednocześnie ruszać w dwóch kierunkach, nieustannie wraca do swoich prac, z czegoś cały czas jest niezadowolony.

**Mimo to niektórzy bohaterowie jego obrazów byli konsekwentnie niewidzialni dla historyków sztuki.**

I to mi się także wydało niezwykle frapujące. Doskonałym przykładem są

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

*Autoportret w kapeluszu, przed 1788 r.*

„Marionetki", przedstawienie teatrzyku kukiełkowego. Są dwie szkoły interpretacji tego obrazu – wedle jednej widzimy tu tylko marionetki, wedle drugiej – jasełka polskie. Dlaczego „polskie"? Bo jedna z kukiełek to Żyd, stały, antysemicki motyw polskich jasełek w tamtych czasach.

**Rokoko wydaje się lekkie i frywolne, dalekie od polityki.**

Różowe i koronkowe, prawda? Tymczasem rzeczywistość w XVIII w. jest tak samo dramatyczna jak nasza. Sztuka dawna także przedstawia problemy społeczne, nierówności klasowe. Jest tu antysemityzm, są żony zdradzane przez mężów albo żony mężów zdradzające, jak choćby we wspomnianej arkadyjskiej „Jutrzence" – stanowiącej *alter ego* Heleny Radziwiłłowej, chętnie wdającej się w romanse.

Z kolei w sielankowym na pierwszy rzut oka „Towarzystwie na wycieczce nad jeziorem" rybacy chcą jakby złapać w sieci przedstawicieli elit, którzy z nudów przyglądają się ich pracy. Na drugim planie majaczy figura brudnego żebraka. To wielkoformatowy obraz, adresowany do elitarnej publiczności, która – jeśli go przyjęła – nie zauważyła w nim niczego niestosownego. A tam przecież kipi od spięć i konfliktów. Właściwie dziwię się, że to się Norblinowi upiekło.

**Mało frywolne jest też zainteresowanie Norblina Rembrandtem.**

Norblin często przedstawiał się jako Norblin de la Gourdaine, chociaż wcale nie musiał używać podwójnego nazwiska. Nie konkurował przecież z żadnym innym Norblinem o sławę. Nie pochodził też z klasy społecznej, w której używano tego „de". Zresztą norblinowskie „la Gourdaine" to jest tak naprawdę nigdzie – maleńki wiejski budyneczek, nie ma się czym chwalić. Najpewniej Norblin stworzył sobie ten przydomek naśladując Rembrandta, który był „van Rijn". Rembrandt, tak jak Norblin, miał niskie pochodzenie społeczne: był ósmym czy dziewiątym dzieckiem młynarza znad Renu. W XVIII w. uchodził za modelowy przykład self-made mana.

**Norblin był naśladowcą Rembrandta?**

Kopiując Rembrandta często zestawiał ze sobą dwa nazwiska – na górze pisał „Rembrandt", imitując charakter pisma Holendra, a na dole „Norblin", już swoim stylem. Dawał przez to jasny komunikat: potrafię robić tak jak on, ale mam autonomię, prowadzę tu sobie artystyczny dialog.

Niedawno znany norblinolog Paweł Ignaczak napisał, że Norblin nie tylko tworzył w stylu Rembrandta, ale też próbował odtworzyć pewne jego efekty, szukał zbliżonego światłocienia, używał podobnego kreskowania. Eksperymentował z warsztatem.

Ja zaryzykowałbym tezę, że poza tym, że próbował tworzyć rzeczy „takie jak Rembrandt", czy tworzyć „tak jak Rembrandt", to chciał także być czy zachowywać się jak Rembrandt. Odkryć sposób ruszania się artysty, zrekonstruować dynamikę jego gestu. Trochę na zasadzie aktora, który uczy się roli jakiejś historycznej postaci i od razu mimowolnie zżywa się z nieżyjącym już „oryginałem".

**I jak to wpływa na wizerunek naszego bohatera?**

Rembrandt w XVIII w. jest cenionym, ale bardzo kontrowersyjnym artystą – „maluje błotem", jego obrazy są brudne, chropowate, baby na jego płótnach mają podwójne podbródki, wydają się raczej brzydkie. To, paradoksalnie, pasuje do wrażliwości Norblina, który interesował się życiem ulicy, wałęsającymi się nią żebrakami, miejskim brudem, kalectwem.

Inna sprawa, że u Norblina jest wiele prób zaczepienia widza, prób wciągnięcia go w obraz, zatrzymania jego uwagi. Czasem te próby polegają na narysowaniu czegoś prowokacyjnego, na przykład kogoś sikającego albo wypróżniającego się. To też są bardzo holenderskie zagrania.

*Łazienki Królewskie w Warszawie. Widok z tarasu Pałacu na Wyspie na Staw Południowy, 1788 r.*

Zawsze zadziałają na widza, bez względu na to, czy jesteśmy Izabelą Czartoryską czy Konradem Niemirą.

**A tutaj na przykład mamy dziecko, które patrzy w naszym kierunku.**

Tak na marginesie: wydaje mi się, że Norblin był po prostu niski i stąd ta fascynacja dziecięcym punktem widzenia. Źródeł na temat jego wzrostu jest niestety bardzo mało, potwierdzałaby to może jedna wzmianka. Poza tym jest kilka mglistych poszlak. Natomiast na obrazach Norblina rzeczywiście często pojawiają się dzieci, a w tamtych czasach nie było to wcale popularne. Poza Norblinem było dwóch artystów we Francji, u których stale znajdujemy małych bohaterów – Hubert Robert, od którego zaczęliśmy rozmowę, oraz Jean-Honoré Fragonard. Odnoszę wrażenie, że Norblin, wprowadzając tych niewielkich bohaterów i umieszczając ich zawsze w roli widzów, chce nas skłonić, żebyśmy i my spojrzeli na świat jak dzieci.

**Dlaczego?**

Bo one inaczej przyglądają się światu, przede wszystkim uważniej oglądają obrazki. Na pewno nie umknęłoby im, że na gwaszu „Zabawa na lodzie" ktoś upada na pośladki, albo że pochodnia chowa się sprytnie za kapeluszem, tak że nie widzimy samego płomienia, a jedynie efekty światła i ten dym dookoła. To są, jak widzisz, drobniutkie rzeczy, detale, które trzeba bardzo uważnie oglądać. No i trzeba umieć docenić poczucie humoru Norblina, czasem bardzo proste, nawet szczeniackie.

**Na przykład wtedy, kiedy jego bohaterowie rozdają sobie klapsy?**

Bawią się w jakąś grę, pewnie w tę, którą nazywano ówcześnie „parząca dłoń". Ten pan najwidoczniej już przegrał i dziewczyna zaraz wymierzy mu klapsa. Poza tym, że to zabawa, mamy tu niezwykle śmiałe odwrócenie ról – dziewczyna będzie miała kontakt z pośladkami mężczyzny! Pamiętaj, że jesteśmy wciąż przed pierwszą falą feminizmu. Kobiety nie tylko nie powinny zachowywać się po męsku, ale też nie powinny z mężczyznami zbyt otwarcie flirtować. A u Norblina są dziewczyny, które ścigają się o miłość, walczą o względy chłopaków. Dla osiemnastowiecznej mentalności te gry i ilustrujące je dzieła sztuki były wentylem wolności – to wszystko symbolizowało życie, dzikość.

**A „Taniec piesków" lubisz?**

Kochane i słodkie, prawda? Zwierzątka poprzebierane w stroje markizów. Norblin nie jest artystą wybitnym, ale najbardziej mnie w nim porusza to, że mimo zgryźliwości, autoironii i wśród pojawiającego się w jego pracach gorzkiego tonu potrafi znaleźć w sobie pokłady czułości. Namalować zabieganego i zasapanego przechodnia, umęczoną i obwieszoną dziećmi matkę, zwierzaka. W naszych wyobrażeniach o wielkim artyście czułość nie odgrywa znaczącej roli. Czy ktoś oczekiwałby, że Matejko albo Malczewski będą czuli? Artysta narodowy kojarzy nam się raczej z patosem i wielką sprawą. Norblin wymaga porzucenia całej wiedzy, jaką o nim latami gromadziliśmy, i oddania się jego obrazom z autentycznym zaangażowaniem i uważnością. Dziecięcą uważnością. To jest najważniejsza lekcja patrzenia, którą od niego dostajemy.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

**DR KONRAD NIEMIRA** *(ur. 1989) jest historykiem sztuki specjalizującym się w kulturze artystycznej Francji i Rzeczypospolitej oraz społecznej historii sztuki XVIII w. Niedawno ukazała się jego książka „Bazgracz. Trzy eseje o Norblinie" (Fundacja Terytoria Książki, 2022).*

# Przypadkowy turysta

ANITA PIOTROWSKA

**Jesteśmy w Meksyku – kraju, w którym lepiej nie wychodzić poza obręb strzeżonego kurortu. Ale bohater robi dokładnie na odwrót: próbuje wtopić się w lokalne tło i pragnie świętego spokoju.**

MATERIAŁY PRASOWE DYSTRYBUTORA

Kino konfliktu – tak można by najkrócej podsumować twórczość Michela Franco, choć przecież każda filmowa fabuła wyrasta z jakichś napięć. Nietrudno o nie zwłaszcza w kraju podzielonym etnicznie i rasowo, naznaczonym społeczno-ekonomicznymi kontrastami i eskalującą na tym tle przemocą. Pełno jej na ulicach, w rodzinie, szkole, w rozmaitych strukturach władzy. Z wyjątkową siłą wybrzmiało to w „Nowym porządku" (Srebrny Lew na festiwalu w Wenecji), gdzie wesele w domu zamożnego przedsiębiorcy stało się punktem wyjścia dla rewolucyjnej dystopii, przechodzącej w obrazy krwawej dyktatury wojskowej. Zarzucano wówczas twórcy, że opowiada wyłącznie z pozycji uprzywilejowanej, za bardzo ulega tak zwanej panice elit i w gruncie rzeczy żeruje na grubych antagonizmach. Jego najnowszy film, „Sundown", utrzymany jest w zupełnie innej tonacji, zaś konflikt przybiera łudzącą postać ospałej i biernej rezygnacji.

A może by tak rzucić wszystko i zamieszkać przy plaży w Acapulco? Tim Roth gra tu zamożnego Brytyjczyka, który wraz z bliskimi wypoczywa na luksusowych wakacjach w Meksyku i wcale nie ma ochoty opuszczać nagle tego miejsca. Bo kiedy pod wpływem tragicznych wiadomości z Londynu wczasy muszą zostać przerwane, Neil usilnie stara się wymiksować z rodzinnych powinności. Lecz wcale nie po to, żeby dalej, już samotnie, pławić się w zbytku i lenistwie. Co prawda po wyjeździe rodziny większość czasu spędza nad morzem, popijając piwo i romansując z sympatyczną Meksykanką (Iazua Larios), to jednak sukcesywne zrywanie dotychczasowych więzi odbywa się bynajmniej nie z powodów hedonistycznych czy w ramach kryzysu wieku średniego. Bohater przypomina w tym raczej kopistę Bartleby'ego z powieści Hermana Melville'a i jego słynne „wolałbym nie" – dyskretne acz definitywne wycofanie.

Tytuł filmu lepiej byłoby zostawić bez komentarzy, bo natychmiast uruchamia banalny tryb domyślny. Oto chylące się ku zachodowi słońce, a zatem egzystencjalne przeczucie zmierzchu, powtórka ze „Śmierci w Wenecji" czy powidoki z Antonioniego, w dodatku okraszone neobarokową *vanitas*. Tymczasem bohater powoli wypisuje się ze swego dawnego życia nie dlatego, że ma ochotę pożyć wreszcie na własną rękę i kontemplować dogasającą urodę świata. Franco jako scenarzysta podsuwa nam tu pewne tropy, włącznie ze zdradzieckimi promieniami w roli pierwszoplanowej. Jednakże główne źródło napięcia przez długi czas pozostaje w cieniu. Nawet istotny fakt, iż towarzysząca Neilowi podczas wakacji chłodna kobieta z nastoletnimi dziećmi, zagrana przez Charlotte Gainsbourg, wcale nie jest jego małżonką, ale rodzoną siostrą, ujawnia się bądź potwierdza dopiero gdzieś w połowie fabuły i wprowadza do całej historii zupełnie nowy rodzaj niepokoju. Na czele z pytaniem: dlaczego Neil Bennett, spadkobierca gigantycznej fortuny, zdecydował się na wspólny wyjazd, po czym tak bardzo chciałby uciec od swojej rodziny?

Franco ledwie szkicowo nakreśla potencjalne przyczyny tej ucieczki, ściśle związane ze stanem posiadania i relacjami między posiadającymi. Nie dociska także swego ołówka, gdy rozrysowuje schematyczną mapę, podzieloną na zamożną, depresyjną Północ i biedne, ale witalne Południe. Tym razem perspektywa białego, świetnie sytuowanego i mocno znudzonego mężczyzny staje się jedynie zasłoną dla innego rodzaju cierpień. W ich obliczu psychologiczne problemy „pierwszego świata" przestają być wydumane, aczkolwiek zdawkowa ekspresja Rotha tudzież dziwaczne reakcje jego bohatera kreują w filmie pewien nieprzekraczalny dystans. Obserwujemy więc ów cichy bunt bez emocjonalnego zaangażowania, współdzieląc z Neilem jedynie jego rozgoryczenie i sporadycznie zagłuszaną samotność.

Mimo to intryguje ów portret „przypadkowego turysty", który na własne życzenie zabłąkał się w pociągająco obcym świecie. Za tę wycieczkę-ucieczkę, za własną ignorancję i ukrytą arogancję, rodzinie przyjdzie zapłacić wysoką cenę. Jesteśmy przecież w Meksyku – kraju, w którym lepiej nie wychodzić poza obręb strzeżonego kurortu. Neil robi dokład-

**SUNDOWN**
*– reż. Michel Franco. Prod. Francja/Meksyk/ /Szwecja 2021. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 24 marca.*

*Michel Franco urodził się czterdzieści cztery lata temu w mieście Meksyk i zaliczany jest do najważniejszych reżyserów swego kraju. Począwszy od debiutu „Daniel i Ana" (2009) stał się ulubieńcem renomowanych festiwali. Szczególne uznanie przyniosły mu filmy „Pragnienie miłości" (2012), anglojęzyczny „Opiekun" (2015) z Timem Rothem i „Nowy porządek" (2020).*

nie na odwrót: próbuje wtopić się w lokalne tło i pragnie świętego spokoju. W przeciwieństwie do steka premium i łykanych przez siostrę prochów nie da się tego po prostu kupić. Pozostaje zatem wytrenowana obojętność. Ani opędzlowany pokój, jaki bohater wynajął sobie w tanim hoteliku, ani strzelanina na plaży, czego był naocznym świadkiem, ani nawet utrata bliskiej osoby nie robią na „turyście" większego wrażenia. Pozostaje mu już tylko dryfować i czekać na swój koniec.

Chociaż przemoc podskórnie tutaj pulsuje, powraca w przebitkach i brutalnych scenach ze świnią (familia Bennettów należy do rzeźniczych potentatów), nowy film Franco skupia się na konflikcie głęboko uwewnętrznionym. Przejawia się on w impresyjno-beznamiętnym sposobie filmowania meksykańskiej rzeczywistości, w przygarbionym ciele Rotha i jego nieobecnym spojrzeniu. Ten rodzaj kina, podobnie jak „Aftersun" Charlotte Wells, czyli inny film ze smutnym wakacyjnym słońcem w tytule, wymaga specjalnego dostrojenia i otwarcia na to, co długo pozostaje niewytłumaczalne. I jakkolwiek chwilowe dezorientacje bywają widzowi wynagrodzone, rozmyte w tropikalnym świetle widzenie raz po raz się wyostrza, a spowolniony rytm, zapowiadając kolejny gwałtowny zwrot, przykuwa naszą uwagę do ekranowego nic-nie-dziania się, to my sami musimy zmontować logiczną całość z owych sugestii i nastrojów.

W jednym z wcześniejszych filmów Franco znamienity brytyjski aktor grał opiekuna paliatywnego, którego bezgraniczne oddanie i potrzeba fizycznej bliskości z pacjentami stała się dla postronnych (i dla nas) wysoce podejrzana. W „Sundown" mamy do czynienia z rewersem tamtej postaci, lecz jedynie na pozór. Ów beznamiętny film z wiecznych wakacji przenikają podobne lęki i tęsknoty. Jeśli ktoś marzył kiedykolwiek o wylogowaniu się na dobre z wszelkich systemów i międzyludzkich pozorów, niekoniecznie mając na horyzoncie plażę w Acapulco i dożywotnią rentę w brytyjskich funtach, odnajdzie się w tych melancholijnych i niejasnych do końca obrazach. ©

# Lektor:
## *Czytajmy!*

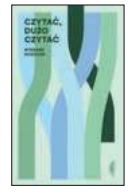

▪ *Ryszard Koziołek*
**CZYTAĆ, DUŻO CZYTAĆ**
*Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, ss. 252*

Rada zawarta w tytule nie pochodzi od autora, tylko od góralki sprzedającej sery na Krupówkach, która zachęca cepra, by zainteresował się cyklem rozrodczym owiec – wtedy się dowie, kiedy kupić prawdziwy oscypek... Czytanie może być przydatne na wiele sposobów. „Czarne znaczki na papierze" (i na ekranie czytnika) nie tylko dostarczają nam informacji, ale przede wszystkim, jako literatura, potrafią przemeblować nam głowę – poszerzając wyobraźnię, pomagając budować poczucie wspólnoty. Zresztą, jak tłumaczy autor: „Nie powinniśmy utożsamiać literatury z książką. Literatura jest wszędzie tam, gdzie są narracja i metafora. Nie ma sfery współczesnego życia, do której literatura by się nie wtrącała. I wydaje mi się, że czyni to mądrzej niż wiele innych dyskursów".

To już kolejny zbiór esejów literaturoznawcy, profesora Uniwersytetu Śląskiego. Tytuły poprzednich – „Dobrze się myśli literaturą" i „Wiele tytułów" – podkreślają, że chodzi o konsekwentnie rozwijany sposób myślenia. Czytelnikom „Tygodnika" dobrze znany, pismo nasze publikuje bowiem teksty Ryszarda Koziołka od wielu lat. Ściślej mówiąc – od lat blisko dwudziestu, pierwszy był w lipcu 2003 r. obszerny szkic o Teodorze Parnickim po wydaniu jego „Ostatniej powieści".

Czytanie połączone z myśleniem jako antidotum na odrzucanie lektur niewygodnych – takie jest przesłanie polemiki z Maciejem Gdulą, który chciałby umieścić w koszu „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza. Koziołek nie przeczy, że chodzi o książkę z dzisiejszego punktu widzenia pełną rasistowskich klisz, europocentrycznej pychy i męskiej wyższości – czy to jednak nie jest dobra okazja, by te klisze rozbroić, proponując uczniom symulacyjną grę wyobraźni i wcielenie się w rolę różnych postaci?

Na koniec wspomnieć wypada, że do książki trafiły dwa piękne pożegnania: Jerzego Pilcha i wieloletniego adresu naszej redakcji, czyli Wiślnej 12. Pilcha, który uczynił swoich czytelników obywatelami wyobrażonej luterańskiej Wisły i „z bezwzględną miłością przełożył obyczaje, język i domowe historie jej tubylców na wspaniały język swojej prozy". I redakcją przy Wiślnej, która – tak się złożyło – pozostała i już pozostanie dla autora miejscem jedynie wyobrażonym. Ale ważnym. ©℗

# Skąd przyleciały harpie

KAROLINA FELBERG

**Kobieta wyrazista odbierana jest jako śmieszna, a nawet trudna, wynaturzona, potworna. Niewiasta nie powinna zatem zbyt dużo jeść, zanadto się ruszać, pozostawać krzepką, śmiałą lub pewną siebie.**

Mityczni bohaterowie jako cynicy, megalomani, przemocowcy – toksyczni mężowie, narcystyczni kochankowie i pyszni władcy. Czy wciąż jesteśmy wobec nich bezradni? Skąd się tacy wzięli?

U źródeł była klasyczna Grecja – kosmopolityczne, demokratyczne, miejskie Ateny, ksenofobiczna, oligarchiczna, wiejska Sparta i tyle innych miast-państw. Spoiwem tego zróżnicowanego świata była tradycja homerycka – prezentująca starogrecki panteon i patriarchalną mentalność walczących pod Troją Achajów. Taką mitologią nasiąkło imperium rzymskie oraz oparte na tradycji biblijnej chrześcijaństwo. Przez wieki mity śródziemnomorskie strzegły różnicy i zależności między „męskim" a „kobiecym".

### Przemiany

Mity odtwarzają przemianę nieludzkiego chaosu w kulturę i cywilizację. Opowiadają o czasach, kiedy byty równe wobec natury przemieniły się w istoty przekraczające tę zależność. Ten awans na pozycje niewynikające już z porządku naturalnego i pojawienie się różnic między ludźmi nazywany jest „stwarzaniem świata" lub „zaraniem kultury", a mityczne istoty, które tego przełomu dokonały, uważane były za boskie, heroiczne, nadprzyrodzone. Bogowie greccy są nieśmiertelni (jak wieczna jest natura), determinuje ich jednak porządek dziejowy – dziedziczone relacje i zależności, czyli rodowość i powoli kiełkująca zeń narodowość. Pilnują podziału świata na wyższe/niższe (rządzące/rządzone) i lepsze/ gorsze (posiadające/posiadane).

Mity śródziemnomorskie ukonstytuowały starożytną i nowożytną mentalność feudalną, a u progu nowoczesności doczekały się reinterpretacji w duchu narodowo- i państwotwórczym. Symbolem romantycznych ruchów politycznych stał się Prometeusz – tytan buntujący się przeciw wyrokom boskim i poświęcający się dla szczęścia ogółu. Syzyf z kolei patronował nowożytnej rewolucji pracowitości i następującej w ślad za nią rewolucji przemysłowej.

W drugiej połowie XX wieku reinterpretacje mitów ustąpiły ich dekonstrukcji. Mitologia śródziemnomorska zapładnia teraz feminizm, postkolonializm i ekologizm – kierunki krytycznie odnoszące się do odwiecznych podziałów na lepszą cywilizację i gorszą dzikość, wyższą kulturę i niższą naturę, podważające wszelkie hierarchie, wedle których centrum dyktuje normy „obrzeżom".

### Bezsiła

„Ponieważ kobiety nie ustaliły się jako Podmiot, nie stworzyły mitu mężczyzny, który wyrażały ich dążenia: nie mają ani własnej religii, ani poezji, śnią nawet poprzez sny mężczyzn. Modlą się do bogów, będących męskim dziełem. Ci zaś ukuli na własną cześć wielkie męskie postacie: Herkulesa, Prometeusza, Parsifala. W losie tych herosów kobieta odgrywa tylko drugorzędną rolę" – zanotowała Simone de Beauvoir w „Drugiej płci".

Znamienite polskie pisarki (od Anny Świrszczyńskiej, przez obie noblistki, po Julię Fiedorczuk) przywołane w monografii „Boginie, bohaterki, syreny, pajęczyce. Polskie pisarki współczesne wobec mitów" (2020) od kilku dekad niestrudzenie wydobywają z mitów wątki dotąd przemilczane lub marginalizowane – np. zwyczajność, krzątactwo, kobiece doświadczenie. A jednak rozrastający się katalog *herstory* wcale nie osłabia przemożnej siły *history*. Dlaczego?

Autorki podkreślają kobiecą bezsilność wobec ich patriarchalnego (rodowego, narodowego, korporacyjnego) charakteru. Referują więc (bez)moc kobiet, czyli wielowiekowe redukowanie ich do postaci egzotyzowanej i egzorcyzmowanej, nierozumianej, więc niewyrażonej, irracjonalnej, zanadto naturalnej (dzikiej *vel* chaotycznej), a przez to podrzędnej. „Nimfy w uściskach satyrów, Ifigenie zdradzone przez ojców, / zawsze będziemy wiedzieć o świecie tyle co nic. / Jak dziecko, które jeszcze chciałoby poznawać, / a tylko dotknęło płomienia, niczym ćma, / która nie pojmuje zasady świata" – powiada Anna Piwkowska w wierszu „To, co tracimy".

Bezsiła materializuje się w kobiecym pisaniu jako tkanina, którą Penelopa bezustannie tka oraz pruje, by odroczyć nieuchronne („Niezgrabna tkaczka" Izabeli Filipiak), lub nić pajęcza, którą Arachne wysnuwa z siebie, wypełniając w ten sposób sformułowany przez Grażynę Borkowską w połowie lat 90. podstawowy warunek, podług którego „cokolwiek tworzysz, tworzysz siebie. Cokolwiek odsłaniasz, odsłaniasz siebie. Kobiety piszące (tworzące) tkwią wewnątrz konstruowanego dyskursu, niezdolne do dystansu, zerwania łączących je z tekstem więzi, niezdolne do samoskrycia, przysłonięcia i ucieczki".

Z kolei w „Kobiecie i duchu inności" z 1996 r. Maria Janion utożsamiła najważniejsze nowoczesne alegorie – Rozum, Rewolucję i zrywającą z reżimem feudalnym Republikę – z energiami kobiecymi. „Od dawna znana jest alegoria Wolności jako zbrojnej postaci kobiecej" – pisała. Tymczasem już za pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości (2006-07) okazało się, że transformacja ustrojowa wcale nie stanowiła powszechnej transformacji kulturowej, a rosnąca ekonomicznie Polska wcale nie jest aż tak postępowa – pisarki więc, miast poszerzać domeny wolności, zaczęły organizować się w intelektualny ruch oporu.

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

MARVEL / MATERIAŁY PRASOWE

*Gal Gadot jako Wonder Woman, 2017 r.*

Olga Tokarczuk w „Annie In w grobowcach świata" (2006) uczyniła bohaterkę ucieleśnieniem „chaosu, anarchii i wywrotowości". Ojciec Anny In uważał ją wręcz za element „aspołeczny" oraz „aboski" – ignorujący powinności rodowe i dążący do rozsadzenia porządku patriarchalnego. W związku z bezpardonowym atakiem obozu władzy na kobiety i próbą ograniczania im praw reprodukcyjnych Anna In pozostała „symbolem nieposkromionej i kontestatorskiej kobiecości, która występuje przeciwko represyjnemu, autorytarnemu systemowi", czyli figurą szlachetnego oporu wobec znacznie odeń potężniejszego dyskursu patriarchalnego („Anna In" to najsłabiej pamiętana powieść Tokarczuk).

### Gniew kobiet

„Boginie, bohaterki, syreny, pajęczyce" przeszły bez echa. Współautorki antologii opowiadań „Ziarno granatu. Mitologia według kobiet" (2022) obrały więc mniej subtelną strategię. Z trzynastu zróżnicowanych stylistycznie tekstów (dwanaście opowiadań i wstęp) wyłania się bezwzględna krytyka uniwersum mitologicznego. Autorki zrównują bogów oraz herosów z dyktatorami i tyranami, a zatem czynią z nich prototypy bezwzględnych władców i polityków, kolonizatorów oraz ślepych na krzywdę ludzką zarządców i urzędników. „Mity greckie odsłaniają współczesną barbarię. Antyczna agresja i mityczna obojętność wobec mordowanych, maltretowanych, wypędzonych – to świat dzisiejszy. (...) Władcy Parnasu napędzają się gniewem, rywalizacją, odwetem. Gwałtowni, nieprzewidywalni. Mylą mądrość z przebiegłością" – powiada Zyta Rudzka.

„Bogowie pragną władać całym światem, a nie potrafią panować nad sobą. (...) Nie potrafią dorosnąć, zatem wziąć odpowiedzialności za swoje działania" – notuje Rudzka. Nie dbają o dobrostan rodu, służby, zwierząt, natury. W walce o władzę i prestiż uciekają się do przemocy wobec poddanych oraz poniżania, gwałcenia i zabijania własnych żon, córek czy matek, z których większość to przecież boginie, nimfy, królowe. „Rodziny tworzą pułapki bez wyjścia. Napięcia, których nie sposób znieść. Nierozwiązywalne węzły przeciwieństw" – informuje Rea swą córkę Demeter w opowiadaniu „Znałaś tylko Korę" Elżbiety Cherezińskiej.

„Ziarno granatu" jest tomem zróżnicowanym oraz nierównym – niewolnym od kiczu feministycznego (boginiczności, waginocentryzmu itp.) oraz innych uproszczeń. Niemniej autorki, niesione gniewem polskich kobiet, wydobyły z achajskiego uniwersum archaiczną wersję Piekła Kobiet. Ich bohaterki działają więc oddolnie, dyskretnie, acz stanowczo – ich domeną pozostają podziemie, partyzantka i ruch oporu. „Sny chłopców są snami mężczyzn, dziewczęce marzenia nie są marzeniami kobiet" – stwierdza piastunka Odyseusza Eurykleja w tekście „Świat, który wymyśliłam dla Odysa" Barbary Sadurskiej, przenikliwie kwitując realne i nierealne aspekty biopolityki narodowej.

### Potwora

Pora na wydane właśnie „Kobiety i inne potwory. Tworzenie nowej mitologii" Jess Zimmerman, bo o nie tu głównie ↦

*Kadr z filmu „Gniew tytanów", Legendary Pictures, 2012 r.*

↦ chodzi. Autorkę zafrapowały wszechobecne w mitach greckich i rzymskich utożsamienia kobiecości z potwornością oraz następującą w ich konsekwencji demonizacją kobiet: „Potwory istnieją w opozycji do normalności: są za duże lub za małe, mają za wiele kończyn albo za mało oczu, są zbyt skomplikowane lub zbyt rudymentarne". Kultury czynią z wytrwałości, stanowczości, siły, dumy, namiętności czy wiedzy atrybuty męskie – stojące zaś za nimi kompetencje czy właściwości w przypadku kobiet utożsamiają z uporem, roszczeniowością, kłótliwością, tupetem, wulgarnością, zdzirowatością, natrętnością i przemądrzałością.

Kobiety bowiem powinny być opanowane, skromne i filigranowe: „Granice tego, co wolno kobietom, są sztywne i jest ich bardzo wiele. Mamy być uwodzicielskie, ale czyste, ciche, ale nie powściągliwe, delikatne, ale robotne i zawsze, zawsze małe. Nie możemy odnosić zbyt dużych sukcesów, być zbyt niezależne, za bardzo skupione na sobie, kiedy zaś nie udaje nam się pogodzić wszystkich sprzecznych oczekiwań, stajemy się groteskowe".

**Demonizacja kobiet służy ich kontroli i dyscyplinie.**

Rzeczywistymi monstrami w kulturze Zachodu są nie te, które przekraczają stawiane im granice, ale ci, którzy te granice wyznaczają.

Kobieta wyrazista odbierana jest jako śmieszna lub absurdalna, a nawet trudna, wynaturzona, potworna. Męska norma wyklucza też zdrowie czy szczęście kobiet. Niewiasta nie powinna zatem zbyt dużo jeść, zanadto się ruszać czy, nie daj Boże, pozostawać krzepką, śmiałą lub pewną siebie. Skutkiem dyskursu patriarchalnego są więc nie tylko niesprawiedliwe przesądy na temat kobiecości, ale i szereg chorób cywilizacyjnych – od anemii, apatii, nerwicy po depresję, anoreksję, bulimię.

Zdaniem Zimmerman wymowny przykład tej demonizacji stanowią harpie – złodziejskie z natury ptaki z kobiecymi głowami. Ciekawą relację na ich temat utrwalił Wergiliusz w „Eneidzie". Pewnego dnia statek Eneasza dociera na nieznaną wyspę. Żeglarze cumują i odkrywają sporo „wołów i kóz, których żaden nie strzegł pasterz". Zabijają je, by się posilić i złożyć bogom ofiarę. Nagle zlatują się z wrzaskiem harpie i „wszystko swym dotknięciem obrzydliwym kalają i wstrętnym odorem plugawią". Biesiadnicy wpadają w furię i zaciekle sieką pół kobiety, pół ptaki. Jedną z harpii okazuje się Kelajno – córka władcy wyspy. To do niej oraz jej sióstr należały wyrżnięte zwierzęta. Odrażające stwory nie napadły więc na podróżników po to, by uprzykrzyć im ucztę – chciały ukarać agresorów za kradzież. Eneasz nie myśli jednak w ten sposób. W jego oczach harpie wykazały się „monstrualną bezczelnością". „Kobieta, która próbuje odebrać to, co należy do niej, jest potworą" – konkluduje Zimmerman.

Harpię uważa się więc za „uzurpatorkę, która wyciąga rękę po cudze (nawet jeśli to »cudze«, jak woły z »Eneidy«, w rze-

czywistości jest jej)". Nagminne w kulturze Zachodu utożsamianie kobiet świadomych własnych praw oraz potrzeb z harpiami to silna sugestia, iż w gruncie rzeczy nic im się nie należy, a nawet jeśli coś osiągną lub posiądą na własność, to tylko dlatego, że wydarły to z rąk mężczyzny.

### Gadżet i smycz

Zimmerman pokazuje, że demonizacja kobiet służy nie tylko ich kontroli czy dyscyplinie, ale także przerzuca na kobiety moralno-prawną odpowiedzialność za przewiny mężczyzn, dzięki czemu prawdziwi winowajcy mogą we własnych oczach pozostać wyżsi i lepsi: heroiczni, majestatyczni, wszechmocni. Tymczasem rzeczywistymi monstrami w kulturze Zachodu są nie te, które przekraczają stawiane im granice, ale ci, którzy te granice wyznaczają.

Na dowód tego Zimmerman przytacza wiele przykładów. Jednym z nich jest jej czteroletni związek z mężczyzną, który „twardo stawiał granicę" w sferze seksu: „Wszystko, co mógł ode mnie dostać, a dostawał wiele, bladło wobec rozkoszy, którą sprawiało mu odmawianie mi tego, o co prosiłam. (...) Tym, czego pragnęłam bardziej od seksu, było uznanie; tym, czego on pragnął bardziej od seksu, było nieuznawanie mnie. Ponieważ ze sobą sypialiśmy (według każdej w miarę sensownej definicji) i jednocześnie nie sypialiśmy (według niego i, bądźmy szczerzy, na tle tego, czego chciałam), zawsze mam kłopot z wyjaśnieniem, dlaczego ta relacja tak bardzo mnie rozwaliła".

W jej opinii kochanek wprowadzał rozmaite normy i regulacje w ich relację, by sprawować nad nią pełną kontrolę, a przede wszystkim, by czerpać z nich „złośliwą przyjemność". Wiedział przecież, że zakochana w nim dziewczyna zgodzi się na wszystko, czego zażąda, i będzie nawet „interesująco cierpieć" – jeśli on taką wyrazi wolę. Jej pożądanie okazało się więc „gadżetem" i „smyczą", którą „przyduszał" ją i jednocześnie stawiał w pozycji „sprawczyni, architektki własnego bólu" – wszak „to ona chciała za dużo".

### Prawo harpii

W patriarchacie kobieta nie ma prawa mieć apetytu – nie prosi więc nigdy o dokładkę, choć z drugiej strony zawsze „grzecznie" dojada swoją porcję. Kobieta idealna jest bowiem „zaspokojona i łatwa do zaspokojenia", lecz jednocześnie potrafi zaspokoić wilczy apetyt mężczyzny – i to nie tylko w kwestii jedzenia. Zimmerman radzi zatem kobietom, by zaprzestały dalszego przykrawania własnego potencjału do arbitralnie narzucanych im granic, norm oraz praw. Dalsze samoograniczenia narażą je bowiem na kolejne traumatyczne doświadczania i wcale nie zagwarantują im „uznania w oczach mężczyzn".

W odróżnieniu od Piwkowskiej, Tokarczuk czy autorek „Ziaren granatu" nie zajmuje się mitami, by wydobyć ich bohaterki z kulturowego niebytu. Z drugiej jednak strony, podobnie jak polskie pisarki, Zimmerman wydobywa ciała potworów z odmętów, pieczar, otchłani i czyni z nich wehikuły do pokonywania stawianych kobietom ograniczeń: „Mitologiczne potwory strzegą granic po to, żebyśmy ich nie przekraczały; przypominają nam, co się dzieje, kiedy kobieta pragnie więcej, niż jej wolno (...) strzegą (...) granic (...): ambicji, intelektu, złożoności, władzy, dumy. Oznaczają obszary na mapie: »Nie wchodzić! Tu mieszkają potwory«".

Od razu jednak dodaje, że jeśli pokonywanie przeszkód czyni z kobiety „potworę", to w takim razie „potworność uwalnia z więzów". Radzi więc zaryzykować – ostrzeżenia potraktować jak drogowskazy i rozsmakować się w życiu pełnym przesady i komplikacji (w za dużym ciele i z zanadto wygórowanymi aspiracjami). Ta jedna droga prowadzi bowiem „do siebie" i pozwala się umościć we własnym jestestwie w myśl zasady: „Tutaj zamieszkaj, potworo".

Kiedy Achilles rozgniewał się na Agamemnona za odebranie mu jego własności (branki Bryzeidy), nikt go wtenczas nie nazwał harpią. I słusznie. Czas więc, by kobiety także przestały się wstydzić własnych potrzeb, pasji, emocji. Kobieta, która strzeże autonomii własnego ciała i prawa do decydowania o sobie, a ponadto spodziewa się uznania swoich zasług oraz wynagrodzenia za pracę zawodową albo domową, nie jest wcale harpią, która wyszarpuje coś z rąk mężczyzny. Rzeczywistymi potworami są mizogini, którzy prawa kobiet nieodmiennie traktują jak zabawkę – przynoszący im rozkosz gadżet lub podduszającą je smycz. © KAROLINA FELBERG

WARNER BROS

## Nowe mitologie

**BOGINIE, BOHATERKI, SYRENY, PAJĘCZYCE.** red. Alessandro Amenta, Krystyna Jaworska, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2020

Mity odzwierciedlają normy i wartości, decydują o naszym postrzeganiu świata oraz o tym, jak rozumiemy kategorie męskości i kobiecości. Zebrane w tej książce studia przepisują historie i reinterpretują postaci mitologiczne w oparciu o twórczość polskich autorek. Na czym to polega? Na przykład na próbie skojarzenia pajęczego „tkania" z tworzeniem przestrzeni i odejściem od społecznej hierarchiczności.

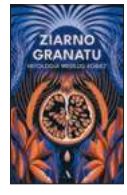


**ZIARNO GRANATU. MITOLOGIA WEDŁUG KOBIET,** red. Paweł Goźliński, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2022

„Bogowie nie mają talentu do życia – przekonuje we wstępie otwierającym zbiór opowiadań Zyta Rudzka – gniewają się, mszczą, gwałcą i mordują. Trudno ich pokochać". A boginie? Za sportretowanie ich we współczesnych dekoracjach odpowiadają najlepsze pisarki, m.in. Weronika Murek (jej tematem jest Ifigenia), Joanna Rudniańska (pisze o Jokaście), Barbara Sadurska (Eurykleja, Penelopa i Kirke) i Dominika Słowik (Kora).

**JESS ZIMMERMAN, KOBIETY I INNE POTWORY. TWORZENIE NOWEJ MITOLOGII,** przeł. Hanna Pustuła-Lewicka, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023

Amerykańska poetka i doświadczona redaktorka zestawia współczesne boginie, ikony popkultury, z boginiami ze szkolnych lektur. Punktem wyjścia eseju jest wizerunek meduzy – potwora z twarzą kobiety, który wprowadził do zachodniej kultury podejrzliwość względem przedstawicielek tej płci. ©℗ MOCH

OLGA

# Drenda:
## *Ciasto z groźbą*

Ludzie uczestniczą dobrowolnie w aktach okrucieństwa, bo czują wtedy euforię. Czują się szczęśliwi i połączeni wspólnotą – pisał dziennikarz „The Atlantic", Adam Serwer, gdy zastanawiał się nad fenomenem zbiorowego szyderstwa i właśnie przemyślanego okrucieństwa jako klucza do sukcesu prezydentury Donalda Trumpa. Poprzedni przywódca USA odkrył, że ma elektorat, który łączyło nie tylko poczucie niedocenienia i tęsknoty za „amerykańskim marzeniem", ale też, co strach przyznać (bo człowiek empatyczny w każdym chce dostrzegać jakieś racje, co bywa niemądre), upodobanie do brutalnych spektakli.

Nie jest to zjawisko specyficznie amerykańskie ani też nowe w historii i na pewno nie wymyślono go w XXI wieku. W czasach sprzed kina i telewizji to egzekucje bywały właśnie źródłem specyficznej rozrywki. Wśród publiczności zapewne wielu ludzi gromadziło się, by w kontrolowanych warunkach przeżyć coś strasznego, co później zagospodarował film; inni chcieli przekonać się na własne oczy, że sprawiedliwość – jak ją pojmowali – istnieje. Ale – jak można przekonać się choćby po relacjach z ostatniej publicznej egzekucji we Francji (wkrótce przed II wojną światową, w czerwcu 1939 r.) czy po upiornych pocztówkach-pamiątkach z linczów w USA, które przypomina Adam Serwer – są i tacy, którzy szukają w okrucieństwie makabrycznego poczucia komitywy.

Takie strony ludzkiej psychiki przywodzą na myśl sadystyczny cień karnawału, o którym pisał francuski historyk Georges Minois. W średniowieczu „święto głupców" służyło za wentyl dla spontanicznych emocji, chwilę koncesjonowanego szaleństwa, która miała następnie utwierdzać powrót do porządku. Minois przypomina jednak, że granica między rytualną zabawą a „tyrańskim i ohydnym śmiechem dręczycieli", który towarzyszył nie inscenizowanym, a prawdziwym aktom przemocy, i to tym popełnianym w imię grupowej solidarności, bywała bardzo cienka, a czasem nieistniejąca. W istocie rozrywka polegała wówczas często na szczuciu, czasem z tragicznym skutkiem, kogoś wytypowanego na odstępcę, np. przybysza, człowieka żyjącego samotnie, „lokalnego prostaczka" czy kogoś łamiącego niepisane zasady.

Po co, a może raczej dlaczego

OLGA DRENDA

Serwer i Minois podkreślają, że okrucieństwo nie jest jednostkowym wybrykiem jakichś rzadkich samotnych wilków, przeciwnie: jest wybitnie stadne. Tym łatwiej je praktykować, gdy działa się w grupie – wówczas może nawet doprowadzić do euforii. Przypominam sobie o tych refleksjach obserwując czasami zjawiska, które wydają się pozornie niepojęte. Oto sympatyczne panie emanujące na zdjęciach rodzinnym ciepłem, ubrane w schludne garsonki, chwalące się ciastem i ogródkiem, albo poczciwie wyglądający, budzący zaufanie starsi panowie zdradzają się z egzekutorskimi marzeniami. Ich pełne babcinego ciepełka wizerunki publiczne kłócą się z wypowiedziami o odważnej posłance, która wraz z rodziną stała się celem okrutnych szykan. Sympatyczni państwo od deserów i ogródków nie mają żadnych hamulców w stosowaniu gróźb karalnych. Ich euforia i poczucie triumfu towarzyszące symbolicznemu kopaniu pokrzywdzonej mogą zdumiewać, ale one biorą się z tego samego źródła, co uładzone obrazki. Źródłem tym jest poczucie bycia prawowitym obywatelem, spełniającym swoje obowiązki. Możliwość zglanowania wytypowanego osobnika jest gratisem do prawowitości i poniekąd z niej wynika. Śmiechem tyrańskim obywatel po prostu potwierdza swój status porządnego.

Nie jestem miłośniczką tłumaczenia zachowań za pomocą spekulacji ewolucyjnych. Słysząc je, ludzie mają skłonność do używania testowych hipotez jako usprawiedliwień i pobłażania najpaskudniejszym czynom („nic na to nie poradzę, tak trzeba" albo wręcz „kłamię i zdradzam, bo to buduje relacje społeczne") czy na zasadzie nieuchronnej ręki boskiej (a ręka ta jeszcze dodatkowo miałaby głaskać brzydką małpę w nas samych). Sadystyczna satysfakcja nie jest właściwością „ukrytą pod cienką warstwą kultury". Ona jest częścią kultury, a bywa, że i jej paliwem.

Wolę myśleć o tym jako o niebezpiecznym potencjale czy zjawisku utajonym, z którym trzeba żyć całe życie, jak z wirusem opryszczki. Nie jako jednostki, a jako zbiorowości. Jeśli zaprzeczymy jego istnieniu, w najgorszym momencie wyskoczy jak upiorny klaun z pudełka. Ale nie można też przeciwdziałać mu apelując do przyzwoitości, rozsądku czy empatii, gdyż praktykujący je uważa siebie za dysponenta tych cech. Być może, ciągnąc dalej nieco tanią analogię z wirusami, najbardziej przydatna jest świadomość tego, kiedy są one bardziej skłonne się aktywować. Bo czasami, jak na upiorną ironię, przyczynia się do tego coś, co jesteśmy skłonni uznawać za lekarstwo. Czyli poczucie wspólnoty. ©

PAWEŁ

# Bravo:
## *Pora podaży rzepy*

Nie mają pomidorów? Niech jedzą rzepę! Doprawdy, ministra środowiska w rządzie Jego Królewskiej Mości wcale nie żywi aż takiej pogardy dla ludu jak Maria Antonina, a jednak powinna się była spodziewać, że wpadnie w pułapkę nieśmiertelnego archetypu aroganckiej władzy. Czy także w tym przypadku jedyne wyjście poprowadzi przez (symboliczny na szczęście) szafot? Zobaczymy, brytyjski rząd ma przed sobą szereg ciężkich prób (Anglicy mają na to piękne określenie *disaster waiting to happen*, czyli: z góry przewidziana katastrofa) i ciut niefrasobliwa odpowiedź pani Thérèse Coffey na interpelacje posłów o nagły niedobór warzyw w sklepach nie będzie raczej powodem do natychmiastowej dymisji.

A przecież mówiła całkiem do sensu: „ważne jest, byśmy umieli docenić specjały naszego kraju, dużo ludzi w tym okresie raczej wolałoby zjeść rzepę, niż zastanawiać się, co z tą sałatą czy pomidorami". Polityka na Wyspach jest, owszem, znana z tego, że umie przetykać zrytualizowane procedury mocnymi akcentami humoru, groteski i absurdu, ale zagadnienie wyższości krajowej rzepy nad cudzoziemskim owocem psiankowatym należało do poważnych. Otóż w połowie lutego główne sieci supermarketów, które kontrolują tam ponad 90 procent detalicznego obrotu zieleniną, zaczęły reglamentować sprzedaż nie tylko pomidora, ale i papryki, ogórka tudzież sałaty, zapewniając zawsze głodnym oznak apokalipsy telewizjom stosowne obrazki wymiecionych do cna półek. Co nie umknęło uwadze również mediów rosyjskich, o czym za chwilę.

Tłumaczenia przyczyn były proste i wiarygodne: wskutek pogorszenia pogody w Hiszpanii i północnej Afryce załamały się dostawy z tego kierunku, będące podstawą warzywnych rynków w zimie. A z kolei Holendrzy, potentaci w eksporcie wszelkiej żywności, nie zapewnili dość towaru, by tę lukę zapełnić, bo ogrzanie szklarni przy obecnych cenach energii oraz zapewnienie dostatecznej ilości nawozów jest kompletnie nieopłacalne, zwłaszcza wobec morderczych wymagań brytyjskich sieci handlowych. W przeciwieństwie do tych z kontynentu, starają się one prawie nie podnosić cen produktów z podstawowego koszyka (na kalafiorze jest np. średnio trzykrotne przebicie między sklepem w Dover a sklepem w Calais, o ile ktoś zdoła go po angielskiej stronie kupić), a koszt tej „tarczy" przerzucają na dostawców, wymuszając umowy na bardzo długi termin ze sztywną ceną, bez względu na to, co się w międzyczasie wydarzy. Ostatnio zaś, choćby z uwagi na skoki cen gazu albo postbrexitowy deficyt tanich robotników polowych z Polski i okolic, wydarzyło się sporo.

Ta „niewidzialna ręka Tesco", jak krytycy określają zasadę wypaczającą model rynku spożywczego, sprawiła pani ministrze Coffey jeszcze inną przykrą niespodziankę: otóż, jak szybko wywęszyli dziennikarze, w jej okręgu wyborczym właśnie likwiduje się największy na Wyspach plantator... rzepy. Z powodu, oczywiście, rosnących kosztów niemożliwych do zrekompensowania w układach z oligopolem supermarketów. I tak oto Władimir Putin mógł kilka dni temu, przemawiając na forum Wszechrosyjskiego Związku Przemysłowców, zauważyć: straszyli nas, że będziemy mieli puste półki, a to oni teraz proponują swoim obywatelom, żeby jedli więcej rzepy. *Riepa – choroszyj produkt*, konstatował satrapa, ale i po nią będą musieli się do nas pofatygować, bo nasze plony daleko przewyższają te na zgniłym Zapadzie.

Trochę to on jednak jest zgniły, skoro martwi nas cena pomidorów w marcu. O społecznej hańbie niewolnictwa i wyzysku, które się za ich uprawą kryją, mogliście przeczytać choćby tydzień temu w „Tygodniku". Przeżyjemy bez nich. Ale zagwarantowanie sobie niezaburzonej podaży rzepy, pasternaku, kapusty i wszystkiego, co naprawdę teraz „sezonowe", aż do co najmniej maja, to wyzwanie chyba równie ważne, co większa produkcja amunicji. ©℗

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

*Nie tylko rzepa nabrała w królestwie Karola politycznego znaczenia – zagrożony jest również por. Mogło go zabraknąć na 1 marca, gdy Walia obchodzi uroczyście dzień świętego Dawida (tak jak Irlandia ma świętego Patryka). A jego symbolem jest właśnie por, nosił go przy kapeluszu szekspirowski Henryk V, chcąc za Walijczyka uchodzić – o czym mogłem nie wiedzieć, bo stary przekład Ulricha mówi o „czosnku". Walijski separatyzm to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje Rishi Sunak, walcząc o spokój w Ulsterze, skandal udało się zażegnać, pora wystarczyło. Szkoda, że nasi narodowi święci nie mają takich poczciwych symboli, marzy mi się idąca 8 maja przez Kraków procesja świętego Stanisława z wieńcami cebuli... Tymczasem jednak zróbmy delikatny krem z pora o eleganckiej nazwie vichyssoise (choć przepis pochodzi z Ameryki), w sam raz na pierwsze naprawdę ciepłe popołudnia. Kroimy drobno cebulę oraz białą część dwóch dużych porów, dusimy parę minut na oliwie, dodajemy ok. 1/2 kg ziemniaków (starych! nie z Maroka!) pokrojonych w kostkę i zalewamy litrem wody lub lekkiego bulionu. Gotujemy pod przykryciem pół godziny. Po wystudzeniu miksujemy, dolewamy ok. 1/4 litra mleka i nieco kwaśnej śmietany do smaku. Chłodzimy, a na wydaniu posypujemy szczypiorkiem.*

# SĄ TYLKO PRZYCZYNY

Gdzie jest życie, tam są nawyki i emocje. Myśl o winie, osąd – będą się z nich rodzić. Może warto nie sądzić samych osądów, tylko badać źródło ich powstawania. Co je karmi, a co sprawia, że tracą siłę.

PIOTR SIKORA

GRAŻYNA MAKARA

*Rodzinna kolacja w Baños del Carmen. Malaga, kwiecień 2019 r.*

Chciałbym zacząć od mojego niedawnego doświadczenia. Przeglądając internet, przeczytałem informację o samobójczej śmierci dziecka, które najpierw zostało skrzywdzone seksualnie przez znajomego matki, a potem nie wytrzymało hejtu, który je spotkał. A spotkał je hejt, bo dziennikarze z politycznych powodów ujawnili informacje umożliwiające identyfikację młodego człowieka.

Poczułem gniew. Nie ja jeden. W mediach społecznościowych zaroiło się od epitetów: „hieny", „szczujnia", „mordercy". Zobaczyłem na Facebooku zdjęcie radiowca, który te informacje pierwszy podał do wiadomości publicznej, a poniżej czarno-białej, niezbyt sympatycznej twarzy numer jego telefonu.

Pierwsza myśl, natychmiast podsunięta przez złość palącą od mostka do mózgu: zadzwonię, nawrzucam mu, psychicznie wgniotę go w ziemię albo chociaż wzbudzę (pogłębię?) poczucie winy... Zaraz potem nadeszła myśl druga: zakładając nawet, że się dodzwonisz, że ten człowiek nie rzuci od razu słuchawką, co – jak sądzisz? – zrobi z twoimi wściekłymi oskarżeniami? Przyjmie potulnie czy odrzuci w obronnym odruchu? A jeśliby nawet – szepnęła myśl trzecia – przyjął i przyznał: doprowadziłem do samobójstwa chłopaka, a następnie zapytał: co teraz? Śmierci nie da się cofnąć, naprawić – mam samemu się zabić? Co odpowiesz? Czy naprawdę – trzecia myśl nie dawała spokoju – uważasz, że ten dziennikarz chciał samobójstwa dziecka?

Moja złość – będąc emocją dającą siłę do walki w obronie tego, co ważne – szamotała się chaotycznie i stawało się coraz jaśniejsze, że nie pasuje do sytuacji, w którą wpadłem, czytając wiadomości o cudzym cierpieniu. Życie dziecka zostało stracone, nie było czego już bronić, walka o nie (teraz) była bez sensu. Złość – na szczęście – nie była jedyna, wypuściwszy jej trochę razem z dłuższym wydechem (pierwszym, drugim, kolejnym...) odkryłem: pod nią – i przed nią – był smutek.

Tak: przeczytawszy o śmierci, najpierw się zasmuciłem. Trwanie w smutku jest jednak trudne – najłatwiej stłumić go było wściekłością na „złego człowieka". Ale przecież to smutek tutaj i teraz był najwłaściwszy: płacz nad dzieckiem, płacz z jego matką, a nawet płacz, że jacyś ludzie doprowadzili do nieszczęścia, którego – zapewne – spowodować nie chcieli.

## Dysregulacja

Piszę o tym doświadczeniu, bo łączy w sobie to, co publiczne, powszechnie znane, i to, co moje własne, ale w czym ktoś, być może, rozpozna mechanizmy wewnętrzne także w niej lub w nim działające. Piszę także dlatego, że jakiś czas później okazało się, iż medialna bitwa o interpretację tamtej tragedii była tylko przygrywką do znacznie bardziej rozległych „działań wojennych"...

Społeczeństwo, w którym żyjemy, coraz bardziej przypomina skonfliktowaną rodzinę, której członkowie z jakichś powodów nie potrafią ze sobą rozmawiać inaczej niż krzycząc nawzajem na siebie, obrzucając się wulgarnymi epitetami i z trudem powstrzymując od ↦

↦ rękoczynów. Co jeszcze boleśniejsze, nie chodzi tu tylko o analogię – wszak społeczeństwo to nie jakiś byt abstrakcyjny. Jest jak tkanina – spleciona z bliższych i dalszych relacji. To, co widoczne w tzw. dyskursie publicznym – w mediach tradycyjnych i społecznościowych – obecne jest również, przypuszczam (niestety z dużą dozą pewności), w relacjach o mniejszej „skali", z daleka niemal niedostrzegalnych, ale znacznie ważniejszych dla kształtu pojedynczego życia: w rodzinach, w pracy, w kontaktach towarzyskich, sąsiedzkich.

Jeśli moje ponure podejrzenie jest słuszne, to na tych wszystkich poziomach społecznej rzeczywistości rozwija się festiwal emocjonalnie podgrzanego osądzania, rośnie nieufność albo wybuchają jawne konflikty. Napięcia w sprawach osobistych wzmacniane są awanturami o to, która telewizja to szczujnia, a która dostarcza prawdziwych wyjaśnień świata; jacy politycy służą ofiarnie społeczeństwu, a którzy to złodzieje i szubrawcy; kto uosabia wartości niezbędne do przetrwania narodu/demokracji/rodziny/jednostki, a kto jest hipokrytą i łotrem; co jest oczywiste (i przyjęte powinno być przez każdego wykazującego minimum inteligencji i dobrej woli): że rozwija się perfidny atak na najcenniejsze dla nas świętości czy też że konsoliduje się ohydna obrona czarnych pedofilów...

Piszę to wszystko dlatego, by podzielić się myślą, która nie daje mi spokoju: a gdyby tak podejść do życia zupełnie inaczej? Gdyby przyjąć, na przykład, perspektywę dialektyczno-behawioralną? To nie tylko nurt psychoterapeutyczny, ale także filozofia życiowa, która – są na to empiryczne badania – świetnie sprawdza się w terapii osób z dysregulacją emocji oraz w niezwykle konfliktowych związkach, w których ludzie ci żyją. Wiem, ryzykowny to pomysł: psychoterapia społeczna. Czyż jednak nie znaleźliśmy się właśnie w stanie permanentnej, ogólnopolskiej emocjonalnej dysregulacji?

Coraz bardziej przypominamy skonfliktowaną rodzinę, której członkowie nie potrafią ze sobą rozmawiać inaczej niż krzycząc nawzajem na siebie, obrzucając się wulgarnymi epitetami **i z trudem powstrzymując od rękoczynów.**

### Dialektyka

Proponuję zatem rozważyć, co by było, gdybyśmy – po pierwsze – przyjęli założenie, że w sprawach ludzkich relacji, społecznych procesów czy politycznych decyzji nie istnieje jeden wyróżniony punkt widzenia, w którym odzwierciedla się absolutna prawda o danej sytuacji. Dla współczesnej filozoficznej teorii poznania to założenie wydaje się oczywiste. Czyż bowiem my, ludzie, nie jesteśmy ograniczeni, a poznanie nasze czyż nie jest naznaczone naszą perspektywą? A skoro na każdą sytuację patrzymy z jakiejś ograniczonej perspektywy, to trudno zaprzeczyć, że każda taka perspektywa coś pomija i coś zniekształca. Może zatem istnieć, a nawet: najprawdopodobniej istnieje, inny punkt widzenia, z którego tę samą sytuację widać całkiem inaczej. Nie tak więc głupi okazuje się pomysł, że obie te perspektywy mogą być uprawnione, nawet jeśli nie mamy pojęcia, jak je ze sobą uzgodnić.

Jak to może wyglądać? Choćby tak: spieszę się, ale ruch na jezdni jest taki, że nie mogę nawet wystartować z parkingu. Moje dziecko jest chore, niepokój pobudza myśli: czemu te samochody jadą tak jeden za drugim, egoiści – nikt nie chce zrobić mi miejsca, ta odległość między autami wystarczy, bym się włączył bezpiecznie do ruchu. To wszystko prawda. Wciskam gaz. Jednak człowiek w tamtej furgonetce również widzi prawdziwie: czarny SUV nagle ruszył, z piskiem opon wskoczył przed jego maskę, zmusił do wciśnięcia pedału hamulca...

Dialektyczne napięcie dotyczy także spraw poważniejszych. Weźmy Kościół i chrześcijaństwo. Historia mojego życia umieściła mnie w miejscu, z którego na pierwszym planie widać ludzi próbujących żyć Ewangelią, rozwijać się duchowo, budować wspierające wspólnoty. Owszem, zderzyłem się również z bezdusznością instytucji, doświadczyłem też krzywdy. Moja prawda jest jednak taka: to drugie jest wtórną naroślą, niszczącą życie, które płynie naprawdę – wiem, bo jestem w nim zanurzony. Jednak znam także ludzi, którzy mówią: nie wiemy, o czym ty opowiadasz; Kościół to miejsce naszej największej traumy; wszelkie dobro chrześcijańskiej tradycji ukazuje się jako pozór, iluzja. Ich doświadczenie jest równie prawdziwe jak moje. Żadne nie niweczy drugiego.

Jak by więc to było: uznać napięcie perspektyw, zauważając zarazem, że ludzki umysł dąży do zbudowania jednej, spójnej wizji świata, i że to dążenie jest uprawnione, zrozumiałe i cenne? Podobnie jak uprawniona, zrozumiała i cenna jest zgoda na to, że owo pragnienie spójności nigdy nie zostanie spełnione. Iluzja zaś, iż spełnione zostało, rodzi konflikt i niesie cierpienie.

Co by się więc wydarzyło, gdyby próbować luzować choć trochę własne myślowe zaciski, spowalniać proces budowy spójnej, jedynie słusznej teorii wszystkiego? Co by było, gdyby umieć szczerze powiedzieć: nie zgadzam się z tobą i czuję inaczej, ale uznaję twoje emocje, rozumiem, dlaczego posiadasz poglądy inne od moich? Albo nawet: zupełnie nie wiem, skąd się twoje uczucia wzięły, niepojęte jest dla mnie, jak można patrzeć na świat na twój sposób, ale chętnie się dowiem, spróbuję zrozumieć, ciekaw jestem, czy mój ogląd świata poszerzy się przez to w jakimś wymiarze.

### Życzliwość interpretacji

Działania innych często stanowią dla nas większy problem niż ich poglądy – albowiem zmieniają świat, wpływając na nasze życie. W przypadku działań potrzeba bardziej rozwiniętej umiejętności utrzymywania równowagi.

Może jednak warto spróbować, zaryzykować i dowiedzieć się, jak by wyglądały nasze relacje, gdybyśmy przyjęli dwa dialektyczne założenia co do uczynków naszych bliźnich. Pierwsze z nich sugeruje, by wszelkie zachowanie osób, z którymi mamy do czynienia, interpretować jak najbardziej życzliwie. Brzmi bowiem: każda (i każdy) stara się w danym

momencie najlepiej, jak może. Założenie drugie, pozostające z pierwszym w napięciu, zabezpiecza otwartą drogę do zmiany, leczy z iluzji, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów, oraz z pokusy, by dla wygody pozostać przy aktualnym *status quo*. Głosi: jeśli świat ma być lepszym miejscem niż to, jakim na razie jest, każda i każdy musi starać się bardziej.

Gdyby zatem uznać na przykład, że krewny, z którym widujemy się rzadko, który jednak przy każdym spotkaniu krytykuje wygląd naszych dzieci i to, że my na to pozwalamy, najlepiej jak umie próbuje zabezpieczyć świat przed chaosem i troszczy się o szczęście swojej dalszej rodziny (choć doprowadza ją tym samym do szewskiej pasji)? A z drugiej strony: zgodzić się, że dzieci, które wówczas wychodzą trzaskając drzwiami, w ten sposób najlepiej jak potrafią dbają o spokojny przebieg familijnego zjazdu? A następnie nie kierować się radami krewnego. Uczyć dzieci innego rodzaju dystansu.

Albo sprawdzić, jak byśmy się czuli, dopuściwszy choćby możliwość, że politycy, których gęby wkurzają nas strasznie i których decyzje naprawdę utrudniają nam życie, robią, co robią, bo tylko w ten sposób potrafią radzić sobie ze splątanym kłębkiem własnych myśli, wstydów, lęków, pożądań... Gdyby tak o nich pomyśleć, a potem wypuścić ich obraz z własnego umysłu. W swoim czasie głosować na innych.

### Wywrócić szachownicę

Jak by to było w momencie konfliktu, w obliczu katastrofy rozbitego ulubionego flakonu, złamanego serca, zderzenia ze złym prawem, w każdej chwili cierpienia nie krzyczeć: „twoja wina!", „wasza wina!, „jej/jego/ich wina!"? Nie brać też jednak winy na siebie. Jak by to było – w ogóle nie szukać winnych, całkiem o winie zapomnieć? A jednocześnie: nie udawać, że wszystko w porządku, że nas nie boli, że komuś nie stała się krzywda, że świat, związek, firma, ojczyzna funkcjonują tak dobrze jak na reklamach lub w spotach wyborczych.

Co by się stało ze światem, gdybyśmy zamienili szukanie winnych na dokładne i przenikliwe poszukiwanie przyczyn takiego, a nie innego obrotu spraw, na cierpliwe dążenie do ujawnienia mechanizmów powodujących ludzkie cierpienie? Gdybyśmy skupili się na rozpoznaniu i wyrażeniu swoich celów, pragnień, potrzeb, emocji, wzorców reakcji? I – jednocześnie – na wysiłku zrozumienia, jakie są cele, pragnienia, potrzeby, emocje drugiej osoby? Gdybyśmy badali, gdzie te dwie perspektywy wspierają się, a gdzie – i dlaczego – pozostają w napięciu albo w konflikcie?

Akcja rodzi reakcję. Czyż nie jest tak, że wzajemne obarczanie się winą przyćmiewa nasz umysł? Obwinianie rodzi reakcje obronne, próby przerzucania odpowiedzialności na innych, odwracania uwagi od tego, co naprawdę jest trudne. Im gwałtowniejszy atak, tym zacieklejsza obrona. Im groźniejsze jest zwarcie, tym bardziej wzrok skupiony na wrogu, a nie na rzeczywistości wokół. Im więcej osądów oraz oskarżeń, tym silniejsze emocje i bardziej przez nie skrzywione zwierciadło umysłu. Co by było, gdybyśmy oddzielili pytanie „czyja wina?" od innego: „kto jest odpowiedzialny?".

### Nic na siłę

Odpuszczenie osądów, zapomnienie o winie nie jest łatwe. Tego ruchu nie da się zrobić mocarnym napięciem woli. Wymaga raczej zręcznej współpracy wielu umiejętności. Uważnej obserwacji własnych granic. Rezygnacji z arbitralnego ich wyznaczania, ale po prostu patrzenia: one są tam, gdzie są. W tym momencie to potrafisz, a tego już nie dasz rady, przynajmniej bez wielkich psychicznych kosztów. Dostrzeżonej granicy nie przekraczaj, chyba że w ważnej sprawie. A wówczas pamiętaj o kosztach.

Gdzie jest życie, tam są nawyki, emocje. Myśl o winie, osąd – będą się z nich rodzić. Może warto nie sądzić samych osądów. Z ciekawością badać źródło ich powstawania. Co je karmi, a co sprawia, że tracą siłę.

Jak by to zatem było obserwować siebie, bliźnich i świat, uważnie patrząc na to, co właśnie się dzieje, z umysłem nieprzesłoniętym mgłą wspomnień, planów, niepokojów, fantazji? Obserwować, co jest, bez nakładania na rzeczywistość osądzających interpretacji. Słyszeć za oknem śmiech i głośne nawoływanie się dzieci, nie wrzaski rozwydrzonych bachorów. Widzieć nieskuteczne działania szefa, który sobie nie radzi, niekoniecznie złośliwe rzucanie nam kłód pod nogi.

Być jednocześnie w pełni świadomym, kiedy działanie bliższych i dalszych nam osób rani nas – albo innych. Czuć smutek, niepokój, radość i gniew. Dać sobie prawo do wszystkich emocji. Sprawdzać tylko, czy są reakcją na to, co do nas przychodzi, czy raczej odpowiedzią na nasze własne myśli albo emocje wcześniejsze. Zastosować życzliwą interpretację także do siebie. Pielęgnować w sobie świadomość, że tu i teraz, patrząc na świat z jedynej dostępnej mi perspektywy, żyję, jak umiem, staram się, ile potrafię. A jednocześnie, że chcąc nie krzywdzić innych, poprawić świat, muszę starać się bardziej.

Może rację mają ci, którzy twierdzą, że dopiero akceptacja świata i siebie otwiera możliwość zmiany na lepsze.

### Bez przymusu

Dzieląc się myślą, która nie daje mi spokoju, chciałbym na koniec podkreślić: nie traktujcie tego, co piszę, jako próby sformułowania jakiegoś wymogu, normy, którą trzeba wypełnić. Być może ten pomysł zastosowania na poziomie społecznym dialektyczno-behawioralnej filozofii życiowej – w swoich źródłach indywidualnej, psychoterapeutycznej – jest nietrafioną utopią.

A nawet jeśli nie jest, to w takim podejściu do życia nie ma: „musisz", nie ma nawet: „powinnaś/powinieneś". Jest tylko uważne przyglądanie się przyczynom i skutkom, działaniom – skąd się biorą i ku czemu prowadzą. Jeśli ktoś zatem uważa, że z dwóch niezgodnych perspektyw tylko jedna powinna się ostać; albo, gdy widzi cierpienie, jest przekonany, iż słusznie jest szukać winnych i chce ich znaleźć – nie robi nic złego, nie zaciąga żadnej winy. Ja mam tylko ochotę, by komuś takiemu powiedzieć: patrz uważnie, dokąd zmierzasz.

©℗ PIOTR SIKORA

## Przepraszamy

DOROTĘ KOTAS oraz KATARZYNĘ KUBISIOWSKĄ za opublikowanie w wydaniu nr 11/23 nieautoryzowanej wersji wywiadu.

REDAKCJA

STANISŁAW

# Mancewicz: *Bums!*

Minister sprawiedliwości jest uzbrojony. Widzieliśmy. Nosi na co dzień pistolet za paskiem spodni i chciałoby się tu rzec: dobrze, że nie jest to granatnik. Ale sprawa wcale nie jest aż tak śmieszna ani, jak kto woli, tak żałosna, na jaką na pierwszy rzut oka wygląda.

Zaiste o sprawach poważnych i niepoważnych dyskutuje się – jak teraz ze wszystkim – tylko chwilę, by zaraz zapomnieć, zmienić temat, zająć się czyimś brzuchem bądź jego brakiem czy takoż włosami, bądź takoż ich brakiem. Mamy nie do końca uświadomione przeczucie, że trzy dni po wybuchu jądrowym media i ich komentatorzy zajmą się czymś ciekawszym. Dajmy na to wpadkami makijażowymi podczas gali rozdania Oscarów albo czymś w tym guście. Oczywiście porównywanie obecności pistoletu za paskiem spodni Zbigniewa Ziobry do wybuchu nuklearnego nie jest zamierzone ani sensowne, ale chodzi nam o tempo, w jakim coś dostrzegamy, by zaraz uznać to za nieważne i zdezaktualizowane. Tymczasem nie wszystko w życiu, a tym bardziej w państwie, staje się bądź się z dnia na dzień dezaktualizuje. Zwłaszcza owe trendy makijażowe, ale i mody na noszenie broni palnej przez najwyższych funkcjonariuszy państwowych.

Zacznijmy od pytania klasycznego: po co człowiek się zbroi? Odpowiedzmy krótko. By strzelać. Ktoś spróbuje teraz oponować. Niesłusznie. Człowiek uzbrojony jest gotów strzelić, tym samym jest gotów zabić. Musi być na to przygotowany. Psychicznie i fizycznie. Taka jest żelazna logika noszenia pistoletu za paskiem. Dalsze pytania, w rodzaju: „czy jest pan/pani gotowa zabić?", są zbędne. Człowiek uzbrojony, nie bandzior, w sytuacji zagrożenia wyciąga pistolet. Mierzy, najlepiej w nogę, potem zaś, gdy ma czas, woła, ostrzega, a gdy to nie oddala niebezpieczeństwa, strzela. Strzelał w nogę, trafił w głowę. Tak bywa. Niechcący. A więc leży przed nim stygnący trup, czeka nań prokurator i sędzia. „Byłem zdenerwowany" – powiada. „Źle trafiłem. Nie chciałem". Mamy problem. Otóż nie ma się co łudzić, łatwiej jest zabić bliźniego, gdy się ma pistolet i gdy się człowiek zdenerwuje. Dlatego – przynajmniej teoretycznie – tych, którzy o broń się starają i chcą ją mieć legalnie, bada się i poddaje testom. Czy aby za prędko się nie denerwują, mówiąc oględnie. Czy potrafią celować? Są to sprawdziany przynajmniej teoretycznie zabezpieczające przed nadpobudliwymi psychopatami bądź miękiszonami, z którymi i tak są same kłopoty, więc po co im jeszcze dawać do ręki broń palną. Mówiliśmy tu raczej o szarym użytkowniku pistoletów. Dziś jednak nie o niego nam idzie, a o ministra sprawiedliwości.

Oto patrzymy na jednego z najpilniej strzeżonych ludzi w Polsce. Na jego ochronę wydajemy gigantyczne kwoty. Codziennie. Od wielu lat. Po to, między innymi, by nasz minister czuł się bezpiecznie w swoim własnym kraju, na ulicach naszych polskich miast, podczas podniosłych uroczystości, licznych odsłonięć tablic, mnogich poświęceń, przecięć i tym podobnych zdarzeń, w których urzędnik ten uczestniczy i ku uciesze gapiów przemawia. Okazuje się jednak, że to na nic, że minister sprawiedliwości nie ufa tysiącom swoich ochroniarzy, snajperom, jawnym, tajnym i dwupłciowym policjom kraju tego. Uzbrojonym po zęby we wszystko, w co się da. Czy – tu pojawia się słuszne pytanie – możliwe, że brak zaufania pana ministra ma podstawy? Czy raczej jest to nieufność kwalifikująca się do nadania jej statusu, z którego winna wynikać prędka weryfikacja jego pozwolenia na broń palną. To by było i śmieszne, i straszne. Ale możliwe. Jest coś jeszcze. Możliwe, że minister sprawiedliwości po prostu dobrze się czuje, gdy ma przy sobie pistolet. Że ów twardy ucisk daje mu uczucie komfortu.

Jak widać, pytań jest mnóstwo: czy oto jesteśmy przeciwko, by minister sprawiedliwości w Polsce chodził uzbrojony? Czego bądź kogo się boi? Co daje mu pewność? Radość? Nie umiemy odpowiedzieć dziś na te pytania, ponieważ nie wiemy, kim tak naprawdę jest. Gdy się dowiemy, odpowiedzi się znajdą. Na te i inne pytania. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

POLSKA WIOSNA

*My, oprócz słów, mamy także pamięć – możemy ją ofiarować tym, którzy pod kwietniowym niebem na cmentarzysku warszawskiej „Dzielnicy Północnej" ginęli w płomieniach, z bronią w ręku i bez, przytuleni do najbliższych lub samotni. Ale mamy jeszcze coś – coś może najważniejszego. Wybór.*

**WYDANIE SPECJALNE**
**„TYGODNIKA POWSZECHNEGO"**
**W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 29 MARCA**

**Szukaj w miejscach z dobrą prasą**
**lub zamów swój egzemplarz na**
**zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# Wiosna na okrągło!

REKLAMA

**Kup na przekroj.pl**

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ